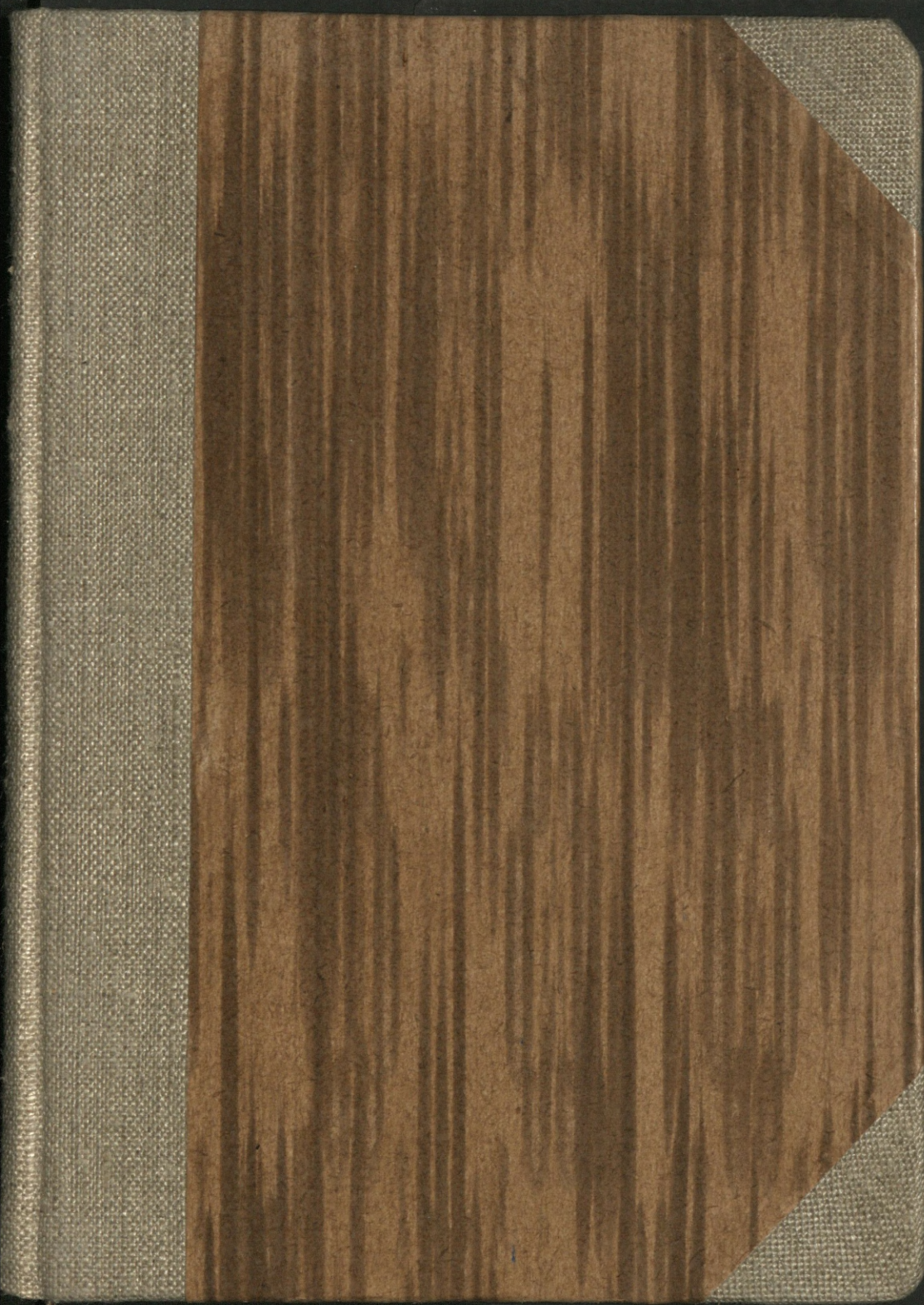




# Grey Scale #13



**A** 1 2 3 4 5 6 **M** 8 9 10 11 12 13 14 15 **B** 17 18 19



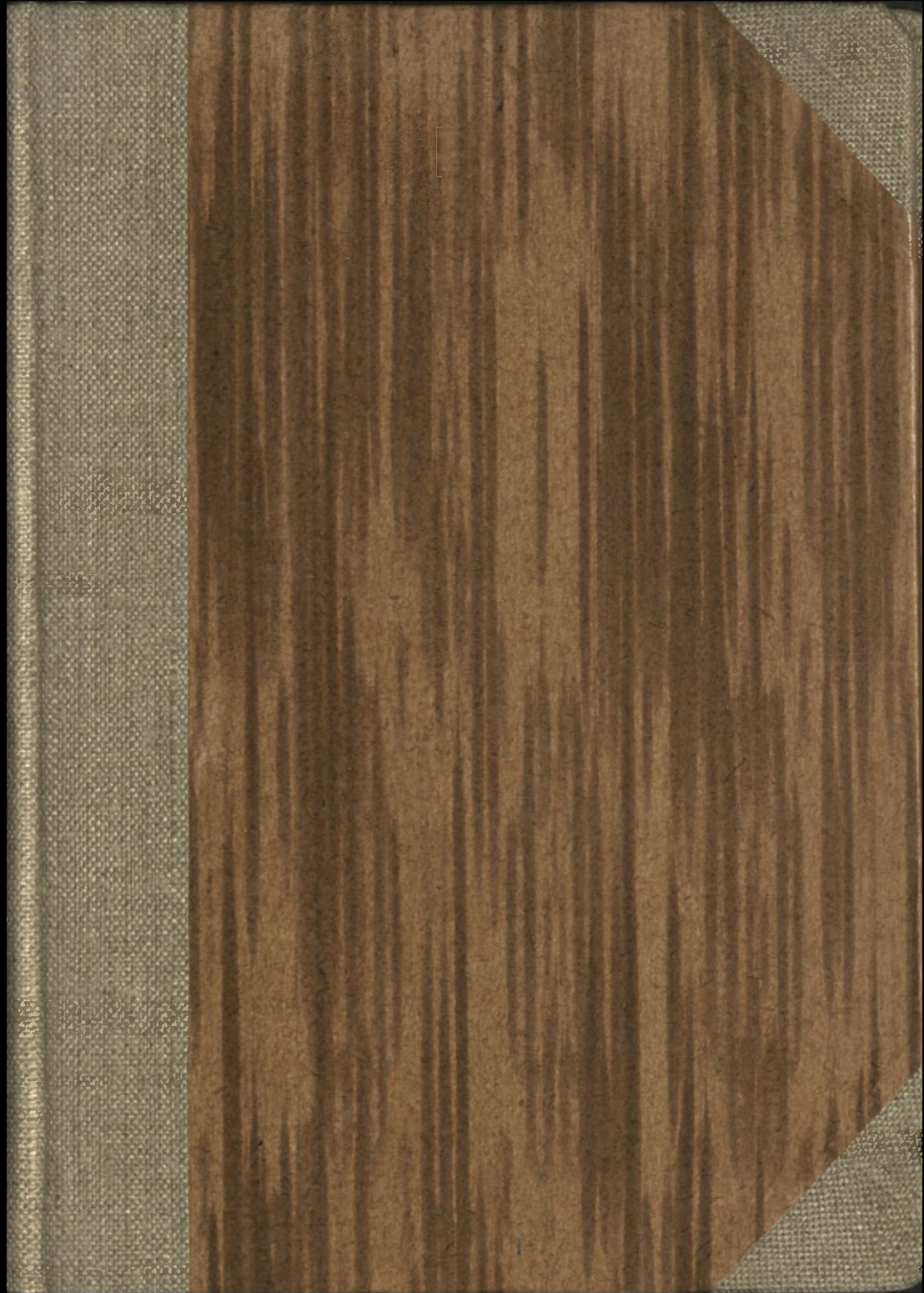
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

## Colour Chart #13

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black
------	------	-------	--------	-----	---------	-------	---------	-------

DANES-PICTA.COM



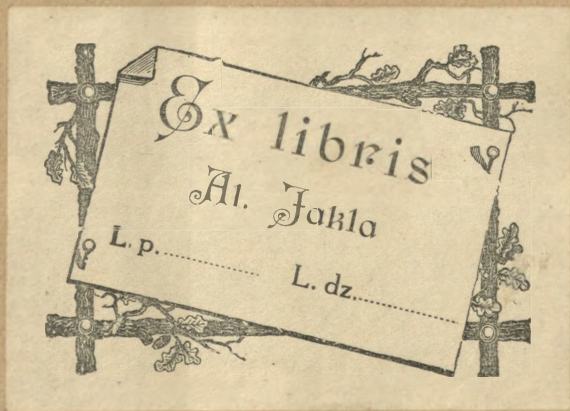
Serja IV      WIEDZA I ŻYCIE      Tom XII  
Wydawnictwo Związku Naukowo - literackiego we Lwowie

---

PERCIVAL LOWELL

# DUSZA DALEKIEGO WSCHODU

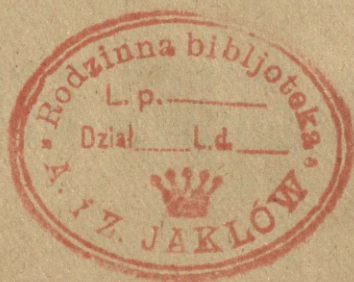
Tłumaczył J. G. Pawlikowski



NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA  
LWÓW 1922



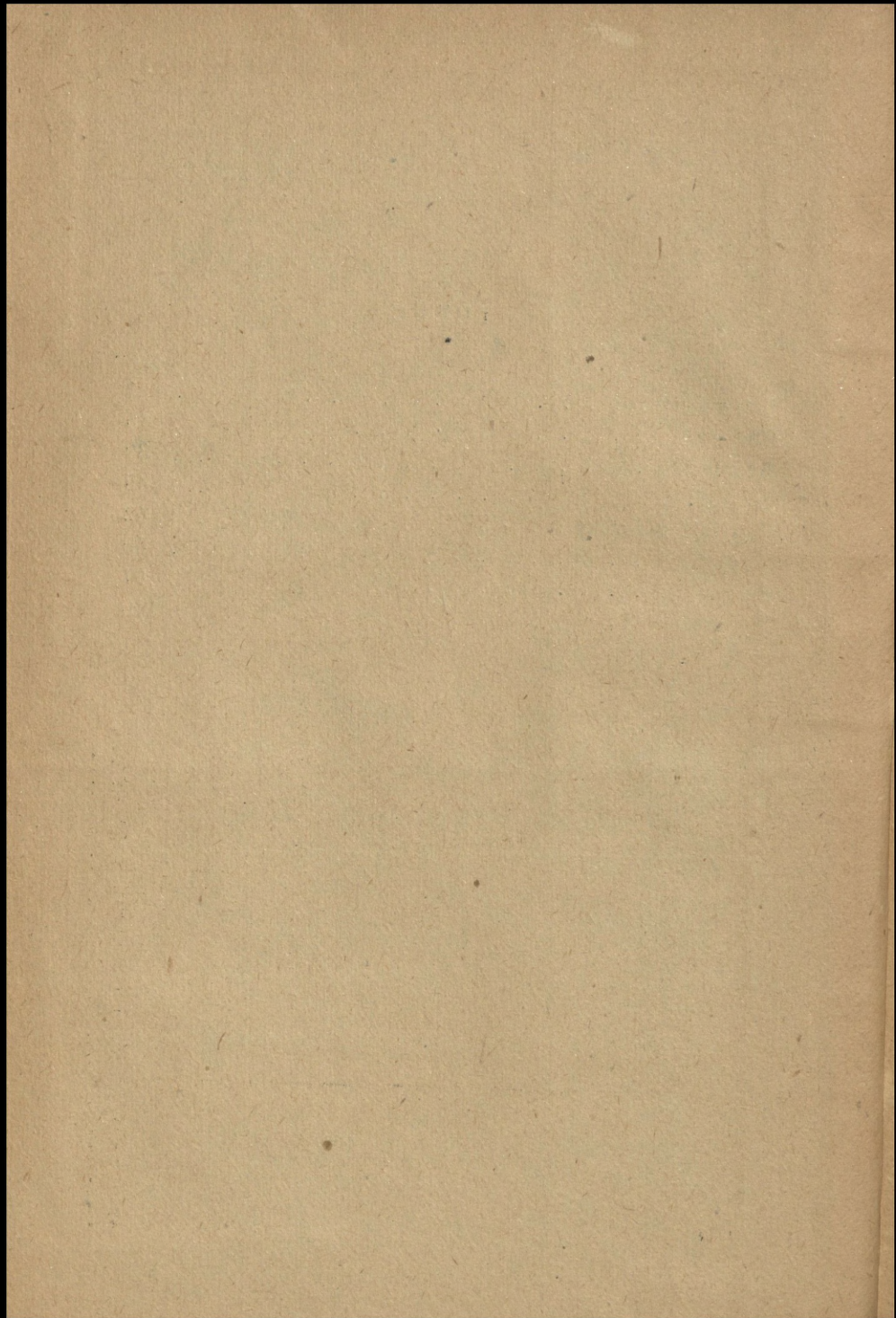
208



33573/2

## TREŚĆ.

	Strona
Indywidualum . . . . .	1
Rodzina . . . . .	16
Adoptacja . . . . .	39
Język . . . . .	45
Przyroda a Sztuka . . . . .	62
Sztuka . . . . .	80
Religia . . . . .	91
Wyobraźnia . . . . .	110





## INDYWIDUUM

Dziecinne wyobrażenie chłopca, że po przeciwnej stronie globu wszystko stoi naturalnym porządkiem rzeczy do góry nogami, budzi się odnowa w człeku dorosłym, który poraz pierwszy znajdzie się w Yokohamie. Bo, chociaż nie zastaje oczywiście tubylców, stojących sobie od niechcienia na głowach, którą to postawę ukazywała mu ongiś chłopięca fantazja, jako nieodzowne następstwo geograficznego położenia ich kraju, odnosi przecież stanowcze wrażenie, że patrzą oni na świat z teje właśnie osobliwej postawy. Zdaje mu się, że widzą oni wszystko na opak. Czy zatem ich mózgownice poprzekręcały się w skutek antypodycznego położenia, czy też to właśnie umysł samego widza niesłusznie czyni, odwracając obrazy odbierane przez siatkówkę — dość, że świat tu stoi do góry nogami. Obcy wszakże, wychodząc z założenia, iż jego własny sposób patrzenia jest miarodajny, przypisuje bez wahania narodowi temu przewrotność zapatrywań, cechę umysłu, objawiającą się nawet już na zewnątrz w kociej skośności oczu.

Chociaż ta przewrotność inna jest od tamtej, którą sobie ongiś chłopcem ubzdurał, niemniej jednak osobliwa w pochwytniej swej oczywistości. I nawet teraz, gdy się już przybysz osobiście przekonał, iż mieszkańcy onej spodniej strony planety nie łążą po niej głowami w dół, niby muchy po powale, to przecież w znaczeniu duchowem, patrzy na nich zupełnie tak samo jak dawniej. Albowiem intelektualnie stanowisko ich poddaje powagę naszą dziwnie ciężkiej próbie. Naszej duszy przedstawia się ich świat, jako ogromnie śmieszna antyteza naszego własnego

świata. To co my ze swojego punktu patrzenia widzimy intuicyjnie w pewien określony sposób, to samo widzą oni, również intuicyjnie, w sposób biegunowo przeciwny. Mówienie na opak, pisanie na opak, czytanie na opak, to zaledwie a, b, c, ich opaczności. Sięga ona o wiele głębiej niż do powierzchownych form wyrażania się, bo aż do sposobu właściwego myślenia. Różne rzeczy, które my uważamy za naturalne, nie mają u nich wcale zastosowania, podczas gdy sposoby wydające się nam krzyczącym nonsensem, u nich cieszą się prawem obywatelstwa. Począwszy od stawiania mokrego parasola rączką miasto końcem na dół, skończywszy na pocieraniu zapalki od siebie miasto ku sobie, niema zdaje się w codziennem naszym życiu ani jednej drobnostki, któraby niemniej i równolegle istniejąc u nich, nie odbywała się tam zupełnie przeciwnie. Tak więc, jedyną właściwą drogą dla każdego cudzoziemca, chcącego dostosować się do tu-tejszych zwyczajów i obyczajów, będzie imanie się bez zastanowienia sposobów, które dziedziczny jego instynkt uważa za fałszywe.

Jednak ludzie ci są przecież ludźmi, mimo całej swej dziwaczności są ludźmi. Ani nad fizycznym ani nad duchowym znaczeniem tego faktu nie możemy przejść do porządku dziennego. Podobni są do nas, a zarazem tak niepodobni, że gdy patrzymy na nich, zda nam się jakbyśmy własne nasze człowieczeństwo oglądali w jakimś rozśmieszającym zwierciadle, w zwierciadle co ukazuje nam wprawdzie znajome nasze rysy, lecz ukazuje je wszystkie na opak. Humor to dzierży owo zwierciadło, a my sami stajemy się igraszka własnego odbicia. Lecz nie jestże i w naszym codziennem życiu podobnie?

Czyż nasze rodzone odbicia w lustrze, nie oszukują nas przez całe życie? Któż bo dzień w dzień okpiwany przez zwierciadło, nie ulega w naiwności ducha złudzeniu, że właśnie taki jest jego wygląd a nie inny, zapominając zupełnie o tem, że w odbiciu prawa strona z lewą zamieniły się na miejsca? A niechno się przypadkiem zobaczy w podobny sposób twarz kogoś zna-

jomego, jakże zabawne wrażenie robi karykatura, wywołana w skutek przestawienia w odbiciu obu niesymetrycznych stron twarzy owego znajomego, wrażenie tem zabawniejsze, że on sam w prostocie swojej nie przypuszcza nawet jak dalece jest śmieszny. Gdybyśmy mogli ujrzeć raz samych siebie tak jak widzimy drugich, nie ogarniało by nas może takie zdziwienie na widok obcych ludów.

Jeśli popatrzymy na mieszkańca Dalekiego Wschodu jako na człowieka, a nie jako na osobliwość, odkryjemy w jego szczególnym sposobie widzenia zupełnie nową wartość, a mianowicie możliwość zastosowania go jako stereoskopu. Duchowa fotografia świata zdjęta przez niego, ustawiona obok takiejże fotografii zdjętej przez nas i odpowiednio z nią skombinowana, jest w stanie dać nam wyniki przewyższające doskonałością wszystkie otrzymywane przez każdą z nich z osobna. Uzupełniając się wzajemnie będą nam pomocne przy poznawaniu ludzkości. W gruncie rzeczy, tylko taka kombinacja dwóch odmiennych punktów patrzenia umożliwi nam rozpoznanie istoty czegoś, odróżnienie rzeczywistości od złudzenia.

Czem nam jest dwoje naszych oczu w stosunku do przedmiotów fizycznych, tem samem mogą się nam stać obie ziemskie półkule w dziedzinie duchowej. Jedyne to, co jest płaskie nie zmienia nigdy wyrazu. Wygląd bryły zmienia się zależnie od stanowiska obserwatora.

Zbytecznem jest mówić o tem, że Japończycy nie są wcale dzikim jakimś szczepem, ale rzucenie tej uwagi nie będzie od rzeczy, jako że ogromna większość osób bardzo mało wie o prawdach które się już stały ogólnie znanymi.

Obecnie w łaskawości naszej dla tego narodu zaszczytny tak daleko, że przyznajemy mu coś w rodzaju dyplomu na pół rozwoju duchowego, tzn. pół-cywilizację i tylko zapominamy przytem podać, na czem właściwie polega ta ograniczona kwalifikacja. Wyrażenie pół-cywilizacja uszłoby jeszcze, gdyby przyjęcie tej drugiej, uzupełniającej połowy nie było pośrednio po-

chlebstwem dla nas samych, tak jednak jak się rzecz przedstawia, zbyt rażąco zawiera w sobie samochwalstwo, aby zyskać na przekonywującej sile. Albowiem nie na samym tylko eksporcie towaru, będącego dopełnieniem naszej sztuki, nie na jej papierze, na jej porcelanie, na wszelkich fatalaskach, którymi sobie upiększamy mieszkania, opiera się prawo Japonji do miana kulturalnej — podobnie jak importowane do Japonji nafta, zapalki i piwo nie mogą być tam wyrazem naszej zachodniej wiedzy. Zapewne, że Daleki Wschód posiada tylko połowiczną cywilizację, ale to raczej w znaczeniu bezwzględnem niż w porównawczem, w znaczeniu mianowicie tem czem by mogła być, nie w odniesieniu do tego co jest gdzieindziej, nie w odniesieniu do nas, lecz w ogóle do ewentualnych możliwości ludzkich. Ani na Zachodzie, ani na Wschodzie niemasz dotychczas takiego systemu, któryby w doskonałości swojej służyć mógł innym za wzór we wszech sprawach. Każda z obu półkul ziemskich otrzymała światło prawdy przez właściwą sobie otocz krystalizacji duchowej i każda załamywała je w sposób odmienny, tak, że obecnie promienie, dla jednej będące normalnemi dla drugiej są ciemne i niewidzialne. W znaczeniu bowiem „niedziokości“ jest cywilizacja japońska zupełnie różnorodna z naszą. Istotna różnica rzeczy nie leży w politurze, lecz w politurą pokrytym materiale. Japończycy jako naród, nie mają sobie równego pod względem dworskości i delikatności w obojętności. Wiedza nie była im nigdy mistrzynią, sztuka była nią zawsze. I może właśnie dlatego, że nie wiedza, lecz sztuka była bóstwem, któremu hołowali, wpływ jej przeniknął do głębi wszystkie warstwy ludności. Kultura bowiem nie jest tam jedynie przywilejem niewielu, jest ona wspólnem dobrem całego narodu. Chociaż szczyty intelektu nie sięgają zbyt wysokich, to przecież ogólny poziom ich kultury jest znacznie wyższy. Nie potrzeba zresztą wielu słów, aby dowieść cywilizacji kraju, w którym zwykle dziewczęta z herbarciarni są doskonałemi wzorami zachowania i gdzie prości kulisi urozmaicają sobie grą w szachy godziny wolne od zajęć.

Osobliwemi wydają się nam już na pierwszy rzut oka formy życia u Japończyków, lecz o ileż osobliwsze stają się jeszcze przy bliższym z nimi poznaniu. W tym kraju, w którym pierwszą czynnością przy wchodzeniu do domu jest zdejmowanie butów zamiast kapelusza, już w samym progu budzi się przypuszczenie, że do tego społeczeństwa należy chyba z przeciwnego przystępować końca. Gdy się zaś z tem do domu już weszło i próbuje teraz uzyskać dostęp do duszy jego mieszkańców, przypuszczenie staje się pewnością. Przekonywamy się, że ci ludzie na opak niejako mówią, że zatem przybysz, który chciałby kiedyś rozumieć ich i być przez nich rozumianym, musi wprzód nauczyć się przedstawiać swoje myśli w odwrotnym porządku, w jakim powstają one naturalnym sposobem w jego umyśle. Musi wprzód wszystkie zdania swoje poodwracać, co go zapędza w prawdziwy labirynt mowy. Nie lepiej zdaje się dźiać z samymi myślami w mowie tej wyrażanemi. Im dalej się zapędza, tem zawilszą staje się cała ta procedura, póki wreszcie po długim macaniu i szukaniu nie znajdzie się do niej klucza. Klucz ten nazwać by można „przeżywaniem najstabszego“ (w tem samem znaczeniu, w jakim mówi się o przeżywaniu tego co najzdolniejszym jest do walki o byt).

Rozwój japońskiej cywilizacji przedstawia niesłychanie ciekawe zjawisko częściowego zastoju. W znaczeniu zaś ezoterycznym mamy przed sobą osobliwy przykład zamkniętego w sobie życia rasy. Bo chociaż z naszego punktu widzenia zdawało by się, że rozwój tego narodu utknął nagle w pośrodku drogi, przy bliższej obserwacji wychodzą na jaw oznaki, świadczące, że przebył on całą swą drogę i tworzy koło zamknięte. Staął zaś nie z powodu zewnętrznych przeszkód, lecz z powodu czysto wewnętrznej niezdolności do dalszego postępu. Intelktualna machina nie uległa zniszczeniu, wyczerpała się tylko poprostu motoryczna energia. W tym fakcie leży właśnie osobliwość fenomenu. Widzimy tu bowiem to samo zjawisko w odniesieniu do ludzkości, które w odniesieniu do kosmosu przedstawia nam

księżyc, zjawisko mianowicie obumarcia świata z powodu uwiąznięcia starczego. Nie zniszczyła go żadna choroba w społecznym jego organizmie, ani żadna zaraza w postaci najazdu przez obce hordy. Jeżeli bowiem Chiny są jedynym przykładem kraju, który na to tylko istniał, aby być wciąż zwyciężanym, to przecież w duchowym znaczeniu zdobywcy jego dostawali się zawsze pod wpływ zwyciężonych. Ci co zrzucali z tronu prawowitych władców, siadali u stóp ich jako uczniowie. W ten sposób zatem byli raczej bodźcem, niżeli hamulcem dla postępu ich cywilizacji. Na którąkolwiek z części Dalekiego Wschodu spojrzymy, wszędzie powtarza się z małymi różnicami tenże sam duchowy proceder. Aczkolwiek Chiny, Korea i Japonja różnią się wielce pod niektórymi względami, to przecież w ewolucji wszystkich tych trzech krajów widzimy przebieg zupełnie identyczny. Jest to jakby bieg rzeki Jordanu, która na podobieństwo innych rzek, posiadając wywierzyisko w górach, płynie jednak tylko po to, aby po krótkim życiu wpaść do Martwego morza. Ich siła życiowa bowiem wyczerpała się już dawniej niż przed tysiącem lat. Wtedy to już cywilizacja owych ludów w zasadniczym swym biegu wyłobiliła sobie była koryto dzisiejsze i od tego czasu już się tylko udoskonalała.

Przyrównać ją możemy do skarlłowacialego drzewa, które zatrzymane w swym wroście tem większe rozwija bogactwo owoców i kwiecia. Nie ostatnie tu bowiem stadja rozwoju zostały przeskoczone, jeno pośrednie. W dziedzinie codziennego życiowego komfortu, z którym to przedewszystkiem łączy się u nas pojęcie cywilizacji, narody te rozwijają się wciąż. Chociaż ogląda ich pod wieloma względami nie osiągnęła naszych norm, musi się jednak przyznać wzięwszy pod uwagę barbarzyński podkład na jakim się opiera, że normy te o wiele nawet przewyższa. O Japończyku bowiem możnaby powiedzieć to samo co o Rosjaninie (aczkolwiek bardziej w naukowym znaczeniu), że wystarczy nieco poskrobać, aby z niego wylał średniowieczny Tatar. Niemniej jednak prawdą jest, że potomkowie tych dzi-

kich praojców, przywłaszczyli sobie oglądę, o której słabe tylko wyobrażenie daje nam niezrównany jej odblask. Dopiero wtedy, gdy sam materiał był już wykończony, zabrano się do wygładzania jego powierzchni. Potęgując jeszcze osobliwe działanie, dołączył się do tego duch, często spotykany u głów, którym brak oryginalności, duch naśladownictwa. Aczkolwiek skutki tej cechy są tylko naturalnem następstwem słabej inicjatywy, wydają się one u narodów o przeszłości intensywnej zupełnie nienaturalnemi. Przysłowiowy cylinder nagiego dzikusa, jest dla obcego niemniej osobliwym zjawiskiem, gdy ukazuje się nie jako fizyczna, lecz jako duchowa ozdoba. Tam właśnie dopełniło się coś nakształt owego nienaturalnego wyboru kostjumu, jak to mówią, ni przypiął ni przylatał. Człowiek wdarł się z fatalnym skutkiem w normalny przebieg naturalnej ewolucji. Albowiem to, że w ciągu wzrastania ich drzewa poznania gałęzie przybrały wbrew wszelkiemu porządkowi rzeczy rozmiary samego pnia, jest skutkiem metody kulturalnego zaszczepiania.

Japończycy, zanim jeszcze poczęli dawać dowody własnej działalności, byli narodem lubującym się w importowaniu; i to nie towarów, lecz idei. Dowiedli oni bardzo silnie rozwiniętego ducha wolnego handlu, woląc zawsze brać gotowe produkta skądinąd, miasto usiłować wyprodukować u siebie coś nowego. Tej samej metody trzymają się w dalszym ciągu: bezwarunkowe uznanie dla cudzej wytwórczości pozostało do dziś dnia najbardziej ujmującą ich cechą. Rodzimy zaś pień ich, w który zaszczepiano wszystko z zewnątrz przejęte, przybrał skutkiem tego nienaturalnie pstrokaty wygląd. Japonja bowiem, aczkolwiek na podobieństwo innych narodów, zbyt wielkiej dawała się ponieść gorliwości w zapożyczaniu cudzego, zachowała jednakże tę właściwość, iż niczego nie asymilowała całkowicie. Ostawało to po prostu jako dodatek do istniejącej już własnej wegetacji. Przyjmowało się i kwitło, żywione tutejszym, rodzimym sokiem — smakiem japońskim. Ta nowa krew wszelako, równie nieznacznie wpływała na przekształcenie szczepków, jak nieznacznie wpły-

wały one na charakter starego drzewa. Można było odjąć szczepki, niby luźne części struktury a pień macierzysty niewiele byłby się przez to zmienił. Odrośla grubiały i stały się z czasem silnemi konarami, a stary pień jakim był takim i pozostał. Innemi słowy, naród dojrzał do wieku męskiego, zatrzymując ducha czasów dziecięcych.

Co się odnosi do Japończyków, odnosi się też do Koreań czyków i do Chińczyków. Te trzy narody tworzą trzy ogniwa łańcucha wzajemnych zapożyczeń. Chiny zapożyczały od Indji, Korea wzorowała się na Chinach, Japonja wreszcie naśladowała Koreę. W ten prosty sposób weszła powoli w posiadanie cywilizacji, która pierwotnie do nikogo z nich nie należała. Gorliwość okazywana przez wszystko troje w przywłaszczaniu sobie tego co cudze, oraz doskonałe zadowolenie w używaniu nabytków, przywodzi nam na myśl owych darmozjadów co to wolą się utrzymywać z wątpliwych pożyczek, niż zarabiać samemu na kawalek chleba. Podobnie jak takie, na cudzy koszt żyjące indywidua, będą wkońcu musieli i mieszkańcy Dalekiego Wschodu zmuszeni przez naturę opłacić brak własnego kapitału, jakiegokolwiek dziś mimo braku tego mieli zyski.

Cywilizacja Dalekiego Wschodu przypomina raczej mechaniczną mieszaninę czynników socjalnych, niż należycie ustosunkowane połączenie chemiczne. Połączenie to nie nastąpiło, ponieważ mimo ogromnej różnorodności narzucanych do kotła wspólnego przeznaczenia ingredjencyj, nie było nijakiego chemicznego powinowactwa. Brakło siły do stopienia się w jedno. Daleki Wschód zdaje się być wogóle niezdolnym do rozwinięcia czegokolwiek. Przypuszczać należy, że bardzo się tam wczesnie wyczerpać musiały skłonności do spontanicznych zmian, one właściwe katusze ludzkiej zachcianki do robienia eksperymentów. Senni, może dlatego, że brzask zastał ich już na nogach, jęli się oto mieszkańcy tych dalekich wschodowych krain, zanim jeszcze południe nadeszło, oglądać na dzień swój jako na już przepędzony. Zestarzeli się młodo i takimi ostali.

Czem byli przed setkami lat, tem są w gruncie rzeczy i dzisiaj. Odrzućmy tylko wpływ Europy z ostatniego półwiecza, a prawie każdy z tych ludzi mógłby być taksamo dobrze swoim własnym praszczurem. Co się tyczy cech rasy, to te po dzień nie zmieniły się wcale. Właściwości, charakteryzujące owe ludy już w odległej przeszłości, paraliżowały coraz bardziej ich energję. Z pomiędzy zaś wielu wpływów, które działały hamująco na rozwój życia, najważniejszym może jest wielki czynnik nieosobowości.

Jeżeli przez kraje umiarkowanej strefy ziemskiej przeciągniemy pas, którego północny i południowy kraniec tworzyć będą izotermi oddalone od siebie nie bardziej, niż na pół szerokości strefy, przekonamy się, że ta, stosunkowo niewielka powierzchnia, obejmuje prawie wszystkie dawne i współczesne narody świata, odznaczające się w jakikolwiek sposób. Przypatrzmy się temu pasowi i porównajmy różne jego części pomiędzy sobą. Wpadnie nam wówczas w oczy nadzwyczaj osobliwe zjawisko: *im dalej posuwamy się na zachód, tem bardziej osobistemi stają się ludy*. Zróżnicowanie jest tak niewątpliwe, że byłoby się skłonny przypisać je raczej kosmicznym jakimś niż ludzkim wpływom. Jest równie wyraziste jak rażąca zmiana barwy skóry, którą, idąc wzdłuż południka, obserwować możemy we wszystkich fazach, od kompletnej czarności na równiku, aż do białości pod biegunem. W tensam sposób postępując z biegiem słońca, obserwować możemy wzmaganie się poczucia osobowości, zaś w miarę zbliżania się ku wschodowi, stały ubytek na sile. W szeregu: Ameryka, Europa, Wschód Lewanty, Indje, Japonja każdy z tych krajów jest mniej osobisty od poprzedzającego. My znajdujemy się na jednym końcu skali, mieszkańcy Dalekiego Wschodu na drugim. Podczas gdy u nas jako treść duszy występuje „ja“, u nich możnaby ją określić jako „nieosobowość“.

Fakt ten, sam przez się jest już wielce zajmujący, o wiele jednak bardziej zajmie nas jako czynnik. To, co on mówi o ta-

kim a takim narodzie w szczególności, może nam otworzyć szersze jeszcze horyzonty w patrzeniu na całą wogóle ludzkość. Może dzięki niemu i samych siebie lepiej poznamy. Nie żeby nam miał wyjaśnić metafizyczne jakieś zagadki, lecz dlatego, że zyskujemy w nim pewne podstawy dla badań socjologicznych. Może właśnie teraz dyskusja o tym czynniku byłaby na czasie, dotyczy bowiem najbardziej piekących zagadnień doby dzisiejszej. Agnostycyzm, owó pełne przeczuć milczenie ludzi myślących, z jednej strony, a z drugiej socjalizm, komunizm i nihilizm, uporczywe hasło takich co nie myślą — te dwa wielkie zagadnienia czekają na rozwiązanie. Wszelkie prawo do bytu opiera się w gruncie rzeczy na prawdziwie lub błędnie uświadomionym egotyzmie.

Gdyby nie istniała żadna indywidualność, gdyby uczucie tem mianem ochrzczone było jeno, jak nas uczą buddyści, czczem złudzeniem, toć wszelkie oparte na niem religie przepaśby musiały, niczem obrazy wirującego kalejdoskopu, ba, niczem senne jakieś majaki. A jestli jaźń zwiewnym jedynie tworem mózgowicy, to gdy się rozpadnie i zczeźnie ta szara substancja mózgowa, cóż z nas wówczas zostanie? Czy się poprostu rozplyniemy i wnikniemy w otaczający nas wszechświat jako niezróżniczkowany jego składnik? Myśląc tak, ma się uczucie jakby się stało na wybrzeżu wielkiego oceanu Poznania i wyteżało wzrok poto jedynie, by widzieć, jak opadają ciężkie mgły i skrywają przed oczyma naszymi nawet te najbliższe przedgórza nadziei, wzniesione ponad ziemski padół, nito błagalne ramiona.

A cóż dopiero w znaczeniu materjalnem! Jeśli indywidualność jest tylko przywidzeniem umysłu, jakiż ostaje motyw dość silny potemu, by w zwykłym śmiertelniku podsycać żądze do dążenia i zdobywania? Zapewne, że filozofowie mogliby w dalszym ciągu działać w kierunku postępu ludzkości, ale sama ludzkość rychłoby sobie sprzykrzyła mozół i oblewanie się potem w pracy dla wspólnej wyłącznie korzyści. Nie da się po-

myśleć amputacji bodźca, jakim jest indywidualność, bez równoczesnego sparaliżowania wszelkich działań. Albowiem u olbrzymiej większości ludzi jedyną podniecią do czynu jest osobista korzyść. Jeśli zniszczymy tę siłę i wszystkie z niej wypływające dążności, wówczas socjalizm będzie nie tylko usprawiedliwionym, ale stanie się podstawą życia. W takim wypadku społeczeństwo ludzkie stałoby się jednością, niepodzielnym atomem bytu. Socjalizm, po nim komunizm, wreszcie nihilizm następowwałyby po sobie w nieuniknionym porządku rzeczy. To, że mieszkaniec Dalekiego Wschodu przy całej swojej odrętwiającej nieosobowości nie doszedł jeszcze do tego stanu, przemawia właściwie tylko za tem, że mimo wszystko indywidualność nie jest mrzonką, lecz faktem.

Przedewszystkiem jednak, cóż wiemy o niej samej?

Każde myślące dziecko przechodzi dość wczesnie dziwną chwilę, wobec której wszystkie dotąd przeżyte wypadki wydają mu się bezbarwne. Dzieje się z niem coś, co wcale nie należy do tych rzeczy, które świat w pewien sposób określa i klasyfikuje, coś, co nie stoi w żadnym związku z powszedniem życiem. Nikt, krom dziecka samego nie wie o tem zdarzeniu i z nikim też ono mówić o tem niechce. A jestto właśnie dla tego dziecka rozpoczęcie nowego rozdziału życia. Wydaje mu się to tak bardzo osobiste, że czuje wprost obawę przyznać się z tem komuś; w istocie zaś zjawisko to jest tak powszechne, że niema człowieka, któryby uszedł jego wpływowi. Otóż to tak osobiste, a zarazem tak powszechne przeżycie chłopaka nie jest niczem innym, jak nagłym objawieniem mu się własnej jego osobowości.

W chwili, gdy w miejsce prostych wrażeń zmyslowych rolę samowychowawczą poczyna grać uczucie, gdy poznanie uzyskane przez pięć cielesnych zmysłów zlewa się z mądrością owego duchowego zmysłu, określonego mianem „sens“, czyni chłopak odkrycie wielce pokrewna cielesnemu ocknięciu się. Uświadamia sobie znienacka siebie samego, a uświadomienie to

jest dziwnie niesamowite. Dotychczas świadom był jedynie materji, teraz nagle poznaje ducha. Niespodzianie, bez przygotowania staje oto przed własną istotnością i z pełną szacunku bojaźnią spogląda na swoje „ja“.

Już to pierwsze spotkanie z własną tożsamością ma w sobie coś przerażającego, a myśl, że to dziwne obcowanie ma stale trwać, nie wpływa wcale uspokajająco. I trwa też ono stale. Wytwarza się mimowolna jakaś zażyłość, której nie sposób jest się pozbyć. Unikanie jej równie jest niemożliwe, jak unikanie własnego cienia. Toć dla siebie samego musi się zawsze być w domu. Latami całemi prześladuje chłopaka to „alter ego“, ponieważ wciąż mu się wydaje, że jest to jakaś osobista jego idjosiinkrazja, jakiś chorobliwy objaw, o którym obawia się z kimkolwiek mówić, aby nie być wziętym za warjata. Dopiero później, z czasem, gdy się już nauczy przestawać z tem swoim wszędy i zawsze przytomnem widmem, jak z czemś naturalnem i samo przez się zrozumiałem, zauważa, że i inni, takich jak i on mają towarzyszy. Niekiedy ową poranną zorzę samowiedzy poprzedza długi świt budzenia się duszy. Niekiedy jednak u uczuciowych i subtelných natur bucha światło z całą nagłością wschodu słońca na równiku i ujawnia oczom duszy nieprzeczuwane wcale wewnętrzne światy. Wszelako w jakikolwiek sposób obudzi się w nas poczucie osobowości, zawsze zjawia się nakształt owej legendarnej bogini mądrości w pełnym rynsztunku. Od tej chwili, od której siebie samych pamiętamy, wydajemy się sobie już tak starymi, jakimi z czasem stajemy się dla innych. Zapewne, że wiedza nasza z latami rośnie i mnożą się doświadczenia, lecz w głębi serca zostajemy tacy sami. Ludzie też zbliżają się do nas z większym niż wprzód szacunkiem, co nam niekiedy każe przypuszczać, żeśmy się może przecież zmienili. Chłopcy i chłopcy nowego pokolenia wyróżniają nas tak, iż uśmiechamy się nieraz wewnętrznie na myśl, jak mało się właściwie różnimy od nich — jeno, że oni właśnie o tem nie wiedzą. Od owego bowiem odległego poranka, kiedy

to odkryliśmy siebie samych, aż do dziś dnia wewnątrz nasze nie uległo żadnej zmianie; czujemy się ninie równie młodzi, jak wówczas czuliśmy się starzy. Uśmiechamy się tedy, iż świat czyni różnice tam, kędy my żadnej nie widzimy różnicy.

Każde ludzkie stworzenie rodzi się zatem dwa razy: raz jako materja, drugi raz jako duch. Owe zaś drugie narodziny nie są bynajmniej wyłącznym przywilejem ludzkości, Prawdopodobnie u wszystkich wyższych zwierząt, a może nawet i u niższych, zaświtało kiedyś podobne odczucie indywidualnej tożsamości. Czy tak jednak czy inaczej, pewnem jest, że wszystkie rasy ludzkie przez objawienie to przeszły; tylko w stopniu siły z jaką ono nastąpiło, zachodzą znaczne bardzo różnice. Inaczej rzecz się ma u apatycznego, przesiąkniętego fatalizmem Turka, inaczej u energicznego, nerwowego Amerykanina. Czyny, wyobrażenia, religje, wszystko to świadczy o niezmiernej różnorodności odczuwania. U nich nie wywołuje uświadomienie indywidualności antycznego *γνώθι σέ αὐτόν*. U nas nadaje się ono aż nadto potemu, by występować wiecznie jako wszędochy, natrętny sobowtór. Zbyt często gra rolę nieproszonego upiora przy biesiadzie, którego obecności nie dostrzega nikt, krom samej, dręczonej przezeń ofiary. Ale i dla natur o wiele mniej ekscentrycznych niż „Kenelm Chillingby“ Bulwera, kłutwą nieraz się staje ów widmowy lęk przed własną tożsamością. Jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, główną winę wielkiego osamotnienia w dzieciństwie ponosi właśnie ów niesamowity towarzysz. Nic bowiem nieodósabnia tak od ludzi, jak uporczywe przywidzenie, którego się nikomu nie śmie wyjawiać.

A przecież — oto jeszcze osobliwy paradoks — byłże kiedy człek taki, któryby pragnął swoje ja zamieniać z kim innym? Któż może sobie wyobrazić wogóle porzucenie samego siebie? Czyż nie trzymamy się nawet zewnętrznej naszej postaci oburącz? Wszak i taki co śmiesznie mały ma skarbczyk drogich sobie rzeczy, czułby się boleśnie pokrzywdzonym, gdyby go przypadkiem zamieniać z jego sąsiadem. Otóż podstawą tego

tak głęboko wkorzonego i szeroko rozgałęzionego instynktu ludzkiej rasy, musi bezsprzecznie być coś więcej, niż zwykłe urojenie.

Ale i przy niewiedzieć jak intenzywnem uświadomieniu indywidualności, niema nic, co by nam dało pewność, że trwać ono będzie i poza kresami tego tutaj żywota. Ocknieć się tam ona poza grobem i odnajdzie znów siebie, czyli też, nakształt ciała, które jej za schron służyło, rozpadnie się, rozpuści i wniknie, nieodróżnioną już z powrotem w kosmiczny pył Ducha? Takto w ślad za istotną samowiedzą kroczy, niczem cień, zwątpienie w jej trwałość. Da się li rozwiązać ta ciemna zagadka za pomocą analogji? Czy prawa, które uznaliśmy za rządzące materją, stosują się i do ducha? Wiemy wszyscy, że materja jest niezniszczalna; wszelako forma jej, która ongiś była nam tak swojska, straci się, aby nigdy już nie powrócić. Czyż duszę podobny czeka los? To, żeby duch miał ulec zniszczeniu, jest równie nie do pojęcia, jak to, żeby materja przestała istnieć. Duch, którego wokół siebie czujemy, istniał napewno zawsze i zawsze istnieć będzie. Lecz ta drobna jego cząstka, którą każdy z nas zowie swoim „ja“, nie jestli ona tylko kroplą dżdżu dostrzeganą w przelocie przez powietrze? Niewidzialną była tam, kędy pośród chmury wstała, nierozróżnioną będzie znów w oceanie, do którego wniknie. Indywidualność jest jeno przejściem z jednej ogromnej Nieosobowości w drugą ogromną Nieosobowość. Tak uczyli, wieszczce czasów odległych, tak głosi dzisiejsza, ostatnia wiedza. Nam wydaje się ta idea gorzkim owocem filozofji materialistycznej. Dla nich jest ona przepięknym kwiatem ich wierzeń religijnych. To, co dziś nazywa się kacerskiem wyznaniem ateuszów, to samo czczono przed czterema tysiącami lat, jako świętą i kardynalną zasadę religji.

Krócej jeszcze, niż ten krótki okres siedemdziesięciu lat trwa życie duszy, podpadające bezpośredniej świadomości człowieka. Ten świadomy siebie okres wciśnięty jest w dwie epoki pozornej nieosobowości; z jednej strony epoka dzieciństwa, po-

przedzająca owo odkrycie chłopca, z drugiej mrok gęstniejący z latami, oto cienie, w których toną oba wybrzeża żywota. W mieszkańcu Dalekiego Wschodu życie jest jednak tylko wiecznym zmierzchem, tak bowiem w Japonji, jak w Chinach oba te okresy łączą się ze sobą. Istnieje tam obok nieświadomionego bytowania dziecka, wiara dojrzałego mężczyzny w nadchodzące rozwianie się świadomości. Czyż to możliwe, żeby indywidualizowany, postępowy Zachód nie miał słuszności, a miał ją bezosobowy, bierny Wschód? Z pewnością nie. Wyprzedzałyby nas tamta druga strona ziemi w rozwoju duchowym tak jak nas wyprzedza w porach doby? A może raczej ostaje właśnie daleko za nami — podobnie jak grąży się jeszcze w ciemnej nocy podczas naszego południa? Nie jestli pozorna ich mądrość raczej wczesną dojrzałością tych, którym nie pisano dojść do bardzo wysokiego rozwoju?

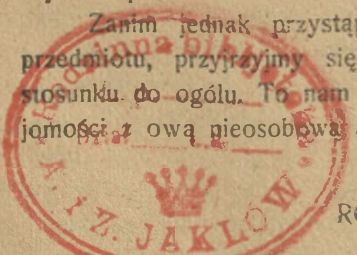
Gdy się po długiej, monotonnej podróży morskiej wysadzonym wreszcie zostanie w otoczeniu takiej cywilizacji, jest się w podobnym nastroju, jak ów człowiek, którego swawolni towarzysze po obfitej libacji w stanie kompletnej nieprzytomności zostawili na cmentarzu, a gdy się ocknął nad ranem niezbyt jeszcze wytrzeźwiony, poglądał w okół zбиты całkiem z pantaląku, przecierał uporczywie oczy i głosem zmartwiałym ze straszego przeświadczenia zaopiniował: „albo ja jest pierwszy przy wstawaniu z martwych, albo też gruntownie się zapóźniłem“.

Czy ta nieudolność do kroczenia drogą naturalnego rozwoju jest przyczyną, że śmierć zastaje ich takimi samymi, jakimi się urodzili, czy co innego, dość, że ludy te niezbyt daleko znajdują się od punktu, z którego wyszły. Boć przebywają wciąż i wytrwale w owym dziecięcym okresie, którego lubej prostoty nie zachmurzyło jeszcze zdanie sobie sprawy ze swego „ja“. Taka nieosobowa rasa zawsze wydaje się niedorostkiem.

Ta wybitna cecha Dalekiego Wschodu, jego zdeklarowana nieosobowość, zasługuje na baczną uwagę, ze względu na samą siebie i częściowo ze względu na naszą własną korzyść. Za-

chęca ona nas bowiem pośrednio do wielce owocnych zastanawiań się nad samymi sobą, a równocześnie stanowi źródło najosobliwszych dziwołagów cywilizacji, będącej ósmym cudem świata dzisiejszego. Przekonamy się o tem, gdy zobaczymy, czem jest ten naród, czem był i czem spodziewa się być, nie pod względem historycznym, jeno pod względem psychologicznym podobnie jakby się mogło zobaczyć, mając potemu zmysły, w żółdzi, prócz samego owocu, dwa dęby: jeden ten, z którego owa żołądz spadła, drugi, który się z niej rozwinie. Te trzy stadja które określimy jako potencjalna przeszłość, terażniejszość i przyszłość, dadzą się obserwować i badać w trzech poszczególnych gałęziach, wyrosiych z charakteru rasowego: w mowie, w sposobie powszedniego myślenia, oraz w religji. W mowie bowiem narodu znajduje się zabalsamowanego ducha jego przeszłości, w myśleniu codziennem, czy to w dziedzinie sztuki, czy wiedzy ucieleśnione jest obecne życie, w religji zaś zamknięte są sny o przyszłości. W tych wszystkich trzech postaciach obecna, pogląda na nas nieosobowość. Właściwość ta jest fundamentem, na którym stoi charakter mieszkańca Dalekiego Wschodu. Traktował ją będę bardziej z indywidualnego, jak z narodowego punktu widzenia. Mam zamiar badać jeden odcinek fali rozwoju świata, a nie samo falowanie. Gdy zaś poznamy ruchy poszczególnych części, ogólny ruch całości sam przez się jasno się nam przedstawi.

Zanim jednak przystąpimy do ezoterycznego omawiania przedmiotu, przyjrzyjmy się przez chwilę człowiekowi w jego stosunku do ogółu. To nam da możność zrobienia bliższej znajomości z ową nieosobową atmosferą, przenikającą cały naród.



### RODZINA

U nas, na zachodzie w życiu człowieka, najbardziej nawet upośledzonego pod względem rozumu, zasług czy wyobraźni zachodzą trzy okoliczności, które, o ile tylko istnieniu jego wo-

góle zasługuje na uwagę, bywają niezawodnie utrwalane drukiem. Narodziny jego, jego ślub i jego zgon, zostają zarejestrowane jak się należy, co jest znamiennem dla całej, może nic nie znaczącej reszty jego życia. Obaczmyż, jak wyglądają te trzy ważne słupy graniczne w życiu mieszkańca Dalekiego Wschodu.

Biedne japońskie niemowlę od samego już początku w założenie nieindywidualny traktowane jest sposób, pozbawiają je bowiem nawet osobnego dnia urodzin. Przypadnie mu jedynie w udziale o wiele mniej osobista przyjemność posiadania własnego roku urodzenia. Nie, jakby jego indywidualna istność počąć się miała inaczej niż u reszty śmiertelników w jakiejś określonej chwili; faktu tego wogóle nie bierze się prawie w rachubę. Od pierwszej chwili przyjścia na świat mówi się o dziecku jako o mającym rok, i aż do rozpoczęcia się następnego roku kalendarzowego, uważa się je, wedle tego sumarycznego sposobu liczenia za roczne. Dzień Nowego Roku jest dla wszystkich rocznicą przyjścia na świat, czemś w rodzaju powszechnego, nieosobistego święta urodzin. Tej metody obliczania wieku trzymają się również Chiny i Korea. Mówienie o tej niedogodności, że można wedle niej uchodzić za starszego o rok, a nawet o dwa lata niż się jest w istocie, wykracza poza ramy niniejszych obserwacyj; jużci jasnym jest, że przy wprowadzaniu takiej rachuby czasu kobiety musiały nie mieć prawa głosu, zdawałoby się nieledwie że i mężczyźni nic tam do gadania nie mieli do tego stopnia astronomiczną jest owa metoda. Komunizm wieku jest jednak tylko nieuniknionym szczegółem w tym ogólnym systemie, którego charakterystyczną cechą jest podporządkowanie istotnego dnia urodzin jednostki, fikcyjnym urodzinom całego społeczeństwa. Nie tyle bowiem brak pamiątkowego dnia dla jednostki, ile sam charakter owego ogólnego pamiątkowego dnia jest rzeczą znamienną. Owszem, w najwcześniejszych latach zawsze się tam pamięta trochę o dniach jego urodzenia, ale obchodzenie ich niema żadnego znaczenia wobec wielkich ogólnych świąt: w trzecim dniu trzeciego miesiąca oraz w piątym

piątego miesiąca. W oba te pamiątkowe dni święci się przychodzenie na świat ludzkości z bezosobowością, która godną była kalendarza francuskiej rewolucji. Pierwszy z nich nosi miano Święta Dziewcząt i jest obchodem ich urodzin w ogóle — urodzin odwiecznej Kobiecości, jeśli tak rzecz można. Drugi, to odpowiednie doroczne święto chłopców. Ze względu na płeć, jest ono uroczystszem a wedle godła, które przy niem występuje zowie się Świętem Ryb. Ryby te to wydęte, długie na cztery do sześciu stóp, papierowe wizerunki karpia Tai. Wiesza je się na wysokich, mocno wbitych w ziemię palach zdobnych u wierzchołku w złotą galkę. Przez otwory w pysku i ogonie nadyma je wiatr, i utrzymuje w postawie poziomej, tak że zdają się pływać i niby żywe ryby szarpać za wędkę. Ryby są symbolem szczęścia i umieszcza je się w podworcach wszystkich domów, w których ostatniego roku urodził się chłopak. W ten radosny dzień całe Tokio przeistacza się nagle w ogromne, osiemdziesiąt kwadratowych mil zajmujące akwarjum.

Nowy Rok wszakże zakasowuje wszystkie poszczególne obchody urodzinowe. W dniu tym każdy każdemu składa gratulacje i życzenia wszystkiego w ogóle a mimochodem i tego także, że się żyje. Takie podstawienie abstrakcyjnych urodzin w miejscu konkretnych musi w końcu doprowadzić poszczególną jednostkę do zapomnienia o sobie samej, czego nieuniknionem następstwem jest rozpuszczanie się indywidualności w społecznym organizmie.

Nie o wiele lepiej ma się u mieszkańca Dalekiego Wschodu rzecz z ożenkiem. Aczkolwiek zdawałoby się, że on sam główną jest w tej sprawie osobą, w rzeczywistości jednak niema on tam przy tem zupełnie nic do gadania. Wogóle nie jest to jego sprawą, lecz sprawą jego ojca. Cała rzecz jest wyłącznie załatwieniem interesu, który zapropnują rodzice, a przeprowadza urzędowy pośrednik małżeństw. Pan młody gra tu jedynie rolę marjonetki. Za wykluczenie go zaś od tego coby mogło być

być lepszą połową jego życia, bierze sobie odwet na następnym pokoleniu.

Tak więc rzecz można, że w gruncie rzeczy najważniejszym aktem jego życia jest zgon. Dopiero wówczas bowiem rozpoczyna on do pewnego stopnia osobistą egzystencję. Śmierć wprowadza go w liczną gromadę przodków, którzy dla ludzi tych są czemś o wiele ważniejszym niż ludzie żyjący i pomiędzy którymi zachodzą bardzo znaczne różnice indywidualne. Tak się ma rzecz przede wszystkim w Chinach i Korei; taką samą jednak cześć, chociaż w nieco mniej zakamieniałej formie oddaje się zmarłym i w Japonji. Indywiduum człowieka, którego cielesnej powłoce odmawiano, zostaje tedy wreszcie uznane. W Japonji dostaje mu się pamiątkowa tablica w domu, przed którą płyną pełne czci modły; na kontynencie wybudowują przodkom osobne mieszkania i czczą ich jeszcze może żarliwiej. Lecz tak tu, jak i tam, kult ten jest głębokim kultem zmarłych. Grobowce przodków bowiem są równocześnie świątyniami i ogrodami, które służą za miejsce nie tylko obrzędów i ceremonjom rytualnym, lecz także rodzinnym zebraniom i wszelkiego rodzaju powszechnym zabawom ludowym. I jeżeli szczęśliwy nieboszczyk ma choćby w przybliżeniu takie rozumienie wszystkiego, jakie mu przypisują wdzięczni potomkowie, musi czuć, że ziemski jego żywot, na wzór innych ulubionych komedij pomyślnie miał zakończenie.

Wśród społeczeństwa, które żadnej prawie nie poświęca uwagi dniom urodzin, nabiera się wkońcu wątpliwości co do osobliwszego znaczenia tych czerwonym ołówkiem w kalendarzu zakreślonych dni. Jednakowoż co się tyczy śmierci, to owo pochlebające zapewnienie, że się z pewnością zacznie być czemś z chwilą, gdy się faktycznie przestanie kimś być, jest chyba mocno spóźnionym zaszczytem i stanowczo wolałoby się jeszcze tutaj na ziemskim podole zyskać należne sobie uznanie. Natura człowieka tak jest z ziemią związana, że nam się jakieś pozaświatowe bytowanie wydaje takim nieistotnym, jakim jest w rzeczywistości.

Wobec takiego zupełnego zatarcia się granicznych linii życia, z którymi się człek z Zachodu od czasów niepamiętnych otrząsał, wątpliwem jest mocno, czyby wogóle sam siebie poznał, gdyby go przesadzono w tamtą kulturę. W każdym razie, rozpoznanie takie bardzo umiarkowaną zrobiłoby mu satysfakcję. W porównaniu z tem, sama nawet nirwana mogłaby się przedstawiać jako szczęśliwy pobyt. Indywiduum jego, opatrzone komunalnym, rzecby omal można, kosmicznym dniem urodzenia oraz obowiązkową połowicą, musiałoby mu się chyba wydać czemś niklejszem od cienia, i już same otaczające warunki zmusiłyby go do rzucenia się w ramiona buddyzmu.

Bliższa zaś znajomość warunków nie zachwiałaby wcale jego przekonania. Życie Dalekiego Wschodu w całym swoim przebiegu odpowiada owym trzem typowym punktom zwrotnym. Od początku do końca cechuje je smutna bezosobowość. Zarówno w powszednim trybie, jak i we wszystkich decydujących wypadkach ono przedstawia krańcowo odmienny obraz od naszego własnego życia.

Jednostką socjalną, ostatnią drobiną bytu jest na Dalekim Wschodzie nie indywiduum, jeno rodzina.

My, ludzie Zachodu, wyobrażamy sobie, że mamy kult dla swych rodów. Ba, nadymanie się nasze z tego powodu posuwa się nieraz do obrażania podobnych przesądów u innych ludów. Zdaje się jednak, że nie zaczynamy oceniać znaczenia dziedziczności; albowiem wedle logiki, nie przynoszącej nam bynajmniej zaszczytu, duma nasza z przodków stoi w prostym stosunku do oddalenia ich od nas.

Z drugiej zaś strony, niektórzy budzą zgorzienie przez to, że, pomijając całą dalszą rodzinę, wyróżniają jedynie najbliższych, bezpośrednich krewniaków i tak zawzięcie do nich lgną, że nieraz, pomimo sprzeciwów natury, skłonność ta prowadzi do małżeństwa. W gruncie rzeczy, cała duma i miłość dla członków naszego osobnego klanu pochodzi jeno stąd, iż patrzymy na nich z autocentrycznego stanowiska w systemie społecznym. My, we-

własnych oczach jesteśmy ową gwiazdą ośrodkową, naokół której, niby w śnie Józefowym, krążą nasi krewniacy, uświetniają jej blask. Nasza ptolomeuszowska teoria towarzyska jest koniecznym wynikiem upartego trzymania się stanowiska egotycznego. Owa to „idée fixe“ sprawia złudzenie jakoby wszystko inne kręciło się wkoło nas. Tam u naszych antypodów niema mowy o takim egoistycznym wyobrażeniu świata. Aczkolwiek wiele zachodzi zewnętrznych podobieństw, to przecież podstawowe zasady rodzinnych względów na obu półkulach różnią się wielce pomiędzy sobą. Społeczeństwo bowiem Dalekiego Wschodu obraca się dookoła osi „patrycentrycznej“.

Na pojęciu rodziny jako socjalnej i politycznej jednostki opiera się cała struktura Chin. Tasama, nieco tylko zmodyfikowana teoria tworzy zasadę życiową Korei, Japonii oraz ich kulturalnie mniej rozwiniętych pobratymców zamieszkujących olbrzymi kontynent środkowej Azji. Od tronu cesarskiego aż po lepiankę prostego kulisa panuje owa idea pokrewieństwa tworząca spoidło budowy państwowej. Państwo jest tam wielką rodziną, rodzina małym państwem.

Jedno rozwinęło się z drugiego. Wiadomo że najpierwotniejszym politycznym, ustrojem świata był ustrój patryjarchalny. Można śmiało powiedzieć, że wszystkie narody przeszły przez ustrój patryjarchalny, większość ich jednak dawno z niego wyrosła.

To też nie to jest osobliwością żółtych ras, że posiadały tak dziecinną organizację, ale to, że wciąż ją jeszcze posiadają, że potrafili zachować ją po dziś dzień, niezmienioną od czasów przedhistorycznych. Zadziwiająca jest rzeczą, jak w tym kalejdoskopie świata, w którym obrazy wciąż się zmieniają, jako że czas nieustannie przemienia jedne kombinacje jego składników w drugie, mógł się utrzymać po tamtej stronie kuli ziemskiej tensam prastary skład. Mimo pochodzenia wieków, mimo zmieniania się warunków bytu, mimo olbrzymiego postępu cywilizacji, po dziś dzień trwa tam ów prymitywny ustrój towarzyski, we

wszystkich swych przejawach taki sam jakim był za czasów, kiedy to koczujący praojcowie w spokojnych lub wojennych pochodach przeciągali równinami środkowej Azji. Wówczas była im ta zasada pomocną przy rozprzestrzenianiu się, potem stała się jedynie kulą u nogi. Albowiem miasto na wzór innych prestarzałych zapatrywań, zniknąć, zrobiła to, co było nieodzowne dla jej przetrwania — skryzalizowała się w instytucję. Już była doszła do tego w praktyce, gdy jej się dostała teoretyczna również sankcja, a przez nią zabezpieczenie nieśmiertelności na ziemi. Przed kilkoma tysiącami lat Konfucjusz, wynosząc pietyzm dla rodziców do godności podstawy chińskiego kodeksu etycznego, zrobił z niego świętość. To było ostatniem dotknięciem ręki przy petryfikacji owego ustroju. Albowiem odkąd, Mędrzec wycisnął na nim swą pieczęć nikt go się już nie poważał tknąć. Sama myśl sprzeciwienia się Konfucjuszowi byłaby świętokradztwem, którego żaden Chińczyk nie byłby w stanie się dopuścić. Nie tyle z tego powodu, żeby autorytet Filozofa sam przez się miał być nietykalny, ile dlatego, że wiara w autorytet tak głęboko tkwi w charakterze tego ludu. Konfucjusz, unieśmiertelił panujący zwyczaj, stwarzając zeń system. Dał wyraz uczuciom narodu i w ten sposób związał je jeszcze nierozzerwalniej z narodowem uświadomieniem. Tak zatem wyrosło znaczenie rodziny z naturalnego stosunku jej do nienaturalnego w najwyższym stopniu społecznego anachronizmu. Luźne węzły koczowniczego współżycia stały się przyjętymi i obowiązującymi przepisami. Węzły mające ongiś za cel korzyść wzajemną, zmieniły się na kajdany, któremi młodość w beznadziejny sposób przykuta została do starości. W połowie drogi rozwoju rasa ta oglądnęła się poza siebie i odtąd w dalszym swym pochodzie patrzyła stale wstecz. Oczywiście, że w ten sposób mogła się tylko nadzwyczaj powolnie naprzód posuwać.

Głowa rodziny jest nią wprost w tem samym znaczeniu co u ciała. Ona daje początek wszelkiemu działaniu. Przed nią odpowiedzialne są wszystkie inne części. Części te zaś pozbawione

są możliwości indywidualnego wyrażania się, zarówno jak ręka, noga lub oko człowieka. Zaiste, doktor konfucjańskiej teologii mógłby udzielić jakiemuś egoiście podobnej nagany jaką raz na Zachodzie posłyszał od swego lekarza pewien hipochondryk, który nie czując się po obiedzie tak, jak się czuć spodziewał, zapytywał jak się właściwie powinien czuć. „Czuć się, młodzieńcze? Nie powinienesz pan wogóle wiedzieć o tem, że posiadasz narząd trawienia“.

I tak też normalny syn chiński nie wie wcale o tem co znaczy mieć własną inicjatywę. Własną? To słowo, będące u nas oddawna symbolem posiadania rzuca światło na zależność jego stanu. Chiny są jaskrawym przykładem absolutnego braku osobistych praw. O synie Chińczyka niemożna wogóle rzec, żeby cośkolwiek posiadał. Ziemia przezeń uprawiona jest własnością rodziny, której on stanowi trzydziestą może lub Bóg wie jaką mniejszą jeszcze niepodzielną częśćkę. Nawet zarząd tej ziemi nie leży w jego ręku, a jeno w ręku rodziny reprezentowanej przez swą głowę. Świadczą o tem nawet zewnętrzne znamiona posiadłości. Kamienie graniczne na miedzach noszą nazwę rodziny, nie nazwisko osobnika. Rodzina jako taka jest właścicielem, posiadłości jej uprawiają wspólnemi siłami wszyscy członkowie klanu, wspólnie też utrzymując się z dochodów. Co się tyczy zarządu własności ziemskiej, zbliża się w tem rodzina do rosyjskiego „miru“. Co do osobistego wszelako położenia, to chiński syn jest w daleko większej niewoli niż niewolny parobek. Domowe jego życie podlega ustawicznej kontroli władzy ojcowskiej, która to zależność jest najbezwzględniejszą ze wszystkich. Już samo istnienie staje się okolicznością natury ogólnej. Od domu rodzinnego lub grupy domów stanowiących mieszkanie wszystkich członków rodziny, aż po grobowiec familijny, do którego ich kiedyś wszystkich zaniosą, odbywa tam człek życiową swą pielgrzymkę w nieustającym, najściślejszem towarzystwie swej rodziny.

Życie osobnika jest zatem niepodzielnym ułamkiem życia rodziny. Jak dalece zaś nim jest powiedzą nam następujące fakta.

Zacznijmy od początku.

Narodziny dziecka japońskiego są bardzo ważnym zdarzeniem dla wszystkich domowników, z których każdy z osobna się cieszy, krom rozbęczanego noworodka. Ta powszechna radość zależna jest jednak w pewnym stopniu od płci niemowlęcia. Jeżeli to jest chłopak wszyscy nie posiadają się z zachwytu; jeżeli dziewczynka, zapał w zachwytach jest znacznie słabszy. U wrażliwszych krewniaków w tym ostatnim wypadku dość wyraźnie przebija niezadowolenie, bardziej filozoficznie usposobieni roją na przyszły raz pomyślniejszy wynik. Obie partje wyprzedzają się w kunsztownych przemowach, których wszakże nikt z nich serjo nie bierze, jako że oczywiście jest, iż rodzina na tej loterii kiepski wyciągnęła los. Ta radość tak bardzo zależna od płci jest dowodem, jak znikomą rolę gra sama osobistość, nawet w widokach na przyszłość. Przyczyna zdecydowanego wyróżniania męskiego potomka leży naturalnie w ogólnie panującym życzeniu zachowania rodzinnego pnia.

Nieszczęsny noworodek przedstawia wartość tylko jako przedłużacz rodu. Chłopak jest odrazu przyszłym ojcem, podczas kiedy dziewczyna, jeśli wogóle za mąż wyjdzie, opuści swoją rodzinę aby wejść do innej, z góry już więc można ją uważać za straconą. Ten smutny stan rzeczy łagodzą jednak do pewnego stopnia możności adopcji, których istnieje nieskończona moc. Dlatego też córki nie są znów tak rozpaczliwie ciężkim dopustem bożym.

Zakutane i przytroczone do pleców mało co starszej od siebie siostrzyczki, wyjeżdza niemowlę z obrębu domu rodzinnego w świat. Poruczone opiece istoty, co sama przed chwilą nieledwie, wątlę była niemowlęciem, ogląda świat po raz pierwszy. Maleńkość tych piastunek jest zdumiewająca. Kiwiają się tam po ulicach takie filigranowe lalczki obarczone stworze-

niami przez pół tak wielkimi jak one same. Jak kropki nad i wydają się niemowlęce główki naturalnie zespolonemi częściami małych piastunek.

Taka oszczędność przy doglądaniu dzieci daje wiele do myślenia. To że wogóle możliwem jest oddawanie jednych maleństw w opiekę drugim, dowodzi przedwczesnej dojrzałości japońskich dzieci. Ale owa zadziwiająca dojrzałość młodzieży uwarunkowana jest, wskutek prawa, które zbyt jest znanem aby potrzebować komentarzy, późniejszą niedojrzałością rasy. Naturalnym biegiem rzeczy, im bliższą jest granica rozrostu, tem wcześniej bywa ona osiąganą. I jeszcze pytanie, czy się to nawet szybciej nie odbywa, jeśli weźmiemy po uwagę, że wyścigowiec, który krótszą ma do przebieżenia przestrzeń, nietylko wcześniej bieg swój zakończy, ale będzie się też ze względu na większą chyżością poruszał — albo to, że mała planeta nietylko wcześniej się starzeje od wielkiej, ale starzeje się też stosunkowo szybciej. Jowisz przechodzi obecnie okres ognistej swej młodości, podczas kiedy księżyc jest już więcej niż zgrzybiałym starcem, a wszakże był Jowisza rozpoczął się o wiele wcześniej niż był Księżyc. Oto prawo, które tłumaczy nienormalnie wczesny rozwój rasy żółtej i następujący po nim okres nieczynności.

Tymczasem młodociana piastunka, nie wiedząca szczęśliwie nic o tem, co rokuje przedwczesna dojrzałość o jej przyszłych możliwościach, wędruje sobie wedle ochoty, poświęcając od czasu do czasu chwilę uwagi swemu wychowawcy, którego biedna, mała główka kiwa się bezwładnie i żałośnie na obie strony.

Skoro tylko dziecina nieco podrośnie kończy się jej pielęgnowanie i zaczyna z kolei obowiązek uważania na młodsze. Domowe jej życie to jedna, nieustająca subordynacja. Stosunek jaki zachodzi pomiędzy obowiązkiem posłuszeństwa u niej, a obowiązkami dzieci w innych krajach, ujawni nam się dość wyraźnie jeśli porównamy nacisk, z jakim brzmią odnośne przepisy w różnych katechizmach. W prawie mojżeszowem przekazanie „czcij ojca twego i matkę“, stanowi dziesiątą jego część, w konfucjań-

skich przepisach etycznych wypełnia ono przynajmniej ich połowę. Dziecko chińskie ma nie tylko słuchać rozkazów rodzicielskich jak najwyższych praw, lecz ma samo w sobie doskonalić się w posłuszeństwie. To czynić co mu każą, to tylko minimalne jego zadanie; cały sposób swego myślenia i działania zwrócić ma jedynie w kierunku służenia głowie swej rodziny. Wedle tego samego kodeksu postąpił sobie Eneasz przy ucieczce swej z Troi: jak wiadomo troszczył się w pierwszym rzędzie o ojca, następnie o syna, na końcu dopiero o żonę, którą też, nawiasem mówiąc, zgubił. — U Chińczyków przednią cnotą obywatelską i ludzką jest synowska miłość. Syn niewypelniający swych obowiązków uważany tam jest za wyrodka, za okaz moralnego potwora. Nie mogłoby też być inaczej. W osobie bowiem ojca ucieleśniony jest cały długi patryarchalny ród, którego nagromadzona od wieków władza w istocie jest boską. Ponad ten stan wiecznej zależności indywiduum nie wyrasta nigdy, zarówno jak nie wyrosła z niego rasa.

Chłopczyk nasz poczyna oto uczęszczać do szkoły, oczywiście uczęszczać, jako że internat nie zgadzałby się z życiem w rodzinie. Na początek dostaje do ręki trymetrycznych klasyków, aby się wyuczył na pamięć znaków pisma i liznął przytem coś niecoś ze złotych myśli. Po tej książce następuje „Stulecie nazwisk rodowych“, katalog wszystkich chińskich rodów, służący również do nauki znaków pisarskich, aczkolwiek zawarta w nim myśl, wskazująca wielkie znaczenie rodziny z pewnością nie omieszkuje wyrzec na młodocianych umysłach głębokiego wpływu. Potem przychodzą „Klasyki tysiąca znaków“, cudowna sztuczka mnemotechniki, albowiem z tysiąca znaków pisma tej książki żaden dwa razy tam nie widnieje; wątpliwem jest jednak czy czytelnicy tej przymusowej lektury należycie doceniają ów podziwu godny brak powtarzania się. Pomni na własne nasze szkolne czasy możemy sobie z łatwością wystawić wstręt jaki odczuwa chłopak do tego, czem mu się każą zachwycać. Trzy następne książki różnią się pomiędzy sobą pod względem formy,

co do treści dziwnie są jednakie. Jestto historia powiązana z moralami. Albowiem bogobojność starożytnych stale łączyła historię z moralnością. Zdawałoby się, że przeszłość cała żyła jedynie poto, by dawać piękny przykład potomności. Chińczycy owej złotej epoki byli wprost niemoralnie cnotliwi a tych niewielu nieszczęśliwców, na których w późniejszych czasach wskazywano jako na odstrasżające przykłady zwyrodnienia, zamykali na cztery spusty. Abstrahując od tego, że nauka nic tam nie mówi o życiu przyszłym, można przyrównać wychowanie na Dalekim Wschodzie do nieustającej szkółki niedzielnej. Albowiem uczeni autorowie nie opuszczają żadnej sposobności, aby w najbardziej nawet świeckie ustępy swych dzieł wplatać nauki moralne. Powiedzenie Dionizjosa z Halikarnasu, iż historia jest filozofją uczącą przykładów, możnaby tu tak sparafrazować: historia jest wykładaną na przykładach „filio- sofją“. Każda pouczająca anegdota musi zawierać inny rodzaj okazywania czci dla rodzica. Wszystko inne poświęca się dla hołdowania tej jednej najwznioślejszej cnotie. W ten sposób dążenia ucznia zostają zwrócone w tym jednym wyłącznie kierunku. Co kartka to przykład synowskiego samo-zaparcia się. Podnieca to do najwyższych granic młodzieńczą ambicję. Obrazy z przeszłości przeważnie koloryzowane, ukazują ową wychwaloną zaletę w tak przesadzanych typach, że odebrałyby one u każdego mniej dziecinnie usposobionego narodu wszelką ochotę, do współzawodniczenia z nimi. Lecz chłopak tutejszy wierzył ślepo we wszystko, wszystko pomnaża jego gorliwość, postanawia nawet przewyższyć to, o czem czytał.

Wystarczy kilka przykładów.

Jakieś opowiadanie podaje za wspaniały wzór do naśladowania bohatera, który podczas popadnięcia rodziny w wyjątkową nędzę, zagłodził syna aby móc swemu staremu ojcu dać jeść. W innej opowiadce rozwodzi się ktoś bez zastanowienia ze swą żoną za to, że pozwoliła sobie na niewinny żart z drewnianymi wizerunkami rodziców, które ostawił był w mieszkaniu dla za-

noszenia przed nimi codziennych modłów. Jest tam też mowa o takim zuchu, co się zaprzedał na wieczystą niewolę aby tylko móc pochować z należytą pompą swego godnego rodzica, który najpierw okpił swoich sąsiadów, a następnie żyjąc sobie szeroko i bujnie przetrwonil nabyte złodziejskim sposobem dobra. We wszystkich tych opowiadaniach, podobnie jak i w pewnych problematycznej wartości romansach u nas, konwencjonalny moral ma nibyto usprawiedliwiać ogólną niemoralność akcji.

Tak się przedstawia wychowanie szkolne młodego Chińczyka. Podobny system panuje i w Japonji, różnica zaś jest raczej ilościowa niż jakościowa. Książek używa się tu i tam prawie tych samych, materiał literacki różni się tylko w tem, że w jednym wypadku czyta uczeń własnych klasyków, w drugim zaś klasyków obcego narodu.

Jeżeli chłopak należy do stanu średniego, winien się po ukończeniu szkoły wyuczyć ojcowskiego rzemiosła. Oddanie się jakiemuś innemu zawodowi byłoby zupełną niedorzecznością. Dlaczegoż to miałby sobie obierać inny sposób zarobkowania? Jaki i poco? Czyż zawód, któremu oddaje się ojciec, nie należy do istniejącego porządku rzeczy i czyż on będąc synem swego ojca nie jest zarazem naturalnym dziedzicem jego zdolności? Nie jest wprawdzie naukowo dowiedzione, żeby takie uzdolnienie miało być dziedziczne, lecz bierze się to tam z instynktu za fakt. Możliwość dziedziczenia po kądzieli nie wchodzi wcale w rachubę, tak jakby samo oderwanie matki od jej własnej rodziny, wykluczało już wszelką z nią wspólność. Co się tyczy indywidualnego, specjalnego jakiegoś zamiłowania młodego człowieka, to uprzejma natura przystosowała się w tem do obyczaju nie obdarzając go wogóle żadnem. I tak n. p. zostaje stolarzem ponieważ przodkowie jego z dawien dawna byli stolarzami. Dziedziczny rodzinne rzemiosło, niby organiczną przynależność do rodzowego nazwiska, zmusza go do niego urodzenie a nie wewnętrzne jakieś skłonności. Zazwyczaj jednak dość ma potem kwalifikacyj, albowiem praktyka kilku pokoleń, w jednej odnodze

rodu, gromadzi ogromną wiedzę techniczną. Skutki tego systemu cechów rodowych we wszelakich gałęziach przemysłu, są wielce godne uwagi. Znana jest w całym świecie niedościgniona wprost przewaga japońskich rękodzielników nad swymi europejskimi towarzyszami. Z drugiej strony, to że zawód w abstrakcyjności swego istnienia pochłania całkiem konkretne indywidualizmy, jest zarówno uznane w teorii jak dowiedzione w praktyce. Człowiek sam rozpuszcza się zupełnie w swoim fachu. Uwidoczniają to już nawet nazwy różnych zawodów. Jako przykład niech posłuży japoński wyraz „stolarz“, brzmiący w dosłownym tłumaczeniu: „ostrze — sprzęt — dom“, odnoszący się zarówno do osoby majstra, jak do jego warsztatu.

Młodzieniec, który nie wywodzi się z pośledniejszego stanu średniego a jeno z błękitnej krwi, lub taki, który pała żądzą wywyższenia, staje się studentem. Jeżeli nauka dotychczasowa nie nasunęła mu wątpliwości co do wartości owej pod niebiosą wynoszonej wiedzy, poświęci jej odtąd swoje życie. Z gorliwością, godną zaiste lepszej sprawy, rzuca się w otchłań badań nad klasykami, póki się tak w nich nie pogrzeży, że traci wogóle zmysł dla wszystkiego innego. Jak sobie to można wyobrazić, poczyną w końcu nadawać zdaniom starożytnych mędrców daleko głębsze znaczenia, niż im się samym kiedykolwiek śniło. Staje się bardziej Konfucjańskim, niż sam Konfucjusz. Jestto prawdziwem szczęściem dla powagi tego mędrca, że niemoże powrócić na ziemię, z pewnością bowiem z wielkiem uszczerbkiem dla swej chwały popadłby w sprzeczności ze swymi komentatorami.

Tak się przedstawia sprawa w Chinach i Korei. Wszelako kwitnący stan uczoneści w Państwie Środka nie jest bynajmniej wpływem jedynie indywidualnego zainteresowania, państwo bowiem samo pieczołowicie zajmuje się wiedzą. Ono też najwyższą daje sankcję uczonym, nagradzając ich urzędami. Studjowanie klasyków jest jedyną drogą do władzy politycznej. Aby zostać mandarynem, trzeba zdać szereg konkurencyjnych egzami-

nów ze wszystkich tych przedmiotów, współzawodnictwo zaś na tem nieosobistem polu jest niezwykle ożywione. Bo podczas gdy ogólnie zapał do filozofji, dla samej tylko filozofji, zwykł tu wszędzie wykazywać wkońcu oznaki zmęczenia, nie osłabnie nigdy tam, gdzie rezultaty są tak namacalne. Uczoności przypadają tam w udziale wszelakie doczesne nagrody. Mąż, który zdoła napisać doskonale scholastyczne dzieło o klasykach, zyskuje odrazu prawo do ogromnych zaszczytów, a jeszcze więcej sposobności do wzbogacania się, jako że władza jego pozwala mu wyzyskiwać swych mniej uzdolnionych współobywateli. Chiny są rajem uczonych, rajem, w którym wiedza obraca się w niewyczerpane źródło mamony.

W Japonji studjowanie klasyków nie staje się wprawdzie nigdy zawodem, lecz było zawsze uprawiane z wielkiem zamiłowaniem. Brakło tam biurokratycznego ustroju Chin. Nie dalej bowiem jak przed pół wiekiem<sup>1)</sup> grażyła się jeszcze Japonja, pomimo swych uczonych, w śnie średniowiecznego rycerstwa. Póki zaś samuraj nosił stale przy sobie dwa groźne miecze, póty czuł też potrzebę robienia z nich odpowiedniego użytku. Przemięły piękne dni błędnego rycerstwa. Ci sami samuraje, zbrojni już tylko w okulary, które zawdzięczają zbyt gorliwemu studjowaniu germańskich tekstów, dziś wielce są jeszcze zadowoleni, gdy mogą strzec za małym wynagrodzeniem ulic i aresztować zaburzających spokój publiczny awanturników.

Młodzieniec nasz osiągnął oto wiek swego rozkwitu, przeżywa ową krótką wiosnę, kiedy to cały świat przybiera odblask

---

<sup>1)</sup> Datą od której zaczyna się europeizacja Japonji jest rok 1868. Jestto rok objęcia rządów świeckich przez mikada Mutsu Hito, który dotąd był właściwie tylko zwierzchnikiem religijnym, podczas gdy władza świecka należała do oligarchji szlacheckiej pod przewodnictwem Szoguna. Zamach stanu dokonany przez mikada zniósł tę dwoistość władzy i rozpoczął erę reform i odrodzenia. Najintensywniejszy jej okres trwał do wybuchu wojny japońsko—chińskiej w r. 1894. (Przyp. tłum.)

różowy i wedle wszelkich dramatycznych reguł powinien się zakochać. Niczego wszakże podobnego nie czyni. Smutne to jest wiele, lecz prawdziwe. Miłość, tak jak my ją rozumiemy, jest Dalekiemu Wschodowi zupełnie nieznaną i wielkie to szczęście, rzewne to bowiem uczucie byłoby tam czemś więcej niż niedostojowaniem. Oddawanie mu się wywoływałoby niezliczone zaburzenia w trybie społecznym, nie mówiąc już o rozpaczliwym położeniu samej ofiary. Prawdopodobnie miłość potępiona by tam została na równi z kleptomanją lub jakimś innym karygodnym objawem bezwzględniego egoizmu. Społeczeństwo niczego podobnego znieść nie mogło, boć by to podkopało korzenie całego ustroju społecznego.

Nie będziemy się tu zastanawiali nad faktem niedoli ludu pozbawionego przez skąpy los owej nici szczęśliwości, która u nas tworzy całą tkaninę życia kobiety a w życiu mężczyzny conajmniej jego wątek; zajmie nas tylko oddziaływanie tego braku na poszczególne indywiduum.

Jeśli zachodzi w życiu człowieka taka chwila, w której zainteresowanie do świata całego błędnie wobec przemożnej siły osobistego uczucia, to niezawodnie wówczas kiedy się po raz pierwszy zakocha. Boć właśnie wtedy wewnętrzne światy usuwają zupełnie w cień świat zewnętrzny. Żadna z ludzkich namiętności nie jest bardziej odosabniająca od tej, najczulszej ze wszystkich. Ażeby komuś całe serce oddać, musimy nieodzownie całą resztę ludzkości z niego wykluczyć. I czynimy to z tak bezwarunkową ufnością we wystarczanie samym sobie, że jest w tem aż coś wzniosłego. Miljony bliźnich nie istnieją dla nas zupełnie, na całym świecie, który nagle stał się niewypowiedzianie piękny, jesteśmy tylko my dwoje. W istocie też, nie potrzeba niczego więcej jak takiego rozumnego wyludnienia, żeby każdy kąt na ziemi zamienić w raj. Może starzy, żydowscy twórcy mytów to właśnie mieli na myśli pisząc swoją sielankę o stworzeniu świata. Niechają wreszcie nasze dusze konwencjonalnych obłonek, aby się ukazać w całej swej prawdzie. Myśli, któryck

nie wazyliśmy się nikomu powierzyć, wyjawiamy nagle pełni ufności przed tą, która wydaje nam się przeznaczoną od wieków do tego, aby ją jedną rozumieć. Tamy, przez długi czas zamknięte, otwierają się i oto wnętrze nasze, nieufnie początkowo ukrywane, wybucha niewstrzymanym strumieniem. W takiej bowiem chwili największe mruki tryskają wymową, najbardziej powściągliwi stają się rozlewnymi. Każdy szczegół naszego minionego życia zyskuje znaczenie, o jakim się nam samym ledwie śniło. Jej jednej powierzamy wszystko, naszą wiarę dziecięcą, nasze chłopięce marzenia, wszystką naszą głupotę, wszystką mądrość, wszystko co piękne, co wielkie i co małe. Wydaje nam się, że nic z tego nie jest zupełnie niegodne jej i że nic nie jest jej dosyć godne. Kwiaty i kwiatki, któreśmy w drodze naszej zebrali, składamy na jej kolanach, pewni że i najlichszy z nich nie zostanie wzgardzony. Czyż dziw, że znosimy ich tyle, skoro wiemy, że się nad każdym z nich tkliwie pochyli?

Zupełnie taksamo jak przeszłość nasza ożywająca wyraźnie na wspomnienie, jawi się przed nami jasny obraz przyszłości. Marzenia o tem czemuśbyśmy być chcieli, stają się równie osiągalne, jak wszystko to czem już byliśmy. Zamki w chmurach, na które razem z nią spoglądamy, przybierają ludzaco materialny wygląd stereoskopicznych widoków. Najbujniejsze fantazje wydają się pochwytą prawdą, są nią bowiem dla naszej kochanej; ozłoczone światłem jej miłowania, skrzą się niby rzeczywiste wschodnie jakieś pałace. Wszystko staje się nagle możliwe, nic już nie jest nieosiągalnem. Gdy mówimy a ona trwa w zaśluchaniu, zdajemy się oboje wypływać pod nasze najwłaśniejsze, świetliste niebiosy, jak te lipcowe obłoki nad nami, co zeglują sennie w dal niezmiernego stropu.

Nie byłoby to nadludzką rzeczą nie wierzyć w siebie samego, gdy drugie stworzenie wierzy w nas tak bezwzględnie? Nasze najtajniejsze myśli nie są już czemś, czegobyśmy się wstydzili, albowiem ona je uświęciła. Choćby tam niewiedzieć jakie wątpliwości zaciemniały nasze rojenia, pierzchają one wszystkie

przed jej, pełnym uznania uśmiechem. Nie przychodzi nam wcale na myśl, że jej poklask może pochodzić z uprzedzenia. Ona rozumie nas tak, iż wydaje się jakobyśmy siebie sami lepiej teraz zrozumieli. Szczęśliwy ten co jest tak rozumiany, szczęśliwy nawet i taki, któremu sama serdeczna jej chęć rozumienia go daje złudzenie, że jest rozumianym. Po wielokroć szczęśliwy, czyj wzrok nigdy nadto nie jest w tych rzeczach bystry.

Człowiek Dalekiego Wschodu nigdy nie zaznał stanu takiego błędnego zaślepienia. Nigdy go nie odurzają pragnienia, nigdy nie staje się powolną ofiarą słodkiej ułudy. Nie odczuwa potrzeby otwierania swej duszy i poznawania przez to siebie samego. Nigdy rozmiłowane serce nie podnieca go do ścigania jakichś własnych ideałów. Nie wie, co to żądza stania się naprawdę tem, czem się jest już w oczach ukochanej. Obyczaj tak skrepił jego wyobraźnię, że wygasła w nim wszelka ochota do wynurzeń. Kobiecie niema nic do powiedzenia, a jej zbędne są też uszy. Nie jest ona bowiem jego miłością; jest jeno żoną, tem co ostaje z romansu, gdy zabraknie mu romantyczności. Nie była mu też nigdy niczem, boć przecie nie z miłości ją pojął za żonę. Nie dano mu kochać z pobudek osobistych i wcale sobie też tego nawet nie życzy. A gdyby się nieszczęśliwym jakimś trafem tak dalece zapomniał, fatalne by to miało następstwa, ponieważ zarówno on niema głosu w wyborze oblubienicy, jak i ona w wyborze oblubieńca. Dla mieszkańca Dalekiego Wschodu przedstawia małżeństwo najważniejszą transakcję handlową w życiu. Byłoby zatem niedorzecznością pozostawiać tak doniosłą sprawę do załatwienia niedoświadczonemu młodzieńcowi. Bo aczkolwiek grają przy tem rolę podrzędną i ubolewania godną, to przecie wielki nacisk kładzie się na względy światowe. Przeprowadza się tedy ten akt z tą samą starannością, z jaką przeprowadza się transakcje wielkim i ważnym artykułem handlowym. Rozstrzygającą rzeczą nie są doraźne oględziny towaru, lecz jakość jego w ogóle. Wybór następuje podobnie jak wybór ubrania, z tą różnicą, że ubranie dostosowuje się do miary osoby,

czego tutaj niema. Zapewne, że prostsza to rzecz sprawić sobie żonę tak, jak sobie niektórzy ludzie sprawiają ubrania; nie wedle własnego zamówienia, lecz gotowe wprost ze składu. Tem prostsza, gdy się załatwia ten sprawunek nie dla siebie, tylko dla swego syna. Taki wschodni ojciec, patrzący na wszystko jedynie ze swego ojcowskiego punktu widzenia i niewiedzący wcale o podobnych głupstwach jak osobista skłonność, prowadzi swego syna do dostawcy i sprawia mu wszystko, co potrzeba. Że ów przedmiot troski ojcowskiej nie zamorduje w końcu swej nieszczęsnej połowicy, albo że się sam ze świata nie zgładzi, dowodzi to tylko jak gruntownie wyginęło tam już to samopoczucie, które u nas stanowi jądro wszech rzeczy.

W ten sposób małżeństwo jest rodzajem zakładania kapitału obecnej rodziny dla następnej, przy czem chwilowi partnerzy mają jedynie role statystów. Czasami ojciec sam dokonuje wyboru, czasami obraduje nad nim zwołany przez ojca lub przez zastępującego go seniora rodziny, plebiscyt. Albowiem i w tę patryjarchalną instytucję wkradło się z czasem takie rozszerzenie prawa wyboru. Rodzina zgromadza się, aby w uroczystem konklawe roztrząsać kwestję i powziąć decyzję wedle większości głosów. Rozumie się, że głównie zainteresowani nie biorą udziału w tem głosowaniu, jako że mogliby nie być zupełnie bezstronnie usposobieni. Rezultat konferencji wykazuje oczywiście w najlepszym wypadku wyraźną mierność, jak zresztą wszędzie przy powszechnem prawie głosowania. Taki wynik niemoże stanowczo odpowiadać ideałowi, któryby ktoś chciał widzieć w swojej żonie. Podobnej metody przy wyborze małżeńskim trzymają się też wprawdzie i wysokie sfery w nieosobistej Francji a ich „conseils de famille“ przedstawiają zupełnie analogiczne zjawisko; ale wiadomo, że małżeństwo u tych wysokich sfer jest jeno formą bez żadnej treści. Zaczyna się imponującym ceremonjałem, kontraktem cywilnym, który nie jest niczem innym, jak wymianą pewnych grzeczności pomiędzy stronami, potem

następuje obrzęd rytualny, który powtarza i uwiecznia ów pierwszy kontrakt i na tem też właściwie kończy się cała sprawa.

Tyle co do bezpośredniego wpływu na jednostkę; pozostaje zbadać jeszcze wpływ na rasę. Jest li działanie na jednostkę tak silne, o ileż silniej wystąpi ono w życiu rasy. A choćby nawet w poszczególnych indywidualnych wypadkach było nieznaczne, to przecież gromadzi się ono w każdym następującem pokoleniu nakształt procentów od procentów. Wybór żony za pomocą głosowania rady rodzinnej nie jest tyle wykładnikiem nieosobistego stanu rzeczy, ile raczej właśnie czynnikiem, który stan taki musi sprowadzać. Żaden pustelnik nie rozwinie nigdy pełni wszystkich swych zdolności, a ta domowa jego odmiana nie stanowi wcale wyjątku. Człowiekowi przykutemu na całe życie do kogoś będącego w stosunku doń zupełnem zerem, brak jest otoczenia, któreby się przyczyniło do psychicznego jego rozwoju, a w położeniu tem nie można uważać okoliczności, iż przodkowie jego w ten sam sposób żyli, za łagodzącą. Przytem zachodzi jeszcze kwestja doboru naturalnego, która sprawę zaostrza. Wobec dzisiejszych naszych usposobień erotycznych nie ma sposobu przekonania się o tem z całą wyrazistością demonstracji. Pokąd nasze drzewa rodowe nie wydadzą już tylko martwych gałęzi, póty naturalnie nic naprzd wiedzieć nie możemy o prawach, rządzących szczeniem życia. Narazie musimy się zadowolić uogólnianiem, wychodząc z własnych przesłanek, a wnosząc się ponad te przesłanki o tyle tylko, o ile potrzebnem to jest, aby zyskać możność patrzenia z lotu ptaka na naszych sąsiadów. Takie patrzenie ma przynajmniej tę zaletę, że całe pole widzenia przedstawia się jako płaszczyna.

Na takim ego-altruistycznym punkcie obserwacyjnym stojąc, zrozumiemy jasno dlaczego małżeństwo, takie jakim jest ono u nas, przyczynia się do wzmaganania samopoczucia: oto dlatego, że na wybór wpływa zgodność psychik. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że takie duchowe powinowactwo bardzo niewiele, a może i wcale nic niema wspólnego z małżeństwem-

O ile można zauważyć, zdaje się, że przyciągają się zarówno podobne sobie, jak zupełnie różnorodne natury. Mażeńskie stała się często wszystkim innym raczej, niż bliźniemi duszami: wszelako podwójne znaczenie angielskiego słowa „like“ (-taki-sam-kochać), dostarcza znamienego historycznego dowodu w tym względzie. Mamy w niem bowiem dokument z wczesnych czasów gotyckich świadczący, że ludzie kochali się dlatego, iż byli sobie podobni. Od owych zaś czasów uczucia nasze w zasadzie się nie zmieniły, aczkolwiek sposób ich okazywania stał się nieco powściągliwszy. Wówczas, wobec słabego zróżniczkowania mowa była surowa i pełna dzikich synonimów, a sposób postępowania tymże samym tchnął duchem. My, ludzie dzisiejsi, ludzi udoskonalonej cywilizacji, nie ciskamy na się włóczykami, a jeno epitetami i zadowolamy się piętnowaniem takich, którzy przypadkiem inne mają zdanie od naszego, jako niepo czytanych. Oczywiście, że ten egocentryczny punkt widzenia jest skutkiem instynktu samorozwojowego. Mimowoli podobamy sobie w osobach, których zapatrywania podobne są naszym i ciągnie nas ku nim, jak ciągnie ku sobie liście pływające po stawie, coraz bliżej i bliżej, póki się całkiem nie zetkną. Czyż możliwe, aby to prawo grawitacji nie stosowało się do tego najważniejszego wypadku, wyboru towarzyszy? Czy mamy przypuszczać, że nawet Sokrates pojął Xantypę jedynie dla jej zdecydowanego przeciwieństwa ze sobą?

Zupełnie inna sprawa z pociągami czysto fizycznym. Pod względem powierzchowności zakochują się ludzie nierzadko w zupełnie przeciwnych sobie typach, niebywale wysocy w śmieśnie niskich, okropnie grubi w rozpaczliwie chudych. Ale takie nieartystyczne kontrasty są o wiele rzadsze, niżby się zdawało. Nie należy bowiem zapominać o tem, że rzucają się one w oczy właśnie przez swoją niezwykłość, podczas gdy normalne, lepiej dobrane kombinacje uchodzą całkiem uwagi.

Ponadto istnieje dla fizycznej nierówności wytłumaczenie, które nie usprawiedliwia wcale duchowej. Oto natura zgadza

się na pierwszą z nich, przeciw drugiej zaś protestuje. Troska jej, ongiś ciała poświęcona, zredukowała się do minimum. Rozwój ciała, przestał ją obecnie zajmować. Oddawna już zwróciła swe starania w kierunku rozwoju duszy. Skutkiem tego człowiek jest fizycznie o wiele niedołężniejszy od wielu innych zwierząt, budowa jego nieprzystosowana jest do walki o byt, należy do przestarzałego, pośledniego typu ssaków. Organizm jego jest podobny wciąż do organizmów, jakie istniały w pierwszych zaczątkach organicznego życia, nieuposażony wcale w zdolności do specjalnych jakichś zadań. Gdyby nie mózgowica, nie sprostałby ani chwili w walce o byt, pierwsza lepsza małpa panowałaby tu zamiast niego.

Ale mózg potężniejszym jest niż biceps w stworzeniu, umiejącem zabijać wroga z odległości większej niżli go dostrzec może, zbędne są cielesne przewagi, aby przeżyć swego przeciwnika.

Tak więc przeniosło się współzawodnictwo z dziedziny materji, w dziedzinę ducha. Lecz zażartość walki bynajmniej nie osłabła. Z tym samym zapalem, z którym rwano się do uwieczniania pięknych pod względem anatomicznym odmian, dąży się obecnie do uczynienia dziedzicznymi zalet psychicznych. Gdyby zatem wyłącznie przeciwne sobie typy pały wzajemną namiętnością i kojarzyły ze sobą, owe pomyslane postępy rychło znalazłyby koniec. I jeśliby wogóle uszły zupełnemu zneutralizowaniu, musiałyby się rozdrobnić na całą ludzkość. Aby zapobiec tak fatalnym rezultatom, zaszczepiła w nas natura pożądanie podobnego sobie, którem to pożądaniem kieruje się człowiek instynktownie we wszystkich przedsięwzięciach. Zapewne, że zupełna tożsamość temperamentów nie jest ani prawdopodobna ani też pożądana, jako że mijalaby się ze swym celem, nie dając pola do żadnych odmian. Podobieństwo jednak w dość szerokim zakresie istnieje nawet tam, gdzieby go się najmniej spodziewało. Ta ogólna podstawa podobieństwa polega na właściwościach, które w oczach odnośnego osobnika uchodzą za

najistotniejsze, aczkolwiek inni niekoniecznie tak samo się na to muszą zapatrywać. Niezawodnie, że często właściwości te znajdują się jeszcze w zakokonicznym stanie, jako życzenia; niemniej wszakże są dla osobistości człowieka decydującymi, boć chęć jest zawsze matką swego własnego urzeczywistnienia się.

Chęć zgodności w małżeństwie wpływa nietylko na dziecko, lecz także na oboje rodziców nawzajem, bo jak wiadomo, wspólne pożycie wywołuje upodobnienie. Owóż to wspólne pożycie jest czemś, czego u stadeł na Dalekim Wschodzie zupełnie się nie spotyka. Tam, gdzie obyczaj każe kobiecie podczas wspólnych przechadzek stąpać pokornie za mężem w pewnem określonym oddaleniu, niewiele się nadarza po drodze sposobności do rozmowy, chociażby nawet była ochota po temu, co się jednak nigdy nie zdarza. Widok takiej spacerującej pary jest chodzącą satyrą na wspólne pożycie. Aktorowie jej bowiem wcale nie odczuwają śmieszności swego stosunku. W życiu domowem odstęp ten jest nieco mniej zabawny, lecz niemniej wyraźny. Małżonkowie żyją sobie każde w innym świecie, w Chinach i Korei dosłownie zdaleka od siebie, w Japonii zaś przynajmniej w myślach sobie dalecy. Na kontynencie Azji, gość męża nie widuje nigdy lub rzadko „panią domu“, w Japonii zaś odnosi się do niej tak, jak my odnosimy się do klucznicy w domu przyjaciela. Taki, czysto konwencjonalny stosunek pokrewieństwa niemoże oczywiście prowadzić do wzajemnego porozumienia.

Reszta nieobfitego w wydarzenia życia naszego bohatera, nie wymaga specjalnych komentarzy. Z chwilą, gdy urodzi mu się syn, awansuje oczywiście w skali ram familijnych z szeregowca na podoficera. Nie znaczy to jednak wcale, żeby zwiększyły się jego widoki na zaznaczenie własnej indywidualności. Wzniósł się poprostu tylko o jeden stopień w regularnej hierarchii swego poddaństwa. Dotychczas wodzono jego na pasku, odtąd poczyna i on innych wodzić. Oto cała różnica. Nawet, jeśli jest przypadkiem najstarszym synem najstarszego syna

i zostanie w końcu sam głową rodziny, niema przecież w żadnym razie możliwości uwzględniania swoich własnych, osobistych pragnień. Albowiem w tym społecznym światku, dla czegoś tak szczególnego jak pojęcie „ja“ niema absolutnie miejsca.

### ADOPTACJA

Wglądnąwszy dokładniej jeszcze w strukturę takiej rodziny, dochodzi się mówiąc o indywidualizmie do coraz smutniejszych wyników. Istnieją u tych ludów obyczaje, z których przypuszczać należy, że nawet coś tak już uogólnionego jak rodzina, nadto jeszcze jest osobistem, aby przedstawiać ostatni atom tworzywa społecznego i że ważne dla nich znaczenie posiada właściwa tylko idea rodziny; rzeczy można abstrakcja czegoś abstrakcyjnego. Takim tylko pojmo~~w~~aniem rzeczy objaśnić sobie możemy zwyczaje Dalekiego Wschodu, odnoszące się do adopcji oraz abdykacji.

U nas adopcja jest rodzajem zbytku domowego, czemś mniej więcej takim, jak trzymanie sobie ulubieńców w postaci piesków pokojowych lub kanarków. Jestto niby bezpłatne utrzymywanie takich, z którymi szczęście po macoszemu się obeszło, jest sztucznem powetowywaniem nierówności losu. Że to właśnie jest pobudką świadczy już sam wiek adoptowanego. Przyszły syn lub córka wchodzi zazwyczaj w dom przybranych rodziców jako dziecko. Wartość jego powiększa w znacznej mierze zupełna nieświadomość poprzednich swych pokrewieństw; nie byłoby bowiem miło przybranym rodzicom, gdyby przypadkiem dziecko znajdowało obecne swe położenie jako niepomysłniejsze od poprzedniego. Z uwagi na to przyjmuje się je zwykle w jaknajwcześniejszym wieku. I tak radość, którą się sobie obiecuje z jego towarzystwa zakasowuje wszystkie inne względy. Nikomu nie zależy specjalnie na posiadaniu psa, który już był czyjąś własnością, a cóż dopiero na takim dziecku. Jasnym jest tedy, że nie adoptuje się dziecka pod przymusem.

Gdyby tak było, gdyby się tu rozchodziło tak, jak u starożytnych Rzymian, jedynie o utrzymanie rodu, toć prościej byłoby rzeczą czekać z tem do ostatniej chwili, aby sobie oszczędzić zarówno trudu, jak wydatków.

Zupełnie inne znaczenie ma adopcja na Dalekim Wschodzie. Jest ona tam koniecznością genealogiczną, czemś podobnie nieodzownem, jak n. p. posiadanie ojca i matki. A może nawet i ważniejszym. Gorącym bowiem pragnieniem u tych ludów nie są przodkowie, lecz potomstwo. Blask sławy nie pada tam z ojca na dzieci, lecz odwrotnie, sławny wnuk uświetnia swoją wielkością osobę dziada. Jeśli się zatem nie udało komuś, samemu się odznaczyć, zawsze mu jeszcze pozostaje nadzieja we wnuku; naturalnym bowiem biegiem rzeczy, zyszcze mir przez zasługi swych następców. Takie to jest od czasów niepamiętnych prawo w tym kraju: sława oddziaływa wstecz. Ten podziwu godny system ma jedną tylko słabą stronę: działanie jego jest pośmiertne. Człek ambitny, pozbawiony nieszczęśliwym trafem własnych zdolności, zbyt długo czekać musi na uznanie. Jestto tak, jakby się chciało zrobić z gołej, bezdrzewnej pustyni wiejską siedzibę, sadząc tam drzewka. Wówczas gdyby się już mógł zacząć cieszyć młodym parkiem, właściciel umiera na uwiad starczy. Ponieważ jednak mieszkańcom Dalekiego Wschodu nie dano posiadać starych drzewostanów, każdy z nich zmuszony jest zasadzać sam swoje rodzinne drzewko. Naogół łatwiej jest sprawić sobie naturalnych potomków i obecność ich większe też daje zadowolenie. Stąd ów pośpiech, z którym rwie się tam człowiek do małżeństwa. Skoro mu wszakże, pomimo tej wielkiej gorliwości, złościwy los odmówi dzieci, zmuszony jest brak ten wypełnić sztuczną „namiastką”. Przystępuje tedy do adoptowania kogoś. Wierny swemu instynktowi, przybiera sobie z predylekcją za syna kogoś z dalszych krewnych. W niektórych wschodnich krajach istnieją nawet co do tego przepisy, i tak n. p. w Korei wolno przybierać tylko jednego krewnego z męskiej linii a mianowicie z linii młodszej, niż własna. W Japonii

wszelako niema takich ograniczeń. W tym postępowym kraju uważają za nierozsądne krępować obywatela przy tak czcigodnej czynności, jak utrwalanie własnej odnogi swego rodu, a przeskądzać mu w nieświadomem jej poprawianiu. Dlatego też wolno tam adoptować kogo się chce. A że ludzie bynajmniej nie są od tego, żeby się dać adoptować, ma się tam daleko więcej głosu w wyborze swego sztucznego potomstwa, niż się go kiedykolwiek miało w wyborze naturalnego.

Adoptowany niecha oczywiście swego własnego nazwiska, aby przybrać nowe. Ponieważ zazwyczaj jest już człowiekiem dorosłym i pod czas swego adoptowania cieszy się znajomościami w szerokich kołach, sprawia to z początku pewne zamieszanie. Nie byłoby jednak niczem niewygodniejszym od zmiany połączonej z wychodzeniem panny za mąż i towarzystwo wnet by się do tego przyzwyczaiło, gdyby się tam ludzie ograniczyli do jednorazowej zmiany nazwiska. Ale tak nie jest. Fatalna łatwość zabiegu kusi do jej powtarzania i powoduje niesłychany zamęt. Naród ten równie krótko popasa dziś przy własnościach przywiązanych do osoby, jak koczujący jego pradziadowie popasali na kawałku ziemi. Adoptuje się dzisiaj kogoś, aby się go jutro wyrzec i zastąpić pojutrze kimś innym. Tożsamość w społeczeństwie cenią sobie tak mało, że żonglują sobie nią z kuglarską łańcuchem swobodą. Może to i wskazane, takie niby przygotowanie za życia do przyszłej wędrówki duszy, lecz trudno przypuścić, żeby tego rodzaju zabiegi nie wprawiały samych biorących w nich udział w żadne zakłopotanie. Obcy narażony jest wskutek nich na ciągłe nieporozumienia. Gdy się spotka przypadkiem kogoś dawno niewidzianego, niewiadomo wcale jak się doń odezwać. Jeżeli się naprzykład powie: „Miło mi widzieć pana, panie Zielonka, jakże się pan miewa?“ usłyszy się napewno w odpowiedzi: „Dziękuję, miewam się doskonale, ale nie nazywam się już Zielonka, nazywam się obecnie Żółtko. Ubiegłego miesiąca mianowicie adoptował mnie ojciec mojej matki.“ Nie pozostaje nic innego jak przeprosić za omyłkę i za-

pamiętać sobie barwę owego pana aby go przy następnym spotkaniu znów fałszywie nie nazwać. Lecz cóż, kiedy do następnego spotkania zdążył już pan Żółtko stać się panem Czerwoniakiem. Takie kameleonowe nazwiska dość zaraźliwie wpływają na nasze własne pojęcia o identyczności, bynajmniej ich nie wzmacniając. Najlepiej jeszcze odnosiłyby się do nich nie-szczęśne takie osoby, co to zapamiętują sobie jedynie twarze, ale nigdy przynależnych do nich nazwisk.

Dziewczeta, jako nieprzedstawiające genealogicznie żadnej wartości w zasadzie nie bywają adoptowane. Oczywiście, że jakąś siostrzenicę czy wnuczkę po bracie, do której się ma specjalną predylekcję, można równie dobrze zaadoptować jak i u nas, byłoby to jednak wbrew wszelkim tradycjom, jako że według ścisłych zasad familijnego przedsiębiorstwa, niemoże ona nigdy stać się rzeczywistym jego członkiem.

Zwyczaj adoptowania rozciąga się nietylko na bezdzietne małżeństwa. Nietylko takie bowiem mogą się znaleźć w potrzebie. Ojciec licznej i kwitnącej rodziny może się czuć zarówno upośledzonym, jakgdyby nie miał żadnych wogóle dzieci, a to wówczas gdy potomstwo jego składa się z samych córek. W tak smutnym wypadku ciąży na nim o wiele donioślejsze zadanie, niż sam zarząd takim babińcem. Nie tylko starać się musi o zięciów, ale przedewszystkiem winien sprawić sobie syna, aby zapobiec wygaśnięciu męskiej linii. Najprostszą rzeczą w tym wypadku jest związać jednego osobnika podwójnym węzłem pokrewieństwa i wybrać do tego męża najstarszej córki. I tak się też dzieje. Zdobywa się pełnego zalet młodego człowieka na zięcia i przyjmuje go zarazem formalnie jako syna do rodziny, której nazwisko przybiera i której głową stanie się w przyszłości. Dziwna rzecz, że te widoki przyszłych zaszczytów bynajmniej nie wpływają kusząco. Dlatego może, że nikt niema najmniejszej ochoty żenić się z całą rodziną, a jest to uprzedzenie spotykane i gdzieindziej. W każdym razie nie bardzo się tam o to ubiegają. „Wżenić się“, tak się to po japoń-

sku nazywa, znaczy popaść w małżeńską niewolę. Stanowisko to nosi zbyt wybitne cechy służebnego stosunku, jako stanowisko pomocniczej siły w gospodarstwie domowym. „Jeśli masz bodaj trzy kokki ryżu — nie czyń tego“, mówi lud. To przysłowie ostrzegające przed małżeństwem dla pieniędzy, zastanawia tem bardziej, że powstało ono w kraju, który nie uznaje wogóle dla szanujących się ludzi małżeństwa z miłości. Przeiry-marczyć, w ten sposób swoje nazwisko uchodzi za poniżające godność własną, aczkolwiek, jakeśmy to już widzieli, żadnej nie przynosi ujmy zrobić to samo za nieco mniej wyraźnem wynagrodzeniem. Ponieważ zaś w praktyce, ubolewania godzien osobnik nigdy niczego podobnego, jak własną godność nie miał do stracenia, zachodzi tu osobliwy przypadek odbierania komuś tego, czego mu się nigdy nie przyznawało. Tak potężnym jest obyczaj. Szczęście to jeszcze, że pewne uprzedzenia ludu stawiają granicę tej sztucznej metodzie nabywania dzieci. Minimalne bodaj zamięłowanie do posiadania potomków z własnej krwi nieodzownem jest nawet i dla tej sztucznej ich odmiany. Gdyby bowiem jedno pokolenie zadowolilo się wyłącznie adoptowaniem, następne nie miałyby już kogo adoptować.

Znamienna rzecz, że z tego konwencjonalnego ustroju towarzyskiego, łatwiej jest w pewnych razach się wydostać, niż się weń weszło. Można się stać nieboszczykiem bez popełnienia samobójstwa. Istniejąc jeszcze w praktyce, można przestać żyć w teorii. Oto głowie rodziny przysługuje każdej chwili prawo abdykowania.

Słowo abdykować ma dla nas jakieś królewskie brzmienie. Mimowoli łączymy ten akt z pojęciem panującego. Nawet demokratyczniejsze wyrażenie „rezygnować“ przywodzi nam odrazu na myśl jakiś publiczny urząd. Mówić o abdykowaniu ze stanowiska w stosunkach pokrewieństwa jest niedorzecznością. Zdawałoby się, że to taksamo, jak mówić o wybieraniu sobie rodziców. To niepojmowanie stosunków społecznych Dalekiego Wschodu tłumaczy się tylko tem, żeśmy tak daleko odbiegli od

naszych prostych, koczowniczych obyczajów. Gdy sobie przypomnimy naszych protoplastów i istniejący podówczas porządek rzeczy, przestanie nas tak bardzo dziwić to pojęcie, boć przecie za owych dawnych, bukolicznych dni każdy ojciec był królem. Gospodarcze stosunki rodziny stanowiły jedno polityczne zagadnienie w życiu. Szczep był jednostką, spory domowe miały znaczenie wewnętrznych państwowych przewrotów, a roszczenia szczepów wywoływały wojny międzynarodowe. Patriarcha był dla swego ludu ojcem i władką zarazem.

Zwiększający się z biegiem czasu zakres rodziny doszedł w końcu do punktu, w którym ustala możliwość zachowania stanu skupienia. Skłonności odśrodkowe przemogły dośrodkowe ciężenie. Szczep rozprysnął się na poszczególne części, z których każda dla siebie tworzyła rodzinę. Te z czasem znów się dzieliły i w ten sposób szło dalej. Wszędzie odbywało się to tak samo, różnice leżały jeno w szybkości rozwoju poszczególnych ras. U nas dopełniał się ten wzrost z biegiem czasu coraz szybciej. Na Dalekim Wschodzie siła jego malała zda się, miasto przybierać i umożliwiła w ten sposób utrzymywanie się mgławicy w pierwotnym swym stanie, jako jednolitej masy, tak, że dziś jeszcze cały naród w jednorodności swojej podobny do mgławicy, rządzi się jedną jedyną zasadą patriarchy. U nas natomiast ruch ten stał się tak przyspieszony, że nawet rozrzuconych braci na cztery wiatry rozprasza.

Zachodni ojciec i wschodnia głowa rodziny nie są już dzisiaj odpowiadającymi sobie pojęciami. Ten ostatni podobny jest w obowiązkach swych, czynnościach i odpowiedzialności raczej do króla. W średnich wiekach, gdy król czuł się znudzony sprawami stanu, abdykował. Toż samo robi na Dalekim Wschodzie syta czynnego życia głowa rodziny. Abdykuje, a na jej miejsce rządy obejmuje najstarszy syn.

Z tą chwilą kończy się też polityczna egzystencja ojca. Nie znaczy to aby miał przestać być członkiem społeczeństwa, lub nie podlegać już ogólnym jego ustawom.

Wchodzi, rzec można w nirwanę socjalną, stawia — wedle własnych jego pojęć — pierwszy krok na właściwą nirwanę. Wypadki takich abdykacyj zdarzają się obecnie bardzo często, bez żadnych szczególnych przyczyn. Weszło w zwyczaj po przekroczeniu pewnego wieku życia, na długo przed zestarzeniem się, w ten sposób składać światu pożegnalny swój ukłon.

## JĘZYK

Osobiste równanie człowieka, jak zwą astrologowie skutki jego indywidualności, jest przy całej swej zawilosci podobne do owych prostych algebraicznych zadań, nad którymi tak strasznie łamaliśmy sobie w szkołach głowy. Aby je rozwiązać musimy znać wartości danych  $a$  i  $b$ , od których zawisła wartość odpowiedniego, indywidualnego  $x$ . Owóż temi wiadomemi w równaniu każdego człowieka są jego własności dziedziczne. To co człowiek czyni, wypływa z tego czem jest, a to czem jest, przeważnie z tego, czem byli jego przodkowie. Z pomiędzy zaś wszystkich ogniw długiego łańcucha ewolucji duchowej, mało które ważniejsze jest i bardziej znaczące, niż język. Aczkolwiek dla danej chwili znamiennejsze są czyny od słów, bo przecież formy wyrażania się, wymowniejszemi są dokumentami wszelkich działań przeszłości.

Gdyby nie kazano rozstrzygać owej niezwykle zawikłanej kwestji hasła — „nie emancypacja starych Greków z pod jarzma nowoczesnej Turcji, lecz emancypacja nowoczesnych studentów z więzów starożytnych Greków“ — wniósłbym dla rozwiązania tej sprawy projekt powiększenia materiału naukowego o kurs języka japońskiego. Przyznaję, że wygląda to tak, jakbym był pytanie naciągnął do odpowiedzi, lecz zaraz się usprawiedliwię.

Nie dlatego wyjeżdżam z tym pomysłem, żeby mi chodziło o hasanie po hippodromie uniwersyteckim na nowym koniku, ale dlatego, że przekonany jestem, iż studjum mowy japońskiej okazałoby się pełnym zalet biegunem w akademickich wyścigach filologicznych. Zapewne, że w dziedzinie literatury niewieleby się tam znalazło rzeczy, które by wzbogaciły nasz dotychczasowy skarbiec, lecz zato zyskalibyśmy głęboki wgląd w genezę ludzkiej mowy i posunęli się conajmniej o jeden dobry krok ku jej źródłom. Tak jak obecnie sprawy stoją, ograniczamy przeważnie lingwistykę naszą do znajomości języków aryjskich, co ma ten skutek iż, po pierwsze, uważamy naszą metodę za jedynie miarodajną, co już samo przez się jest grubym błędem, a po drugie, co gorsza, tracimy możliwość właściwej oceny wszystkich zalet i wad własnej mowy, ponieważ nie zwracamy najmniejszej uwagi na inne drogi jej rozwoju. Hołdujemy jakiemuś ślepemu kultowi języka plemiennego, który, przy całej naszej uczoności, zacieśnia jeno lingwistyczne pole widzenia. Badanie mowy japońskiej usunęłoby taki szczepowy szowinizm. Przekonalibyśmy się, że nasze uświęcone prawidła i przepisy mają jedynie względne znaczenie, robiąc odkrycie, iż mowa jest czemś o wiele mniej absolutnem, niż nam w to każą wierzyć. Zaczęlibyśmy wreszcie powątpiewać w fundamentalną konieczność najnietykalniejszych konstrukcyj gramatycznych, i nawet nasza czcigodna, stara, łacińska gramatyka, która nas tak za gimnazjalnych czasów przerażała, mocno by ucierpiała na swym uroku nieomylności. Pewien misjonarz obliczył, że w tym samym czasie, któryby spotrzebował uczeń na Zachodzie dla wyuczenia się po japońsku, można się wyuczyć trzech języków europejskich. Nie ulega wątpliwości, że zupełnie obce słownictwo w połączeniu z odmienną gramatyką i w najwyższym stopniu skomplikowanym systemem uprzejmych zwrotów czyni język ten ogromnie trudnym. A przecież, w podstawowych prawidłach przedstawia się on ujmująco prostym.

Przedewszystkiem więc mowa japońska w nadzwyczaj sympatyczny sposób pozbawiona jest osobowych zaimków. Nieobecnością świeci pretensjonalne „ja“, antagonistyczne „ty“ również nie istnieje, podczas gdy przykre „on“ jest widocznym owym przeszkadzającym trzecim, którego się wcale nie potrzebuje. Takie zazdrosne zaznaczanie identity obce było zawsze prostej, tatarskiej naturze. Ponieważ „ja“, „ty“ i „on“ nie są różnicami naturalnymi, nie uważają oni aby im się należało jakiegokolwiek uznanie.

Jest w tej nieokreśloności wyrażenia swoboda, która ma swój urok. Jakże miło być musi, móc mówić o sobie jakby się było czemskolwiek, a w duchu wybierać sobie na każdą sposobność kogoś wedle ochoty, albo też wedle woli bujać sobie w przestworzach zupełnej niezależności. Oczywiście, że nam wydaje się na oko taki brak zróżnicowania uniemożliwieniem wszelkiej zrozumiałej rozmowy. W rzeczywistości wszakże jest całkiem inaczej. Japońska mowa jest równie jasna i przejrzysta, jak mowa angielska. W dziewięćdziesięciu wypadkach na sto, ze związku słów rozumie się doskonale o kogo chodzi.

W istotnie zawiłych razach, które jednak bardzo rzadko się zdarzają, albo w takich, w których dla zaakcentowania potrzebny byłby zaimek, używa się pewnych pomocniczych wyrażenia. Konieczność ich wywołały komplikujące się coraz bardziej warunki rosnącej cywilizacji. Stosownie więc do tego zawarto kompromis z odrażającym pojęciem osoby, zapomocą wyrażenia opisowych, które wyniesione do godności zaimków, stały się w ten sposób pro - pronominami. Wielce dziwne są nieraz takie określenia: „wzniosłość“, równająca się pojęciu „ty“, „czcigodna strona“ lub „ów kąt“, oznaczające kogoś trzeciego, przyczem użyte wyrażenie określa najdokładniej stopień szacunku dla danej osoby; natomiast ze szczerością, zakłopotaniem lub pokorą godną tego dwornego narodu, „ja“ nazywa siebie „samolubstwem“ albo „niejaką osobą“ albo „niedołęgą“.

W tensam sposób fabrykuje się zaimki dzierżawcze. „Głupi ojciec“, „syn do niczego“, „licha firma“, znaczy wszystko „moje“, podczas gdy „twoje“ zmienia się na „czcigodnego ojca“, „szanownego syna“, „wielce poważną firmę“.

Wszelako i tych, kulawych surogatów zaimka używa się z jaknajwiększą powściągliwością. Student z Zachodu, który przystępuje do badania przedmiotu z mózgownicą pełną idei osobowych i usiłuje rozebrać zdanie japońskie pod względem osobowym, zniechęca się taksamo, jak ktoś szukający po ciemku czarnego kapelusza, *którego wcale niema*. Albowiem tytułujących zaimków na ogół się nie używa. Szafowanie niemi z cechującą nasze rozmowy rozrzutnością byłoby dla umysłu tatarskiego czemś takim, jak podkreślanie zdań bez znaczenia za pomocą kursywy. Mowa taka robiłaby na nich wrażenie, jakie my odnosimy, czytając egzaltowane korespondencje pensjonarek, w których roi się od górnolotnych zwrotów.

Niezbędnie konieczne wskazania osobiste ukazują się co najwyżej w postaci słów etykietalnych, to znaczy w wyrażających szacunek, względnie pokorę ozdobnikach stylistycznych. Ozdobniki te mają prócz tego, o wiele szerszy jeszcze zakres zadań.

Institucja słów etykietalnych jest jedną z najciekawszych właściwości języka japońskiego oraz koreańskiego, a w praktyce stanowi najbardziej złowrogą ich pułapkę. Dochodzi się tam bowiem do przekonania, że milczenie naprawdę jest złotem w porównaniu z przykrością spowodowaną niejednokrotnie odkryciem, że przemowa, w której chcielibyśmy zawrzeć same grzeczności byłaby w istocie stekiem obelg, lub, że się traktowało służącą przez cały czas z czołobitnością należną dygnitarzowi; są to dwie katastrofy, od których najostrożniejszy nawet nowicjusz ustrzec się nie może. Japońska mowa tak prześląkla tą ceremonjalnością, że wyrażanie prawdy krótko i prosto uważane tam jest za coś w najwyższym stopniu nieprzyzwoitego. Każda myśl, zanim się ją wypowie, musi w pierw

zostać ubraną w mniej lub więcej dworską formę, a ten przez etykietę wymagany strój, skomplikowany jest ponad wszelkie pojęcie. Na początek przychodzą pewne wstępne zwroty, będące prosto samymi słowami etykietałnemi, nie służącemi do żadnego innego celu. Następnie idzie dla określenia każdej czynności mała nieskończoność czasowników, z których każdy wyraża inny stopień szacunku. I tak n. p. naszemu słowu „dawać“ odpowiada cała społeczna skala japońskich słów, każde o cień tylko wyrażające się uprzejmiej od następnego, a z których najskromniejsze zaledwie jest tak gminne, jak nasze „dawać“. W tensam sposób używa się grup pochwalnych względnie uniżonych przymiotników. Nakoniec słowo „jest“, które właściwie w ścisłym znaczeniu oznacza „istnieć“, wyraża istnienie to na trzy sposoby, odpowiadające niejako stałemu, płynnemu lub lotnemu stanowi skupienia konwersacji, aby się przystosować do osoby, z którą się mówi. Ale jako że trzy formy to nie wiele dla wymagań tak wyszukanej grzeczności, uzupełnia je się przez usuwanie wielu pośrednich stopni.

Wyrazy czci zwraca się nie tylko do takich ludzi, którzy cieszą się większem poważaniem od swych bliźnich, lecz do wszystkich ludzi bez różnicy. Gramatyczna uprzejmość jednostki dla swego rozmowcy ma równie ważne znaczenie, jak społeczna hierarchja, „ja“ stoi poniżej wszelkiej uwagi, a „ty“ ponad wszelką krytykę.

Cały ten arsenał ceremonji stosuje się nietylko przy wszelkich możliwych sposobnościach, ale niekiedy nawet przy takich gdzieby się zdawało, że niemożliwością jest go użyć; albowiem nieraz mimo najszczerzych chęci nie da się wykryć najmniejszego związku tych uprzejmości z jakąś osobą. Zrozumiałem jest jeszcze, gdy najzwyczajnym przedmiotom, z powodu stosunku ich do jakiejś osoby, dostają się tytuły. Ale jakżeż można sobie wytłumaczyć takie n. p. zdanie: „dzieje się najuniżeniej, iż wzniosłe krzesło istnieje“, co ma prosto znaczyć „krzesło jest i co może być zastosowane do wszystkiego, ponieważ tak

właśnie zwykło się mówić, że coś jest. (To wszystko tworzy obecnie jedno słowo). Musi nam się to wydawać ubolewania godnym trawieniem drogiego materiału. Istotną przyczyną przyznawania takiej czci przedmiotowi, o którym mowa, leży w tym, że jego istnienie pomyślanem zostało w odniesieniu do osoby, z którą się mówi, przez co samą siłą faktu staje się on „wzniosłym“.

Oto jeszcze bardziej charakterystyczny przykład. Jeśli gość wszedłszy do herbaciarni zapragnie cukru, zawiąże się następująca stereotypowa wymiana zdań. Tłumacząc ją dosłownie, nadmieniamy: tylko jeszcze, że każdą dziewczynę z herbaciarni, (zazwyczaj całkiem młodzieńcą) tytułuje się „starszą siostrą“ — znów uprzejmość, w Japonii przynajmniej uważana jest za taką.

Gość klaszcze w dłonie. Ukazuje się herbaciarka.

Gość: „Hai, starsza siostró, czy istnieje tutaj wzniosły cukier?“

Ona: „Czcigodny cukier (jest) wzniosłe pomyślany“.

Gość: „Tak, wzniosłe“.

Ona: „Hé“. (Rodzaj potwierdzenia).

Herbaciarka odchodzi, aby przynieść cukier.

No, tak, wzniosłość jest czemś samo przez się zrozumiałą, ale dlaczego cukier jest „czcigodnym“? Oto prosto dlatego, że ma on być gościowi podany. Wszelako dziewczyna byłaby zupełnie w tensam sposób o nim mówiła, gdyby zmuszoną była oznajmić, że cukru nie ma, w którym to wypadku wcale by go gość nie dostał. Taką jest uprzejmość japońska. Nawiasem mówiąc, wszystko co nastąpiło po pierwszym pytaniu gościa, nie miało nic znaczyć. Dziewczyna od samego początku wiedziała doskonale o co chodzi i gość wiedział również; ale przecież gdybyśmy chcieli tylko to mówić, co jest konieczne potrzebne, cudowna sztuka konwersacji stałaby się rychło suchą jeno umiejętnością.

Człowiek Dalekiego Wschodu mówi na ogół równie wiele niepotrzebnych rzeczy, co jego bliźni z Zachodu, jeno że u niego uprzejmość zastępuje wszelkie wzmianki osobiste. „Ja“ dlań nie istnieje, istnieje tylko nieustająca względność dla innych.

Nieosobowość jest, jak widzimy, punktem wyjścia jego uprzejmości, a jest też i jej przyczyną.

Choć się to może wydać dziwne na pierwszy rzut oka, pobeżne już nawet badanie wykaże, że istotnie jest tak.

Patrząc, a posteriori, widzimy, że kędy się znajduje pierwsza z tych cech, druga jest też silnie rozwinięta, podczas gdy brak drugiej zdaje się świadczyć o niedokształceniu pierwszej. Pociągamy wzrokiem ku Wschodowi, a obaczymy, jak ręka w rękę za wzmaganiem się uprzejmości idzie zanik uczucia osobowego. Azja o wiele jest uprzejmiejszą od Europy, Europa od Ameryki. Niektóre rasy wykazują ten sam objaw: Francja, najmniej osobowy naród w Europie, jest zarazem najbardziej dworskim.

Patrząc a priori, nie trudno znaleźć związku pomiędzy temi cechami. Nieosobowość, zmniejszając zajmowanie się własnym „ja“, zwiększa temsamem zajęcie się innymi. Zacieśnianie się w sobie samym czyni człeka zwierzęciem chodzącem w pojedynkę, bezinteresowność osobista, zwierzęciem towarzyskiem. Im większa u danego narodu nieosobowość, tem wyraźniej w miejsce indywidualum na pierwszy plan spraw publicznych występuje gromada. Gatunek jest równie ważny dla człowieka, jak ważnym był zawsze dla przyrody. Zaś za wzrostem wymagań towarzyskich rozwija się uprzejmość, jako środek do ich zaspokojenia.

Drugą luką w japońskiej etymologii, jest brak określeń rodzajowych płci. Nadawanie płci wyrazom, ten autropomorfizm słów, wydałby się Japończykowi niesłychanem dziwactwem, jeśliby go wprost nie zgorszył. Albowiem brak oznaczeń na płeć jest symptomem daleko bardziej istotnego braku, a mianowicie lekceważenia sobie płci wogóle. Pierwotnie okazywali Japończycy dziecinną wprost niechęć do uznania płci, czego dowodzi

ich mowa. Wystarczał im przeważnie wyraz bezrodzajowy, oznaczający gatunek i obie płci równocześnie. Dopiero tam, gdzie płeć bezwzględnie im się narzucała i gdy niemogli już inaczej wybrnąć ze sytuacji, określili rodzaj męski i żeński zapomocą rozmaitych wyrażeń. Im bliższy był stosunek przedmiotu do człowieka, tem bardziej koniecznem stawała się nazwa odróżniająca. Sam człowiek otrzymał pokaźną liczbę takich specjalnych określeń; nie ulega bowiem wątpliwości, że mężczyzna jest całkiem innym tworem niż jego babka, teściowa lub żona. Znamienna rzecz, iż sztuczne zróżnicowanie społeczne jest równie dokładne, jak różnica płci, przyczem względy rodzinne ważniejsze są od wszystkich innych.

Zwierzęta, aczkolwiek indywidualnie z wielką traktowane ludzkością, zasługują pod względem płci na bardzo jeno nieznaczną uwagę. Oba rodzaje noszą tu wspólną nazwę i ta też zwykle zupełnie wystarcza. W wypadkach zaś, gdzie rodzaj występuje w nazbyt wybitny sposób, żeby go można ignorować, stawia się przed nazwą gatunku przyimek męski lub żeński. Jak rzadko zachodzi potrzeba takiej specyfikacji, widać najlepiej z tego, że i u nas przy przeważnej ilości gatunków wystarcza nazwa jednorodzajowa. Zwykle jest ona u nas nazwą samca, jak n. p. u psa lub osła. Jeżeli ma się przeważnie do czynienia z samiczką, przenosimy jej nazwę na samca; i tak, mówimy gęś, kaczka, kura — Japończyk umie tylko powiedzieć „drób“, a gdy trzeba koniecznie zaznaczyć rodzaj, mówi „on drób“ lub „ona drób“.

Nie należy sądzić, żeby takie pomiatanie jednym z najpotężniejszych motywów ludzkich działań — płcią — wraz ze wszystkim co zatem idzie, wypłynęło z pogardy dla kobiety, ma ono źródło swoje o wiele głębiej. Powraca tu znowu nieosobowość. Obojętność dla kobiecości jest tylko częścią wielkiej obojętności dla całego ogółu ludzkiego. W ich mowie nie tuli ojciec Ocean w ramionach swych matki Ziemi, obce im są fantastyczne obrazowania, które narzuca ludzkości mowa aryjska.

swemi zróżnicowanemi rodzajami słów. Nie jest to skutkiem braku poezji u ludzi Dalekiego Wschodu, a jeno skutkiem głębooko w ich umyśle tkwiącej nieosobowości, ucieleśnionej nawet już w charakterze słów, któremi się ten umysł wyróżnia. Rzeczownik japoński jest skryształizowanem wyobrażeniem, które od zaczątków istnienia rasy podawano sobie w niezmienionej postaci. Przedstawia tak prymitywną koncepcję, że niemoże być uważane ani za całkowity ani za częściowy symbol, lecz raczej za wynik jakiegoś pierwszego, mglistego uogólnienia. Słowo „człowiek“ naprzykład nie oznacza dla nich mężczyzny, ani tem mniej ludzkości, a tylko ową nieokreśloną ideę, dla której dziecko usiłuje w mowie swej dobrać wyrazu. Nie przedstawia osoby, jeno rzecz, fakt materialny, którego płeć wcale nie dotyczy. Japończycy nie wyrosli z tego pierwotnego stanu półświadomości. Świat nie przestał przedstawiać się ich duszy, jako wielkie zbiorowisko rzeczy. Niczego też w tem zapatrywaniu zmienić nie mogło późniejsze wychowanie chińskie. Buddyzm przeniknął wszystko na wskroś.

Co do rzeczy nieżyjących, toć byłoby dla umysłu ich wprost absurdem przyjmować płeć tam, gdzie nawet życia niema.

Najpierw nieosobowość utworzyła rzeczowniki, a potem rzeczowniki właśnie przez swoją nieosobowość przyczyniały się do utrzymania myśli w tymże samym stanie i do skrępowania wyobraźni. Wszystkie owe pokusy do poetyzowania hodujące fantazję aryjską a mające źródło, przez którą praojcowie ucłowiczylili słowa, ostawiły w zupełnym spokoju wyobraźnię tatarską czy chińską. Poezję przyrody odczuwają oni taksamo, jak i my, a może i więcej, lecz jest to poezja niemająca nic wspólnego z człowiekiem. A to, co dziwniejsza, pomimo faktu, że właśnie Chińczycy dla wytłumaczenia genezy wszechświata wymyślili, a może raczej tylko zmodyfikowali, osobliwą filozofję płci. Mówię, że zmodyfikowali, bo prawdopodobnie wzięli ją, jak i inne swoje duchowe bogactwa z Indji. Chińska koncepcja początku świata wywodzi się z idei rodzaju. Wedle ich pojęć,

ziemia została zrodzona. Wszechświat ukazuje się u nich, co prawda, jako abstrakcja, jako coś, co wydało z siebie dwie zasady. Ale gdy ta dwójca raz powstała, dalszy wątek snuł się już całkiem na sposób ludzki. Obie działające zasady były dość abstrakcyjne, by zadowolić najbardziej nawet beznamiętnych filozofów. Były prosto esencjami pozytywną i negatywną, esencjami, do których odnosiło się zarówno słońce i cień, jak męski i żeński pierwiastek. Z ich obopólnej działalności powstała ziemia, powietrze i woda, a te zrodziły człowieka. Kosmiczny modus operandi nie był ani twórczym ani ewolucyjnym, jeno płciowym. Cały ten system zdaje się być usiłowaniem połączenia w jedno abstrakcyjnej filozofii z pierwotną, konkretną mitologią.

Tasama płciowość cechuje również japońską demonologię. W miejsce filozoficznych koncepcyj wchodzi tu koncepcje fizyczne; miasto zasad, widzimy allegoryczne osobistości, które jednak okazują tęsamą, zajmującą skłonność do występowania parami.

Uznawanie płciowości kosmosu nie przeszkadza bynajmniej ignorowaniu jej tam, gdzie jest ona istotnie namacalną. Bo co innego jest przyjąć ją za ogólne prawo rządzące wszechświatem, a co innego przyznawać jej rolę ważnego czynnika w codziennym życiu.

Wystarczy spojrzeć na bożyszcza japońskie, by się przekonać, jak mierne Tatar ma zdolności do personifikacji. Przedstawiają one częściowe zmarłych przodków, częściowo zaś ubóstwione zjawiska przyrody. Do wysnucia pierwszych nie trzeba było zbyt bujnej fantazji, jako że los nastęrczył gotowy materiał, by zaś spowodować ukazanie się postaci tych drugich, wywoływacze duchów jeszcze mniejszą rozwijali oryginalność. Rezultat nie był ani zabawny ani podniosły. Bogów, których stworzyli, ubierali w bardzo banalne człowieczeństwo, narodowe bóstwa w tradycyjalną zbroję i uposażali ich w obowiązującą nadludzką siłę. Różniły się one od innych w swym rodzaju je-

dynie większą powszedniością, oraz tem, że się niewiele troszczyli o ludzi. Owe uosobienia sił przyrody, które były tak proste, że się każdemu same narzucały, rychło znikły, albowiem rozmaite, strach wzbudzające zjawiska, przestały mieć jakikolwiek związek z antropomorficznymi noumenami, które im swoje powstanie zawdzięczały. Opowiada się tam, naprzykład, że bogini słońca, którą obraził był jej młodszy brat, siedziała nadąsana w swojej jaskini, póki jej dnia pewnego stamtąd nie wywabiono postawiwszy u wejścia zwierciadło, aby podnieść jej ciekawość do ujżenia własnego oblicza. Ale Japończykowi bynajmniej nie przychodzi na myśl odnowić tych pochlebnych refleksyj do oblicza słońca. Dla niego, jak dla pierwszego lepszego materialisty z Zachodu, słońce nie tylko jest bezpieczne, ale również pozbawione wszelkiej osobowości. Pośledniejsze bóstwa musiały się poddać takiemu samemu wyzuciu z ciała. Bóg grzmotu ze swoim garniturem bębnow, na których wybija piekielnego werbla, póki mu twarz z wysiłku nie zczernieje, przestał dziś mieć pośredni bodaj związek z burzą. Co zaś do nimf i boginek, to miłe te stworzenia nie zamieszkiwały nigdy wschodniej Azji. Miejsce ich zajmują ucłowieczone lisy i szopy pracze, pozbawione owych ujmujących zalet, które wzbudzają miłość. Nawet bogini Reyten, naturalizowana Wenus, o której powiadają to samo, co mówiono o jej helleńskiej siostrze, że wyszła z morskich fal, jest stworzeniem zupełnie niezdolnem do wywoływania ślepej namiętności.

Całkiem inny jest ten panteon od panteonu Greków, których aryjski duch zaludniał przyrodę, uosobieniami nadludzkich istot. Ożywcze tchnienie ich wyobraźni udzielało się bryłom gliny, milcząca ziemia ocknęła się na ich zew, a postaci stworzone przez ich fantazję stały się człowiekowi najmilszym towarzyszem. Potem przyszła zmiana. Wiara poczęła się chwiać, bo zbrakło faktów, coby syciły jej płomień. Ognie ofiarne wypaliły się do cna i umarł wkońcu wielki Pan. Ciało starej religii zwięgliło się. Lecz popioły zachowały swój kształt ów bezcielesny

świat przeszłości, który zniweczyła wiedza, w oczach poety błyszczą wciąż tąsamą co ongiś żywą pięknnością. Umarli bogowie żyją w mowie naszej i sztuce, ziemia pełna pozostawionych przez nich wspomnień, wydaje się naszym duszom i dzisiaj jeszcze nawpół jeno znaną.

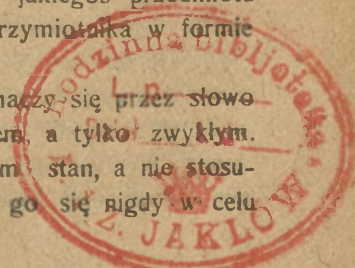
U mieszkańca Dalekiego Wschodu uczuciem zaklinającym bóstwo była jeno trwoga. Nie kochał się on nigdy w swych mitologicznych tworach, to też nigdy nie doszło do zabalsamowania ich we wspomnieniu. Były one tylko wykładnikami faktów, nie wpływając wcale na wyobraźnię człowieka. Jego świat idei pozostał równie bezosobowy, jakby się był nigdy nie narodził.

Tę samą bezosobowość widać także w dziedzinie liczb. Gramatyka Dalekiego Wschodu nie posiada liczby mnogiej. Byłoby to cudownem uproszczeniem dla obcego ucznia, gdyby Tatar nie był, że tak powiem, wpadł z deszczu pod rynnę. Albowiem to co wymyślił na miejsce liczby mnogiej, wcale nie jest łatwiejsze do spamiętania, a zato o wiele trudniejsze do wyrażenia. Zamiast nadać rzeczownikowi formę pluralną i stawić przed nim liczbę, zatrzymuje rzeczownik niezmienny dodając doń dwa słowa liczbowe, tak, że nieraz więcej spotrzebowuje wyrazów dla określenia ilości przedmiotów, niż wogóle jest tych przedmiotów. Jednym z tych słów liczbowych jest poprostu sama liczba; drugie, to liczbowy wyraz pomocniczy; równie osobliwą jest jego forma jak jego funkcja. Tak n. p. „dwaj ludzie“ wyraża się przez „człowiek dwie jednostki“, albo jak to Chińczyk w swojej angielszczyźnie („pidgin-english“, będącej poprostu mówieniem po chińsku angielskimi słowami) mówi „dwa kawałki człowiek“. Pod tym względem zbliża się język chiński do japońskiego, co na ogół jest rzadkością. Konieczność takich dokładnych określeń wypływa z niesłychanej prostoty japońskich rzeczowników. Jak się już rzekło, rzeczownik jest tak niewyraźnym uogólnieniem, że samo pomnożenie go przez cyfrę nie dałoby jeszcze jasnego wyniku. Tak więc wszystkie rzeczowniki, będąc równie niewyraźnymi, skazane są na omowną formę liczb-

bową. A że każdy posiada własny, odpowiadający mu wyraz pomocniczy, i nie należy się nigdy mylić w jego doborze, potrzeba osobnego studjum, by umieć władać choćby tylko etykietą tych, że tak powiem, rękonożności do nazw rzeczy.

Rzeczowniki odmienia się w prosty sposób, wyrażając przypadki w sufiksach. Natomiast deklinacją przymiotników jest niesłychanie skomplikowane. Ich formy pochodne są równie długie, jak liczne, a przedstawiają nietylko stany ale i czasy. I tak istnieje n. p. forma zasadnicza, forma przysłówkowa, forma nieokreślona, forma dopełniacza oraz celownika, z których dwie ostatnie odmieniają się przez wszystkie inne możliwe formy, niemówiąc już o stopniowaniu. Że zaś każda odmiana przyczepia się poprostu do drugiej przymiotnik staje się w końcu trzy, lub cztery, razy dłuższy niż był pierwotnie. Faktem jest, że przymiotnik zależnie od okoliczności raz jest przymiotnikiem, to znów przysłówkiem, lub czasownikiem. W zasadniczej swej formie służy też do tworzenia rzeczowników, tak, że zasługuje sobie śmiało na nazwę „Marysi do wszystkiego“. Jako czasownik używany też jest za orzeczenie, oraz za łącznik. Nie istnieje bowiem w japońskim języku podobnie bezużyteczna część mowy jak osobny łącznik. Przysiąc trzeba, z narażeniem na wstrząśnięcie uprzedzeń starej szkoły logików, że Tatarzy doskonale sobie dają radę przy myśleniu, bez takich sprzęgających pojęć. Nie należy jednak też przeoczać, że w zdaniach ich wprzega się zawsze wóz przed konia i w ten sposób popycha go się jeno naprzód bez potrzeby ciągnięcia. Brak łączników jest jednym dowodem więcej na prymitywność ich języka. U nas znaleźć można odpowiadający temu objaw w mowie dzieci, gdzie właściwość jakiegoś przedmiotu wyraża się przez uproszczone stawianie przymiotnika w formie dopowiedzenia tuż obok przedmiotu.

Japoński wyraz, który zwykle tłumaczy się przez słowo „jest“, nie jest w żadnym razie łącznikiem, a tylko zwykłym, nieprzechodnym czasownikiem wyrażającym stan, a nie stosunek logiczny (jest istnieje). Nie używa go się nigdy w celu



określenia właściwości. Japończyk nie mówi „krajobraz jest piękny“, jeno pro prostu „krajobraz piękny“. A dalej, jeśli ten czasownik ma być pośrednio użytym, idzie za nim nie przymiotnik lecz przysłówek. A zatem, nie „ona jest piękna“ mówi Japończyk wyrażając swój podziw, lecz „ona istnieje pięknie“. To co wyglądałoby na łącznik, okazuje się tylko nieosobowym, nieprzechodniem czasownikiem.

Pojęcie rzeczownika negatywnego jest oczywiście w każdym języku niedorzecznością. Każda myśl negatywna posilkuje się pozytywnymi wyrażeniami. Nawet próżnia choć w rzeczywistości jest próżnią, gramatycznie pełną jest znaczenia. Wspólna to cecha wszystkich języków, lecz japoński język posuwa się jeszcze dalej w pozytywiźmie. Nietylko, że nie posiada rzeczowników negatywnych, niema on również ani negatywnych zaimków, ani nawet takichże przymiotników — owych tak porządných zastępców tych, co nieobecni. „Nikt“ oraz „nic“ to wyrazy w Japonii nieznanne, jakożże pojęcia, których są wykładnikami nie stoją na namacalnej zmysłami rzeczywistości, jeno na abstrakcji metafizycznej. Określenia takie są wytworem człowieka, a nie z ziemi zrodzoną koncepcją i dlatego na Dalekim Wschodzie, który spogląda na rzeczy z punktu widzenia przyrody a nie człowieka, negacja inną przybiera formę. Zazwyczaj wprowadzają ją czasowniki, jako odnoszące się przeważnie do działań ludzkich, bo wszakże na człowieka a nie na naturę spada odpowiedzialność za te zaprzeczenia. Toteż w gruncie rzeczy zgodniejsze z prawdą jest powiedzenie: „jestem *nieświadom* wszystkiego“ niż „nie wiem *niczego*“. Nie przedmiot jest upośledzony, lecz ty sam.

Problem czasowników wiedzie nas do innego znów rozdziału o nieosobowości; jest nim szyk słów w japońskim określe. Tatarski sposób konstrukcji gramatycznej jest biegunowo nieomal przeciwny naszemu. Zasadnicze prawidła składni japońskiej, to stawianie wszystkiego co odnosi się do właściwości danego wyrazu, przed owym wyrazem, to znaczy najszczegółowsze określenie i opisanie rzeczy zanim ją się wypowie. Zwy-

czaj ten stawia słuchacza w dość niekorzystnym położeniu, o tyle, że cała długa historia skończyła się już nieomal, zanim danemu zostało wreszcie dowiedzieć się, o czym właściwie jest mowa; w istocie jednak uciążliwsza to jeszcze rzecz dla samego mówiącego, który zmuszony jest całe zdanie zbudować w myśli zanim pocznie mówić. Przypisać to należy dwóm brakom tatarskiej etymologii: japoński język nie posiada ani zaimków względnych, ani spójników międzyzdaniowych w celu związania z sobą kolejno następujących zdarzeń. Brak tych słów nie pozwala dorzucić żadnych pobocznych myśli; w toku rozmowy wykluczone są wszelkie post-scripta. Zadanie zaimków względnych zastępuje się tutaj następstwem słów, stawiając wszelkie objaśniające lub następcze zdania podrzędne przed wyrazem, do którego się odnoszą. W ten sposób powstają wielce zabawne anachronizmy. Zdanie: „wesoly monarcha, który wkońcu padł ofiarą ciężkiej melancholji“ u nich wygląda tak: „ciężkiej melancholji ofiarą padając zakończył wesoly monarcha“. A współczujący słuchacz płacze wprzód, a potem się śmieje, mimo iżby to powinien czynić w odwrotnym porządku.

Takież samo wywrócenie naturalnego porządku rzeczy wynika z niedoboru spójników międzyzdaniowych. Da się wprowadzić w japońskiej mowie wiązać z sobą rzeczowniki, nigdy wszelako działań. Można powiedzieć „kapelusz i płaszcz“, nie można „ubrać się i wyszedł“. Spójników używa się tylko dla przestrzeni, nigdy dla czasu. Wolno łączyć przedmioty obok siebie stojące, nie wolno łączyć wydarzeń po sobie następujących. „Ubrawszy się wyszedł“, mówi Japończyk. Mówić inaczej, znaczyłoby to naruszać jedność, japoński okres bowiem jest skończoną całością, a nie luźną wiązką faktów. Stanowi on takąsamą jedność, jak u nas nowela lub dramat. Niemasz nic bardziej niewygodnego od takich sztucznych okresów. Swem misternym szufladkowaniem przypominają rażąco owe śliczne, chińskie szkatułki, wsuwane jedna w drugą, istne cudo pomyślowej, lecz najzupełniej bezużytecznej konstrukcji. Wedle tej za-

sady rzeczowniki idą w zdaniu przed czasownikami i są w każdym względzie najważniejszymi częściami mowy. Ma to ten skutek, iż w zwykłej, potocznej mowie, czasowniki wylazą na jaw tak późno, że je się nierzadko opuszcza. Japończycy bowiem lubią obcinać swoje zdania, zwyczaj, któryby gorąco polecić można Niemcom. Rzeczowniki, jak wiadomo wyrażają to co jest, podczas gdy czasowniki mówią o czynnościach, czynności zaś są pochodzenia ludzkiego. Z tego pierwszeństwa dawanemu w mowie pierwiastkowi nieosobowemu przed osobowym, widzimy, jak je sobie oba Japończyk ceni.

Naturze pierwsza oddaje miejsce, człowiekowi zaś drugie dopiero. Aby zaznaczyć jeszcze wyraźniej poślednią rolę człowieka, obywają się zdania po większej części zupełnie bez przedmiotów. Aczkolwiek zwykły się rozpoczynać wyrazem stanowiącym oś idei, oddzielonym od następującego słowa jedynie przez uwydatniającą go partykułą „wa“ (który znaczy tyle co nasze „co do...“), uwydatniony w ten sposób wyraz będzie o wiele częściej przedmiotem zdania, niż jego podmiotem. Ten zwrot mowy, to poprostu dosadne wprowadzanie nowej myśli. Tylko, że ponieważ to co u nas stanowi wyjątek, u nich przychodzi z reguły, odnośna rzecz wcale się w ten sposób szczególnie nie uwydatnia. I tak zdetrонizowanemu podmiotowi nie przyznaje się ani drugiego nawet miejsca. Bo, zwykle wcale nie waży się on już wystąpić, pokazać. Można roztrząsać zdanie za zdaniem nie znajdując ani śladu po nim. Jeśli zaś kiedy zdarzy się podobna nieprawidłowość i to co stanowi powód zostanie bezpośrednio wprowadzone w zdanie, ma to do zawdzięczenia bynajmniej nie temu, że jest podmiotem lecz, że z jakiejś innej widocznie przyczyny, przypadkowo właśnie tworzy najważniejszy składnik myśli. Wyobrażenie wydarzeń jest u Japończyków podmiotowo bardzo tylko nieokreślone. Akcja jest raczej czemś, co się dzieje, niż czemś co jest działaniem, czemś, co się więcej nieosobiście, niż osobowo uwyrażnia. Wyobrażenie to wyływa ze wszystkiego innego, tylko nie z głębokiego filozoficznego

sposobu myślenia. Jest wynikiem najbardziej powierzchownego, najdziecinniejszego pojmowania. Japoński duch niema za grosz zdolności abstrakcyjnych. Jego patrzyenie na rzeczy jest wprost prymitywnie konkretne, a w mowie odzwierciadla się to najlepiej. Kilka abstrakcyjnych idei, które tam obecnie spotkać można ucieleśnia się przeważnie nie w czysto japońskich, lecz w chińskich, importowanych wyrażeniach. Te ogólne pojęcia są owocem obcego wychowania, a idee sprowadzone zostały nowe ze słowami.

Jakby dla ucieleśnienia nieosobowości mowy japońskiej in propria persona, wyraz „hito“ znaczący „człowiek“ równo-brzmiający jest (a był prawdopodobnie niegdyś temsamem) z wyrazem „hito“ oznaczającym liczbę jeden, rzeczownik oraz liczebnik, z którego języki aryjskie utworzyły jedyny swój nieosobowy zaimek. Z jednej strony mamy tu niemieckie słowo „man“, z drugiej francuskie „on“.\*) A zarazem, aby zaznaczyć oficjalnie jedność człowieka z całym światem, używa się również zamiast wyrazu „człowiek“ wyrazu „mono“ = „rzecz“ i to bez najmniejszej chęci pomiatania kimś.

Tak zatem wygląda forma, w której uczy się ten dziecinny naród myśli swe modelować. Jaki to musi mieć wpływ na późniejszy ich światopogląd, możemy sobie wyobrazić, sięgnąwszy do naszych własnych wspomnień. Dla każdego z nas, który pragnie wznieść się ponad horyzonty starszego pokolenia, nadchodzi chwila, kiedy wzrastające myśli nasze zrywają się jak ptaki z dziecinnej łączki kędy sobie zwykły hasać. Zbyt głęboko odczuwaliśmy wielkie rozdarcie spowodowane tą chwilą aby móc o niem zapomnieć. Wahamy się, ociągamy, nie chcemy wyrzec się wierzeń, które, sięgając wstecz aż po świtanie naszego życia, zdają się nam częścią własnej duszy. Od dziecinnej pobożnej wiary aż po pierwsze pączki młodzieńczej miłości, wszystkie

\*) W polskim języku mamy identyczne zastosowanie wyrazu „człowiek“ n. p. zamiast „nie dają mi spokoju“ — „nie dają człowiekowi spokoju“ (dop. tłum.)

wczesne nasze assocjacje tak głębokie zapuściły korzenie, że długo po wyrośnięciu z nich naszego ducha, serce wciąż jeszcze wyrzec się ich nie chce. Nawet po ostatecznym zwycięstwie rozsądku, żalostnie ściska się serce w obliczu pustki, która mu pozostała. Na Dalekim Wschodzie owo przywiązanie do przeszłości uświęconé jest ponadto jeszcze przez religję. Kult przodków wyciska pieczęć na tradycjach tego, co było i z czem zrywać byłoby równie bezbożne, jak bolesne. Złoty blask owych dni kiedy się samemu było młodym, nie rozprasza się nigdy w tej krainie wiecznego poranka, kędy człek nigdy nie osiąga prozaicznego południa życia dojrzałego. Mowa jej ukazuje nam jasno ową wczesną, bezosobową epokę, z której wychodzimy wszyscy po pierwszym spotkaniu się z tem czemś, co później poznajemy jako nasze „ja“. Mowa ludu tego jest dlań tak charakterystyczną dlatego, że jest tak bardzo jego własną. Tworzy ona jedyną pewną podstawę do badań pośród tego mnóstwa obcych myśli, adoptowanych przez skłonnych do naśladownictwa japończyków. Wprawdzie połowa dzisiejszego języka jest pochodzenia chińskiego, ale zato drugą połowę konserwyzm narodowy zachował w zupełnej czystości. Z obrazu, który ona nam daje widzimy, jak dziś jeszcze każdy tam rozpoczyna życie od uczenia się tego samego bezosobowego światopoglądu, który właściwy był rasie przed setkami lat i który ona zachowała nietknięty.

## PRZYRODA A SZTUKA

Widzieliśmy jak bezosobową formę przybiera na Dalekim Wschodzie myśl ludzka, krystalizując się w wyrazy. Zwróćmyż się teraz do samych myśli, takich jakimi są przed tą krystalizacją i zbadajmy, jak objawiają się one czyto w podświadomem, czy w świadomem działaniu człowieka.

Jest coś co przenika do głębi całą istotę mieszkańca Dalekiego Wschodu, tak, że jest dlań nie tyle uświadomioną myślą,

nie myśleniem bez świadomości. Albowiem nie tworzy ono treści pewnego określonego łańcucha myśli, wyciska raczej swoje piętno na całym sposobie myślenia. Tem czemś jest sztuka. Jest ona wrodzoną jego właściwością. Artyzm jest u niego instynktem, któremu się intuicyjnie poddaje i dla którego przypadło mu dziedzictwo zdolności niezliczonych pokoleń. Jest artystą nawskroś, od pięt aż po końce palców u rąk, których używać umie z cudowną wprawą. Przy całym wszakże podziwieniu dla zdolności jego rąk, podziwiać przedewszystkiem przychodzi wysoki poziom duchowy, tego skończenie doskonałego artysty. Poczucie piękna jest u niego równie subtelne, jak prymitywne jest jego rozumienie wszechświata. Albowiem podczas gdy z wiedzą pobieżnej nawet nie zawarł znajomości, ze sztuką żyje serdecznie i zażyłe.

Wiedza obcą jest całemu wschodniemu światu. Choćby nawet cywilizacja chińska w dziedzinie tak zwanych nowoczesnych wynalazków, pokażny sobie już liczyła wiek, kiedy nasza leżała jeszcze w pieluchach, nie wiedzy to duch zrobił owe wynalazki. Posiadały Chiny i proch strzelniczy i żelazne czcionki i busołę, zanim się jeszcze Europie śniło o takich rzeczach; a przecież wszystko to nie zawdzięczało bynajmniej powstania swego, żadnej znajomości fizyki, chemji czy mechaniki. Nie było wynikiem nauk a jeno sztuk. Za całe tomy o cywilizacji Chińczyków starczy ten jeden fakt, iż proch swój wystrzeliwali w ogniach sztucznych, a nie w palnej broni. Zachodu to niepodzielna zasługa przyrzędzenie owego artykułu dla zabijania nie czasu, lecz ludzi.

Ludzie Dalekiego Wschodu niemają naukowego punktu widzenia. Nie znają oni owej nieuciszonej tęsknoty ducha zachodniego, jaką jest żądza zglębienia wszech rzeczy. Zdawałoby się, że metafizyka — rodzaj spekulacji szczególnie pociągający ludzi, może dla tego, że nie wymaga żadnego kapitału wiedzy — powinna tam wyjątkowo kwitnąć. Ale mieszkańiec Dalekiego Wschodu nie wysiłał nigdy w tym kierunku swojej wyobraźni; to do

czego się dziś przyznaje, zabrał raczej na dobrą wiarę, ongiś z Indji. Co się zaś tyczy właściwej wiedzy, to ta osiągnęła w jego ręku zaledwie stadium niby — morfologiczne, to znaczy, tworzą ją katalogi posklecane zależnie od bystrości umysłu odnośnego indywiduum, a do prawdziwego stanu rzeczy podobne mniej więcej tak, jak podobne mogą być sklecone na chybi trafi kości ludzkie, do człowieka. Wie tylko, że niema w tem wszystkim duszy, ale i zewnętrzny obraz jest już całkiem fałszywy. Im się tam wydaje, że pseudo naukowe zbiory faktów, które nie wznoszą się nawet nigdy do wyżyn klasyfikacji zjawisk, są szczytem wiedzy. Matematyka ich np. składa się z szeregu zdobytych doświadczeniem reguł, których wyjaśnienia wszakże uczeń nigdy nie usłyszy z tej prostej przyczyny, że nauczyciel sam go jest nieświadom. Jeszcze mniej pojęcia mają o nowoczesnych naukach, w szczególności o naukach przyrodniczych. Fizyka, chemja, geologia i tym podobne przedmioty nie miały nigdy dostępu do mózgowicy człowieka Dalekiego Wschodu. Jest naprawdę zdumiewajacem, jak małe posiada on zdolności do uogólniania i wyciągania wniosków nawet w czasach bezpośrednio związanych z codziennem namacalnem życiem, jak mowa, historia świata, historia kultury. Jego żmudnie wypracowane rejestry faktów imponują jako pomniki typograficzne, wnioski wszelako, które z nich wyciąga, są istną satyrą na naukę. Zupełnie inaczej ma się rzecz ze sztuką. Szukając napróżno w cywilizacji Dalekiego Wschodu objaśnień najprostszych bodaj praw przyrodniczych, dostrzega się na każdym kroku przykłady upiększeń życia, które śmiało stanąby mogły obok twórców samej natury.

Wszystko, co lud ten wytwarza — od najprostszej, kruchej zabawki, aż do wiekopomnych dzieł — cechuje, nigdzie zresztą na świecie nie spotkany smak. Wieczorna przechadzka po tokijskim Droadwayn może człowieka prawdziwie wykształci, zapoznając go z wszystkimi możliwymi sztukami codziennego życia. Gdy wyjdiesz na ulicę, uderzy cię czarodziejski widok

na morze światła. Wzdłuż dwu długich rzędów, których radośnie skrzące lampy tracą się w oddali, ciągną się dwa, również nieskończone szeregi kramów oświetlonych pochodniami, a żółty blask pierwszych dziwnie malowniczo odbija od szatańskiej czerwoności drugich. Ten radośnie obiecujący ich wygląd nie zawodzi nadziei. Jeśli skierujesz kroki za oczyma znajdziesz się w istnem Eldorado dla amatorów kupowania. I niemożliwym też jest pozostać tam jedynie widzem; sklepy otwierają ci swoje ramiona; nie odgradzają swych cudów od ciebie zimnymi szymbami wystaw; towar leży przed tobą pokusnie, zda się być już napoły twoją własnością. Z początku zatrzymują cię olśnionego jakoweś cudne fatałaszkę, po blizkiem dopiero przyglądnięciu się odkrywasz, że przedmioty twego zachwyty to najzwyczajniejsze, do prozaicznego użytku służące naczynia kuchenne, u następnych drzwi, skórzane pugilaresy o tłoczonych i malowanych wzorach namawiają cię do wypróżnienia własnego, aby zakupić więcej nowych, niżbyś kiedykolwiek był w stanie napełnić. Jeśli ci się uda i stąd odejść z nienaruszoną kieszenią to tylko poto, aby na następnym kroku stać się łupem malowanych wachlarzy precudnej roboty i wyglądu. I tak choćbyś w ojczyźnie był w nabywaniu niepotrzebnych rzeczy niewiedzieć jak powściągliwym, tam, ani się spostrzeżesz, kiedy cię opęta gwałtowna gorączka kupowania; a i później niewielką ci będzie pociechą, żeś przepuścił tyle pieniędzy na najzwyczajniejsze przedmioty użytkowe. Rzuciwszy się w rozpaczliwej ucieczce przed sklepami, do kramów, wpadniesz w objęcia jeszcze sroższych pokus. Albowiem te nowe wystawy są właściwie tylko na to, by opętywać niedoświadczonych. Podczas gdy sklepy ograniczyły się do grzesznych jeno i obyczajniejszych uśmiechów, kramy robią ci oko zupełnie cię nie krępujące i to nie bez powodzenia. Już sama atmosfera działa hypnotyzująco. Upiorne migotania pochodni rzucają błyski na niesamowitą postać osobliwie przybranego dziada, co pokazuje ciekawym przechodniom czarodziejskie sztuki jakiegoś nowego wynalazku z uprzejmością wyrafinowanego sta-

rego wroga. Tutaj, z zachwytem pomieszany z bojaźnią, przypatruje się gawieź szczurowi z gutaperki, który z naturalnością mogącą zawstydzić prawdziwego szczura, rzuca się tam i sam, wydając gwizdy i piski. Tam znów pomysłowy przyrząd opatrzony u góry rodzajem kółka turbinowego, umożliwiającego umieszczonej wewnątrz świecy dostarczanie zarówno światła, jak siły popędowej, ukazuje pocieszne koziołki wesołej małpy. Za tym cudem spoczywa na macie, szczęśliwa familja samych ciekawych rzeczy, którąbyś całą rad nabyć. Trochę dalej kiwiają na cię nieśmiało przepyszne kwiaty poruszane łagodnym podmuchem. I tak jedna atrakcja przez drugą stara się zdobyć poklask tłumu wałęsającego się tak jak i ty sam w radosnym świątecznym nastroju. Z kalejdoskopiczną zmiennością przeciągają postacie gwarzących dzieciaków o pstrych szatkach, roześmianych kobiet, rozprawiających mężczyzn w ciemnych, lecz nie mniej małowniczych strojach. Wędrując milami, niesiony przez tą falę wesela, póki się wreszcie o późnej godzinie nie najdziesz przed swoim progiem z uczuciem przebudzenia po cudownym śnie.

Teraz zaś wyobraźmy sobie, że jest dzień zamiast nocy i że jesteśmy w świątyni. Wstępujemy oto z innymi przez pierwszą bramę w podworec. Przed nami wznosi się gmach jakiegośmy prawdopodobnie nigdy w życiu jeszcze nie widzieli, o jakim nam się nawet nie śniło. Całe kamienne schody wznoszą się ku terasie, której balustrada do połowy z kamienia, kuta jest w powtarzający się wzór; drugą połowę tworzy misternie wyrzynana krata. Z tej terasy dostajemy się do budynku, a raczej do grupy budynków, które w najmniejszych szczegółach zachwycają oko harmonją swej niewidzianej wielobarwności. Dwanaście kolumn z białego jak śnieg drzewa okładanego kunsztownie brązem, ustawionych w cztery rzędy, stanowi jakby szkielet budowli. Pozostawiając przestrzeń pomiędzy środkowymi rzędami wolną łączy resztę kolumn z przodu i z boków krata z drzewa i z brązu; po obu stronach wejścia tworzy ona dwa

wgłębienia, w których stoją dwaj Strażnicy (Wio) olbrzymie posągi demonów Goga i Magoga. Głowy kolumn zdobią w miejsce zwykłych kapiteli, fryzy z lwów chińskich. Na nich, jako belkowanie, wznosi się warstwa za warstwą rzeźb złożonych, lakierowanych i malowanych. Każda następna wystaje bardziej od poprzedniej, ostatnia zaś kończy się galerją, otaczającą całe drugie piętro. Przód tej galerji jest bogato zdobiony, a gzymsy naokoło to znowu rzędy lwów, tutaj wszakże nie białych lecz brązowych. Drugie piętro ośniewa równie wyszukaną ozdobnością. Żebro jego tworzy dwanaście słupów. Ściany pomiędzy niemi są drewniane, pysznie bajcowane, a na nich widnieją rzeźbione i w naturalne barwy malowane ptaki, kwiaty i drzewa. Szczyt, to szereg fryzów, nagłowic, pólek w kształt pżeróżnych bajecznych stworów, a to wszystko ukoronowane znów przez nieskończony wieniec chińskich lwów. Niemożliwością jest wylizczyć wszystkie szczegóły tak różnorodnie rżniętego kiejnotu. Rzuca on tysiące ogni, których przepych stapia się w jedno, jak rozczepione barwy pryzmatu stapiają się w białość. A kiedy się opanuje już pierwsze, przemożne wrażenie i w zaciekawieniu wnijdzie do środka, czyni się odkrycie, że wspaniały ten gmach to tylko brama. Cały hołd zachwytu złożyło się oto samemu jeno wejściu. Po przejściu tego portalu znajdujemy się wobec daleko wspanialszej budowli. Podobna na ogół do pierwszej, a różniąca się w szczegółach, przypomina ją tak, jak pani przypominać może służebną. Ale któż zdolny jest opisać wdzięk piękności, wyszczególniając rysy twarzy! Od cegieł terasy aż po inkrustowane szczyty podobną jest ta cudowna budowla do wschodniej księżniczki stojącej w całym swym majestacie i przyjmującej korne hołdy. Oto jeszcze ta ścieżka wysypana żwirem, kilka kamiennych stopni, kędy nam przyjdzie zdjąć obuwie i wśród uroku budzącego zbożny nastrój, wstępujemy po miękkich matach do świątyni. Wszystko cośmy dotąd widzieli było jeno przygrywką do nieslychanego przepychu wnętrza. Laki, brzozy, farby zdobią ściany i powalę tak szcrodrze, że zdaje

się jakoby sztuka rozwinęła się tu była w jednej atmosferze z wybujalą roślinnością podzwrotnikową i rosła w świątyni tak naturalnie, jak pnącze lian po drzewach dżungli. Lecz całe to zdobnictwo jest znów oprawą jeno do tego, czemu to miejsce służy za przybytek, do przedmiotów nabożeństwa o mocy cudotwórczej, które zarówno przemawiają do religijnych, jak do artystycznych uczuć wiernych. Jeszcze świętsze są rzeczy przechowywane w sanktuarjum kapłanów. Znajdują się tam klejnoty sztuki, na których widok najwybujalsza jeno nieosobowość wstrzymać się chyba może od przekroczenia dziesiątego przykazania. O przypisywanej im wartości można mniej więcej nabrać pojęcia, gdy się widzi zdumiewającą innogosc jedwabnych obłon i lakowanych szkatuł, w których je troskliwie przechowują. Gdy się w tak podniosłej ciszy świątynnej pogląda na któreś z arcydzieł mistrza Motonobu traci się człek bezwiednie w fantastycznych dumaniach nad tem, czy kontemplacja buddyjska nie jest w gruncie rzeczy inną jeno nazwą dla kontemplacji piękna.

Te dwa obrazy z życia japońskiego, aczkolwiek tak różne, mają cechę, wspólną i dla gwarnej ulicy i dla cichej świątyni. Zaś cecha ta wyraźniej może jeszcze uwydatnia się właśnie swoją wszechobecnością, niż siłą. Powszechność jej występuje tak obiektywnie, jak subiektywnie; zabarwia i ożywia wszystko i niemasz nikogo coby jej nie ulegał. Życie codzienne przesiąkło nią tak zupełnie, że można powiedzieć, iż w Japonji niema wogóle żadnych kunsztów mechanicznych, wszystkie one bowiem wzniosły się do rzędu sztuk pięknych. Najpośledniejszy rękodzielnik jest w rzeczywistości artystą. Owa, przez prozaicznych Anglo-Sasów srodze wyszydzana, francuska nomenklatura najnowszych czasów, nadawałaby się tam całkowicie. Mianowanie n. p. japońskiego kucharza artystą byłoby jeno prostem uznaniem faktu, bowiem kuchnia japońska większą sprawia przyjemność wzrokowi, niżli podniebieniu; krawcy zaś w Tokio, choć z takim lekceważeniem traktują naturalne kształty męskie czy kobiece, są bezsprzecznie mistrzami drapowania. Sztuka roz-

powszechniona jest pomiędzy ludem taksamo jak palenie tytoniu. Jest ona pierwotnym prawem Dalekiego Wschodu, skarbem nigdy nie ukrywanym. Cały kraj wszcz i wzdłuż, od księcia do chłopca, podlega nieograniczonej jej władzy.

Ta przewaga artystycznego odczucia wymaga już sama dla siebie pewnej dozy nieosobowości u narodu. Zdawałoby się, że ten sam skutek wywołuje i wiedza, że zatem i nasza półkula, która pod względem wiedzy wyprzedza tamtą, zarówno z nią powinna być nieosobowa. Ale, po pierwsze, szerokich warstw naszej ludności nie przeniknął tak dalece duch wiedzy, jak tamtą ludność wrażliwość artystyczna. Nikt się przecież nie spodziewa u naszego murarza, bezinteresownego zaciekawienia dla zasad łuku, lub u ludwisarza, akademickiego zapалу dla teorii hydrantów. Nie miałoby się też słuszności przyznając masom w ogólności, a europejskim kelnerom w szczególności dużo abstrakcyjnego zamiłowania, do, powiedzmy, matematyki. Po drugie, pomiędzy stosunkiem wiedzy a stosunkiem sztuki do nieosobowości zachodzi istotna różnica. Uczuciowo nie przemawia wiedza do nikogo, sztuka do każdego. Uczucia zaś tworzą większą część owego skomplikowanego konglomeratu idei, który nosi miano „ja”. Myśl jakaś, która do pewnego stopnia nie zabarwiona została przez uczucie, jest nie tylko nie osobową (ściśle biorąc nie jest ona nawet zdeklarowane ludzką), ale jest czysto komiczną. Wiedza w swej ogromnej przewadze nad człowiekiem jest raczej nieosobową niż osobową. Sztuka natomiast przystępna jest wszystkim. Przez progi zmysłów najduje sobie drogę do głębi duszy człowieka i w niej się zadomowia. Zwraca się wszakże do jego człowieczeństwa, nie do indywidualizmu, mowa jej bowiem jest mową wszechświatową, zrozumiałą dla wszystkich. Nie trzeba daleko sięgać po przykłady dla potwierdzenia tej teorii. Nie jest to bynajmniej czysty przypadek, że dwie najbardziej nieosobowe nacje Europy i Azji, Francuzi i Japończycy, są zarazem najwybitniej artystycznymi. Sama nawet dworskość, którą, jakeśmy to już widzieli, odzna-

czają się obie, jest już w swoim rodzaju sztuką — sztuką społeczną, miłego współżycia z bliźnimi.

Owa nieosobowość zaznacza się jeszcze silniej gdy przejdziemy cd rozmyślań nad sztuką wogóle, do ducha, który tę sztukę natchnął, a zwłaszcza gdy z naszym własnym porównamy. Jako trzy główne źródła sztuki Wschodu wymienić można, przyrodę, religię oraz humor. Jakkolwiek niewspółmiernie wyglądają przy sobie te trzy rzeczy, wszystkie one wykazują jednaką cechę. Pierwsza bowiem przedstawia konkretną nieosobowość, druga nieosobowość abstrakcyjną, zakresem zaś trzeciej jest ośmieszanie na ogół osobistości. Z tej trójki najważniejszą jest pierwsza. Miłość przyrody jest tak zasadniczym składnikiem jaźni człowieka Dalekiego Wschodu, że dobrze będzie jeśli się tej samej przypatrzymy przed przystąpieniem do oglądania odzwierciedlenia jej w sztuce. Żyje on tam w ciągłym marzeniu, w śnie piękna na jawie. Natchnienie jego nie szuka sobie wyrazu w kształtach ludzkich, aczkolwiek nam wydać się to może nienaturalnem. Muza nie ukazuje mu się tak, jak starożytnym Grekom, w postaci kobiecej, ani nawet w prozaiczniejszej postaci mężczyzny. Niema ona nic pokrewnego z człowieczeństwem. Jest nazbyt pozbawiona osobowości, by mogła być uosobioną, jest nią bowiem przyroda.

Poeta, z którego nazwiskiem łączy się pojęcie pewnej nieomyślności, powiedział nam: „właściwym studjum dla człowieka jest człowiek.“ Wschód Levanty przyczynił się do ograniczenia tej nauki, pokazując na swym własnym, odstrasającym przykładzie, jak niestosownem studjum dla człowieka jest kobieta i że ci co jedynie za pięknem gonią, muszą wkońcu ulec zwyrodnieniu. Mieszkaniec Dalekiego Wschodu nic o tem wszystkiem niewie i nic go to nie obchodzi. Temperamentowi jego obcą jest zarówno rozkosz zgłębiania samego siebie, jak i ta, większa może jeszcze rozkosz zapamiętania się i zatrażenia w usilnych dociekaniach nad „odwieczną kobiecością“. Ani nieprzewyciężoność wrodzonej natury przywodzącej nieraz właści-

ciela swego do rozpaczy, ani zachwycająco nieobliczalna zmienność płci pięknej, co też często bywa równie niewesołe, nie jest zjawiskiem, któreby podniecało jego ciekawość. Biorąc stan rzeczy takim jakim jest, jako fakt materialny, a więc jako jedną fazę stopniowego rozwoju, uważa też ludzkość za małą jeno cząstkę wielkiego świata przyrody a nie za koronę i szczyt wszystkiego. Widząc, jak znikomą wartość przyznaje człowiekowi, rzec można, że jest on dlań najmizerniejszym ułamkiem wszechświata i zasługuje też tylko na minimalną uwagę.

Natura nie przedstawia mu się wcale jako tło dla człowieka. Czcigodny monsieur Périchon, owa prozaiczna, żeby nie powiedzieć filisterska sława, uwiecznił jak wiadomo, swoje podróże wymalowawszy obraz, na którym pierwszy plan z ogromnym panem Périchon, zaćmiewa maleńki szczyk Mont Blanc stojący sobie skromnie z tyłu. Człowiek Dalekiego Wschodu poezję swoją *myśli* i to nam prawdopodobnie wytłumaczy dlaczego w umyśle jego odwrotny zachodzi stosunek ważności człowieka do ważności góry. „Niezrównany Fuji“, główny motyw sztuki japońskiej, nie znosi pielgrzymów większych od siebie.

Ten sam los co człowieka, wogóle spotyka ze strony Japończyka i kobietę. W oczach jego Matka Ziemia piękniejszą jest od wszystkich swoich cór. Jej też oddaje serce, któreby do nich winno należeć. Miłość przyrody u człowieka Dalekiego Wschodu graniczy z namiętnością. Uwielbia on jej nieosobowość w kontemplacji ciągle zmieniających się nastrojów, która dziwnie łączy w sobie estetykę poety z askezą pustelnika. Nie dlatego, żeby hołdował kultowi swemu potajemnie. Namiętność jego jest zbyt impulsywna, by ją miał ukrywać czy też chęć się nią. U nas, miłość dla przyrody uważana jest niestety za rodzaj duchowej ekstra-wagancji, którą wybaczyć można wyłącznie poecie i to tylko zależnie od stopnia, w jakim zdoła on dać jej wyraz. U zwykłego śmiertelnika miłość do Matki Ziemi jest dziwactwem, z którym należy się starannie kryć przed bliźnimi. Wstyd jakiś nie pozwala przyznać się do niej.

takisam wstyd, jaki skłania chłopaka oddanego na pensję do skrywania swego żalu za domem, lub młodzieńca do zatajania miłosnych uczuć. Nikt niechce okazać się mniej gruboskórnym od innych. Albo też popada się w drugą ostateczność, robi oryginała, pozuje, przesadza, póki się wreszcie nie uda zatumanić na poly i siebie samego i innych. Zupełnie inaczej przedstawia się to u mieszkańców Dalekiego Wschodu. Ich miłość jest sama przez się zrozumiała, poprostu, jak wszystko co ma uznanie opinii powszechnej. Nie znajduje się już ona też w owym stadium wątpliwości i wahań, w którym wzmieszanie się kogoś trzeciego może każdej chwili harmonję duszy z radosnej tonacji durowej w rozpaczny molowy nastrój Radości człowieka Wschodu nie mącą żale ni tęsknoty. Jeśli ścieżka miłości wogóle go kiedy wiodła po cierniach, oddawna ma już poza sobą ten melancholijny okres erotycznego biedowania i znajduje się obecnie w stadium niezamaconego szczęścia małżeńskiego. Świadczy o tem już sam wygląd kraju. Japoński krajobraz nosi cechę swoistości, która nie ujdzie uwagi najpowierzchniejszego nawet widza. Gdziekolwiek Japończyk zetknął się z krajobrazem, wszędzie go sobie wyraźnie przyswoił. Kładł na nim ręce swoje, nie dla zadawania mu bolesnych ran, lecz aby go tkliwie pieścić; i zda się jakoby przyroda przyjmowała tę miłość niby coś samo przez się zrozumiałego i odwzajemniała mu ją korną powolnością czulej małżonki. Ogród jego bardziej jest nawet ludzki, niż jego dom. Nietylko, że wszystko tam doskonale z nim harmonizuje, ale nawet naturalne właściwości zmieniły się, aby być w zgodzie z życzeniami pana swego i mistrza. Krzaki i drzewa zapominają o pierwotnych swoich zamierzeniach i rosną podług jego woli, jużto rozpościerając szeroko wybuchające kształty, jużto kurcząc rodzoną swą postać do karłowatych minjatur — a wszystko to, by dogodzić zachceniom jego i oczom się przypodobać. Twarde skały nawet pozbywają się swej surowości i zdają się prawie dyszeć temsamem życiem co całe otoczenie. Już sam opis takiego przystosowania brzmi fantastycznie, sama

zaś rzeczywistość przechodzi wszelkie o niej wyobrażenia. Krzewy i żywopłoty, cięte i wyginane w przenajosobliwsze kształty, poddają się wskazaniom szczepiącego noża, zupełnie tak, jakby życzenia człowieka dogadzały ich własnym skłonnościom. Karłowate jawory, miniaturowe drzewka wysokie na stopę a liczące trzydzieści lat wieku, wznoszą tu na grzędzie ze wszystkimi korzeniami, guzami i sękami swych leśnych braci, z całą wrodzoną i niezmienną życiową siłą. I nikt nie patrzy na nie jak na potworne zniekształcenia, lecz jak na najnaturalniejsze wyniki hodowli, stanowiącej osobny dział ogrodnictwa. Chodząc po japońskim ogrodzie masz wrażenie, jakby cię przeniesiono niespodzianie w jeden z takich dziwnych światów, oglądanych nieraz na powierzchni błyszczących kul, kędy wszystko, zamieniło się w fantastyczną miniaturową rzeczywistość. W tym dziwnym, bajecznym świecie, pośród maleńkich drzewek i pagórków z kretowin, sączą się zdrobniałe rzeczki i wpadają do lilipucich jezior, niknących prawie pod gęstwą kwiatów, co obrastają ich brzegi, podczas gdy z oddali spogląda na to wszystko przychylnie, dziesięć stóp wysokości wynoszący szczyt Fuji, bez którego cały krajobraz nie miałby charakteru narodowego.

Obok tych domowych radości, których Japończyk codziennie zażywa w towarzystwie natury, miewa on też sentymentalne zachcianki. W usposobieniu takim zaprasza sobie kilku podobnie nastrojonych przyjaciół i udaje się z nimi do jakiejś miejscowości, słynącej z pięknego krajobrazu. Może to być albo wodospad, albo ciche, w cieniu drzew leżące jezioro, daleki widok szczytu górskiego, ujęty na kształt obrazu w ramy dwu pobliskich wzgórz, albo, w odpowiedniej porze roku, osypane kwieciami drzewa, które we wschodniej Azji piękne są nad wszelki wyraz. Przyciągającą siłą mają tam nie tylko pewne miejscowości, lecz również pewne pory. I tak, jedna okolica nadaje się do oglądania przy wschodzie słońca, druga w świetle księżyca, tę znów winno się odwiedzać z wiosną, a tamtą na jesień. Lecz, kiedykolwiek i gdziekolwiek to będzie, zawsze znajdzie



się dla miłośnika natury gościnną herbaciarnia, stojąca w punkcie, z którego najwspanialszy roztacza się widok. Piękność przyrody bowiem zbyt powszechnemu podlega uwielbieniu, żeby stanowić wyjątkowy przywilej pierwszego lepszego przypadkowego miłośnika. Lud odbywa tam pielgrzymki dla podziwiania natury, taksamo, jak my chodzimy do teatru, aby zobaczyć jakąś sztukę, wszelka zatem wyłączość byłaby tu równie niemożliwa, jak niepożądana. Niechęć do ludzi wypływa z uczucia egoistycznego, jest zatem objawem nieznanym u tak nieosobowej cywilizacji. Dla przyjaciół natury istnieją estetyczne podręczniki z opisami wszystkich godnych podziwu widoków, które japoński przewodnik zwie poprostu „scenerjami“ i które zwabiają odwiedzaczy nietylko z pomiędzy blisko osiedlonych, lecz także z dalekich stron. Przed gospodą stoją rzędem letnie pawilony. Goście sadowią się wygodnie w jednym z nich, ciche, małe dziewczątka z herbaciarni przykiwiają się ku nim, aby podać przedewszystkiem nieodzowną herbatę i słodycze. Potem każdy wyjmuje z rękawa lub z za pasa papier, tusz i pędzel i zabiera się do napisania poematu o piękności tego miejsca i uczuciach, które ono budzi, aby go odczytać zachwyconym swym towarzyszom. Potem pije się dużo grzanego saké, będącego dla nich temsamem czem dla Niemca jest piwo a dla robotnika francuskiego absynt; i tak siedzą sobie i popijają i piszą, świadcząc sobie nawzajem grzeczności, zamieniają wiersze swoje i kubki. Wreszcie po godzinie lub dwu, nalykawszy się do syta krajobrazu i saké, kończą poetycki sympozjon i ruszają do domu.

Czasem, zamiast gromady przyjaciół, zabiera miłośnik natury na taką wycieczkę żonę i dzieci, lecz i wówczas wszystko odbywa się taksamo. I w tym wypadku „scenerja“ jest głównym punktem atrakcyjnym a etykieta Dalekiego Wschodu, pozwala mężowi, żonie i dzieciom w jednakim stopniu zażywać tej przyjemności. Miłość przyrody niezależna jest zupełnie od społecznej pozycji. Wszystkie narody odczuwają ją równie silnie i od-

dają się całkowicie temu uczuciu. Bogaci i ubodzy, wysoko urodzeni i prostacy, wszyscy starają się wyrazić słowami poetycki nastrój, w jaki wprawia ich piękno natury. W szczególności zaś odczucie piękna ukwieconych drzew lub większych kwiatów, jak lotus lub irys, jest u nich równie cudowna, jak samo to piękno. Ci, których na to stać, posiadają własne drzewa i krzewy, ci którzy sobie na nic pozwolić nie mogą, sycą oczy w ogrodach publicznych. Od gałązki jednej włożonej w wazę, aż po dwie paki założone specjalnie dla hodowania tych roślin, nic nie jest za małe, nic za wielkie by wykraczać za ramy ukochania przez człowieka Dalekiego Wschodu. Oba, dorocznie przez Mikada urządzone przyjęcia, kwietniowe i listopadowe, są świętami w rodzaju „gardenparties“, z których pierwsze odbywa się w czasie i pod nazwą „kwiatu wiśni“ a drugie pod znakiem „chryzantemy“.

Kwiecie to zasługuje na wyjątkową uwagę nie tylko dla swego niezwykłego wdzięku, któryby wszędzie wzbudził podziw, lecz z powodu stanowiska, jakie względem niego zachowuje lud. Nie można znaleźć lepszego przykładu namiętnego ukochania przyrody przez Japończyków. O ile w kraju Wschodzącego Słońca poślednie mają znaczenie urodziny człowieka, o tyle pierwszorzędnej doniosłości są uroczyny kwiatów. Roślinne te uroczystości bowiem, obchodzi się tam z zapałem wiele więcej, niż botanicznym. Miłość i cześć im oddawana płynie ze serca i chociaż nie można jej nazwać indywidualną dla braku jednego określonego przedmiotu, to jest przynajmniej przez wzgląd na jeden określony gatunek, osobistą. Każdy rodzaj drzewa daje w porze swojego kwitnięcia okazję do świętowania. Każdemu kwiatu należy się od narodu danina podziwu. Od księcia aż do najniższych warstw ludności, wszyscy odbywają pielgrzymki, aby być świadkami tego widowiska. A okazje te wcale nie są rzadkie. Wiosna na Dalekim Wschodzie jest długim łańcuchem kwiatowych świąt, a że zaczyna się w końcu stycznia i ciągnie do połowy czerwca, żadna równoczesność zjawisk nie przeszkadza

dza oddać każdemu z nich z osobna należną cześć. Ludzie zaś mają nie tylko dość sposobności do podziwiania, ale również dużo czasu. Sama wiosna odpowiedniemu cieszy się uznaniem, gdyż datowana jest zgodnie z rzeczywistością. Daleki Wschód rozpoczyna swój rok wtedy, gdy przyroda rozpoczyna też swój; nie tak jak my, którzy wbrew wszelkiej logice, rozpoczynamy go w środku martwego sezonu, skutkiem czego naszą noworoczną radość zamacają znowu jakieś nierówności humoru. Nasz Nowy Rok to pusta nazwa, podczas gdy na Dalekim Wschodzie kalendarz zgodnie idzie z czasem. Zaczynają tam tedy rachubę roku o jakieś trzy tygodnie później niż na Zachodzie, właśnie w chwili, gdy otwiera się kwiat śliwy, o płatkach białych i zaróżowionych, niby od refleksów śniegu, co jeszcze pokrywa ziemię. Zimno bynajmniej nie odstrasza ludzi od urządzania pielgrzymek do miejsc kędy rosną śliwy, od spędzania tam kilku godzin w zachwycie i zawieszania na gałęziach, natchnionych poematów, które później nadchodzący czytają. Krótko żyją kwiaty w rzeczywistości, wiecznymi są w wyobraźni. Stanowią one jeden z najpowszechniejszych motywów dla malarstwa i poezji. Gałązka w pąkach na tle porannego nieba, konar zwieszony nad potokiem niby od brzemienia kwiatów, to rzut, wystarczający największym artystom, którzy jakby splatali na nim w jedno dwie sztuki — ducha poezji z formą malarstwa. Niema owoców ta śliwa; kwiat jej jest tylko wczesnym zwiastunem całej powodzi kwiecica. Gdy się skończy jego postępowanie, znika bezpowrotnie.

Następne wydarzenie w tym pochodzie kwiatów zasługuje na miano cudu. Z początkiem kwietnia spełnia się coś, co może najrozkoszniejszym jest zjawiskiem, jakie dano oglądać na tej ziemi człowiekowi — zakwita wiśnia. Opisać to słowami — daremny byłby to doprawdy trud. Oddałóż się kwiecici śliwy hołd zachwytu, przed kwiatem wiśni pada się w uwielbieniu na kolana. Albowiem widzieć poraz pierwszy rozkwitającą „sakura“, znaczy to poznać całkiem nowe uczucie. Myślałbyś tu,

że ci przecie dobrze jest znany kwiat wiśni, a tam, widok jego spadnie na cię z przemożną siłą cudownego objawienia. Bogactwo kwiecica jest tak niesłychane, że drzewo zmienia się w żywe skupienie różanej światłości. Nigdzie zielony liść nie zamąca tej cudownej woni czystej barwy. Śnieżno-różane kiełchy otulają gałęzie zupełnie, a tak miękko i subtelnie, że zdają się jakby zasłoną z muślinu, welonem oblubienicy przybranym na zaślubiny drzewa z wiosną. I nic nie może duszy wiosennej doskonałej uosobić. Stoi ta wiśnia niby drjača w ślubnej szacie zatopiona w dziewiczych marzeniach zbyt słodkich, aby trwać długo. I to drzewo bowiem taksamo jak śliwa, nie nosi nigdy owocu, który jest wypełnieniem obietnicy kwiatów.

Byłoby dziwnem, gdyby tak wiele piękności nie spotykało się z uznaniem, lecz dziwniejszem jest jeszcze, że uznanie to jest tak spontaniczne i tak jednozgodne. Podziwianie jej i miłowanie nie ogranicza się do gromady wykształconych, zapal porywa jednako i najniższe warstwy: lud prosty jest zarówno z wysokimi sferami czuły na piękno. Najżywsza radość pojedynczego osobnika z prywatnego swego ogrodu, błędnie wobec zachwytyw tiumu. Nie zadowalając się widowiskami, które przyroda sama z siebie daje, człowiek jeszcze je powielokrotnił. Miejsca nadające się pod pewne gatunki, zaludnił wprost drzewami. Gdziekolwiek stoją one, jak w Oji, gęsto niby gwiazdy przy sobie, wieńcząc jakies wzgórze, niekiedy tworzą, jak w Mukojima, aleję ciągnącą się milami, która mając po jednej stronie błękitno połyskującą rzekę, po drugiej sinozielone pola ryżowe, jest cudną mleczną drogą kwiatów. Lecz gdziekolwiek drzewa stoją, wszędzie w porę ich kwitnienia zjawiają się tłumy podziwiających. Lud wędruje masowo, aby napawać oczy radością i wraz z przyływem i odpływem dnia, falować pod kwitnącymi drzewami. Przybysz z Zachodu domyśla się na widok zebrań takich, jakiegoś socjalnej natury magnesu. Takiego wszakże niema. Przyciągającą siłę stanowią same jeno drzewa wiśniowe. Przemienione w wizję piękna, stoją tak przez tydzień.

czasem nieco dłużej. Potem kwiat opada. To co było ślubnym welonem, obraca się w całun pośmiertny i pokrywa ziemię naksztalt kobierca zimowego, póki jak on; nie zniknie. A drzewo staje się znów tylko zwykłym drzewem, niczem więcej. Pora kwitnięcia wszakże bynajmniej nie przeminęła, dlatego, że przeminął kwiat wiśni. Krótka jeno przerwa i oto tesame gromady, co urządziły pielgrzymkę do kwiatu wiśni ciągną ku wistaczi. Całe ogrody jej są poświęcone a ludność wielbi te ogrody. Siedzą więc teraz tutaj i patrzą na groniaste kiście bladorożowego kwiecia, zwisające dłużej niż na łokieć ponad szpalerem pni i chylące się co dnia bliżej ku swemu odbiciu w sadzawce. Popijając sobie herbatę na werandzie gospody, zażywa naród podwójnej radości, widzenia samego kwiatu oraz jego odzwierciedlenia, zbliżających się ku sobie, jak do czułego pocałunku. Po wistaczi przychodzi kolej na piwonię, a potem na irysy o potrójnym kwiecie, tak wielkim, że go dłoń zmierzyć nie zdola i mieniącym się wszystkimi barwami tęczy. Kto widział wielką lilję japońską, ten uśmiechnie się jeno litośnie, patrząc na skromne godło Francuzów.

Ale lista zaczyna być przydługa. Jesteśmy dopiero w pierwszym tygodniu lipca a przed nami całe lato jeszcze i jesień. Najpiękniejszym darem pierwszego jest lotos, druga przynosi chryzantemy. Wspaniale wzniosły jest kwiat lotosu, ucieleśnienie ducha atmosfery sierpniowej, ciężkiej od snów, symbol budzącego spokoju. Najwłaściwszą jego dziedziną są fosy zamkowe, z których podczas swego kwitnięcia zupełnie wypycha wodę. Gęsta płatanina liści, jak ze skóry, z pomiędzy których strzela kwiat wyniosły i opasuje wkrąg budynek co wygląda, jak czarowany zamek śpiącej księżniczki. W głębokiej zadumie, w jaką zapada człek stojąc tak w samym sercu Japonji przed starą siedzibą dainnyów, dalekie są wszelkie metafizyczne zagadnienia nirwany, zda się bowiem, że oto już się w nią wstąpiło, na jedno wieczyste lotusowe popołudnie.

Jako ostatnia wreszcie przychodzi chryzantema, choć w pewnym znaczeniu jest ona właśnie pierwszą (wybrano ją przecież za godło cesarskie). Jest, jakby stworzoną do tego, by symetrycznością kształtu symbolizować doskonałość, którą pośród ludzi przedstawia Mikado, Syn Nieba. Uosabia równocześnie zenit roku, przypominając pamiętny dzień zaślubin wiosny, będąc jakby złotem jej weselem w jesieni. Barwy wszakże może być nie tylko złotej; przybiera wszystkie niemal możliwe odcienie i w zakresie kolistym, wszystkie też prawie postacie. Jużto jest jakby kołem wozu o szprychach z płatków, jużto ognistą kulą z płomiennymi językami; inna odmiana mogłaby być gwiazdą orderu jakiejś naturalnej legji, inna znów jest rakietą w bengalskich ogniach przyrody.

Podziwiając ją dla niezwyklej piękności, używają jej także jako materiału dla stwarzania ekscentrycznych efektów. Do najosobliwszych tworów obliczonych na wywoływanie niezwykłego wrażenia należą japońskie postaci z chryzantemów. Co roku w listopadzie widuje się po ogrodach hodowców kwiatów, na tle świątyń Asakuzy, całe grupy naturalnej wielkości postaci mitologicznych i historycznych sporządzonych z chryzantem. Mogłyby one doskonale iść w zawody ze swemi londyńskimi kuzynkami z panoptikum figur woskowych. Są dość ludzaco prawdziwe, by nie tylko dzieciom napędzać strachu, ale i starszych wytrącać z równowagi. Nie tak zaraz otrząsa się człowiek z wrażenia, wpadłszy na jakiś zakręć na takiego, nieokrzesanego wojownika, czyhającego z zamiarem zrobienia porządku ze swym przeciwnikiem, nawet gdy się już przekonało, że ten straszak zrobiony jest z samych kwiatów. Żarciki podobne świadczą o wyjątkowym artystycznym sprycie i wysoko rozwiniętej, chociaż nieco dziwacznie stosowanej sztuce ogrodnictwa.

Z przekwitaniem chryzantem poczyna się martwa pora roku. Trwa ona jednak bardzo niedługo, bo kwiat śliwy poczyna się nieraz już wcześniej w styczniu. Z tego to zatem, niezupełnego nawet zbioru kwiatów widać, że Japończykom nie

braknie sposobności do zachwyków i z jaką namiętnością za-  
 chwytem tym się oddają. Rzecz można, że żyją w stanie chro-  
 nicznej gorączki kwiatowej. Przy tem wszystkiem jednak, nie  
 częstosć i ilość tych zachwyków, lecz jakość ich jest dla nas  
 uwagi godną. Intenzywnosć to ich uczuć, tak bardzo nas  
 wzrusza. Niepojętem nam się wydaje, że tak czuć może cały  
 naród, od prostego kulisa aż do czulego na estetykę dworaka.  
 Wyrażenie, wrażliwość artystyczna, byłoby niewystarczające.  
 można to raczej nazwać szóstym zmysłem, naturalnym, bo  
 ogólnie narodowym, różnica bowiem jaka zachodzi pomiędzy  
 tem uczuciem a analogicznymi uczuciami u nas, jest zarówno  
 w stopniu, jak przedewszystkiem w jego powszechności wy-  
 starczającą dużą, by usprawiedliwić podobne określenie. Stosu-  
 nek człowieka Dalekiego Wschodu do jego kwitnących drzew  
 nie ogranicza się na samem ich pielęgowaniu. Jest on kultem,  
 rodzajem ubóstwienia natury, adoracją, nie znającą żadnych  
 uosobień. Uczucie to jest równie szczerze, jak uczucie staroży-  
 tnych Greków. Ale podczas gdy Grek nadawał przedmiotowi  
 swego uwielbienia postać, Japończyk uwielbia go takim jak jest.  
 Wystawianie sobie naprzykład drzewa wiśniowego, jako kobiety  
 byłoby dla duszy japońskiej więcej nawet, niż śmieszne.

## SZTUKA

Wystarczy rzucić okiem na sztukę Japończyków, by się  
 przekonać, że nie człowiek jest dla nich ideałem piękna i źród-  
 łem natchnienia, lecz przyroda. Tensam duch, który z nich zro-  
 bił tak cudownych ogrodników, cudownych hodowców i obser-  
 watorów krajobrazu, przemawia też wyraźnie z ich dzieł.

Pierwsze, powierzchowne wrażenie, że talent i ambicje  
 malarskie Japończyków ograniczają się jeno do przedstawiania  
 ptaków i kwiatów, chociaż w ujęciu swem niezbyt trafne, za-  
 wiera przecież nieco prawdy. Jestto raczej danina złożona tech-  
 nicznym ich zdolnościom, niż należyte uznanie artystycznego

odczucia Dalekiego Wschodu. W istocie bowiem rzecz się ma tak, że cudzoziemcy przyłożywszy do wytworów sztuki japońskiej swą własną, zachodnią miarę, osądzili wszystko podług jej skali. Ludziom z Zachodu spodobały się przedewszystkiem takie dzieła, przy których jaknajmniej potrzebowali odbiegać od swych własnych kanonów. Najprostsze zatem obrazy osądzono jako najlepsze. I tak wizerunki ptaków i flory uznane zostały za piękne, ponieważ realizm ich przemawiał sam za siebie. Tkliwe, poetyckie ujęcie natury w japońskim pejzażu nie zostało zrazu zupełnie zaszczycone pochlebną uwagą obcych krytyków, wyrażało się bowiem w formie innej, niż ta, w której zakresie obracali się oni.

Jak zawsze i wszędzie, tak i tu, pierwsze wrażenie jest rozstrzygającym. Wszystkie późniejsze roztrząsania prowadzą mimowoli do tego samego. Flora i fauna dlatego ważną odgrywają rolę w sztuce Dalekiego Wschodu, ponieważ wchodzą stale jako szczegóły w zakres materiału myśli i marzeń artysty. Te ptaki i kwiaty są jego „sujets de genre“. Tam gdzie nasz artysta stara się osiągnąć żądany efekt, wprowadzając pewne fazy życia ludzkiego, tam on wybiera sobie kawałek przyrody. Żdźbło trawy, kwitnąca gałązka wiśni są dlań tematami wystarczającymi, piękno ich dostatecznie podnieca jego twórczość. Albowiem dla mieszkańca Dalekiego Wschodu, cała przyroda jest przyjacielem. Daleki od tego, by podziw swój skupiać jedynie na człowieku, obejmuje wzrokiem cały świat, a sztuka jego daje temu wyraz.

Nie mówiąc na razie o podrzędnej, choć i tak ogromnej różnicy w barwie, sposobie ujmowania i technice, zasadnicza różnica pomiędzy sztuką Zachodu a Wschodu polega na stanowisku, jakie zajmują one w stosunku do człowieka.

U nas, od czasów greckich aż po dziś dzień, przewodnią gwiazdą dla oczu artysty był człowiek. Artysta wschodni rzuca nań tylko okolicznościowe, przelotne niemal spojrzenie i nawet kobiecie nie udaje się przykuć jego uwagi. Powiedział jeden z naszych pisarzy, że mężczyźni, który spotyka kobietę, wolno

jest, bez przekroczenia granic należytego uszanowania, poświecić jej dwa spojrzenia: jedno, aby ją poznać, drugie, by ją podziwiać. Japończykowi ani się śni zwracać na nią więcej niż jedno, jeśli wogóle zwróci — i to oczywiście owo pierwsze. Właśnie zaniechanie tego drugiego spojrzenia, zrobiło go tem, czem jest. Nie los temu jest winien, gdyż sposobności daje mu aż nadto — jeno on sam jest ślepy. Nigdzie bowiem widok ciała kobiecego nie jest tak czysty jak w Japonji. Japonka nigdy nie jest nieubrana, bywa jednak często naga. Z artystycznego punktu widzenia rezultat jest tensam, pomimo różnicy przyczyn. Byłoby bowiem grubym błędem przypuszczać, że Japończycy są narodem nieskromnym. Wedle ich własnych przepisów są nawet niezwykle skromni. Żadna n. p. szanująca się kobieta japońska ani na chwilę nie obróciłaby przy chodzie palców na zewnątrz. Uchodzi to za nieprzyzwoitość. Poza tem ich kodeks towarzyski nie jest tak kapryśny, jakby się zdawało z tego małego przepisu. Probiierzem tego co wypada i co nie wypada jest dla nich rodzaj celu. Stan naturalny nie jest w ich oczach stanem nieprzyzwoitym. Obnażenie wywołane koniecznością jest słuszne i naturalne, obnażanie się bez potrzeby jest potępiania godną niewłaściwością. Można by przypuszczać, że podobnie rajski stan towarzyski nadawałby się doskonale dla rozwoju czegoś w rodzaju modernistycznej francuskiej szkoły malarstwa. A przecież Daleki Wschód właśnie, jak daleko sięgnąć w przeszłość, zupełnie zaniedbywał studjum aktu. Starożytny Grek, nie mówiąc już całkiem o nowoczesnym Paryżaninie, ogromnie by był zgorszył Japończyków. Obecnie my gorszymy się nimi. W zdumienie wprawiają nas sceny widywane u nich po wsiach, podczas gdy oni ze swej strony niemogą się nadziwić naszym przedstawieniom teatralnym. W kąpielach u nich widzi się obie płci w całej swej naturalnej niewinności kąpiące się razem, byłoby wszelako wysoce nieprzyzwoitem, gdyby szanująca się kobieta wystąpiła na scenie choćby w niewiedzieć jak przyzwoitej roli. Różnicą w tym względzie między obiema ziemskimi

połkami możnaby tak określić: tam daleka od sztuczności swoboda — tu licencja artystyczna. Ich niepisany kodeks obyczajności zda się mówić: „widzieć musisz, lecz nie masz się przyglądać”.

Naród ten żyje w daleko większej zgodzie ze swemi obyczajnemi przepisami, niż my z naszemi. Poddają mu się wszelkie klasy bez wyjątku. Przymiotnik „szanujący się“, którego dopiero co użyłem jako odróżnienie przy omawianiu kobiety, był właściwie zbyteczny, ponieważ w pozorach zewnętrznych wszystkie kobiety są tam szanownemi. Nawet najniżej upadła istota nie zdradza zachowaniem swego rzemiosła. Omówienie przyczyny tej jednostajności form oraz jej znaczenia psychologicznego, odkładam na później.

Ten rodzaj wstydlivosti, a raczej brak konwencjonalnej wstydlivosti w formach towarzyskich, nie ma nic wspólnego z pięcią i wcale na niej nie polega. Rozciąga się zarówno na postać mężczyzny, która nawet bardziej eksponowana jest od kobiecej, i która może dawać i artyście i lekarzowi podniecie do nieocenionych anatomicznych studjów; cóż, kiedy ten artysta i ten lekarz pojęcia niema o tem co to jest, taka podniecia. Kulisi posiadają nieraz ciało, któreby wprawilo w zachwyt Michała Anioła, a fenomenalna mięsistość atletów zmieniałaby dla jakiegoś Rubensa krainę tę w istny raj. Co do lekarzy (nadawanie im nazwy chirurgów byłoby nadawaniem nazwy czemuś co nie istnieje) to jedynie brakowi naukowej żądzy należy przypisać, że wcale nie badają tego, coby dla nas zbyt było pokusnym byśmy takich badań niechali. Treścią i szczytem chirurgicznej ich wiedzy jest akupunktura, albo zwyczaj wpychania pacjentowi bez żadnego względu na anatomję, długich szpilek w bolące części ciała.

Malarz również niema nic z wiedzą do czynienia. Przedstawia on ludzi poprostu tak, jak ich w codziennym stroju widuje. Wyniki, jakie osiąga, świadczą o wybitnej zdolności jego zmysłu spostrzegawczego do uogólniania. Na obrazach nie wi-

dać tam nigdy człowieka takim, jak go Pan Bóg stworzył, tylko takim, jakim jest pośród zamieszania i zgiełku roboczego dnia. Cywilizacja obmyśliła mu ubranie i woli je też zatrzymać na sobie, gdy się daje malować.

W ujęciu człowieka jest artysta Dalekiego Wschodu zdecydowanym realistą. Do natury się zwracając, poczyną idealizować. Idealizowania nie należy tu rozumieć, jako coś konwencjonalnego. To na wyrzut wyglądające określenie wprowadza w błąd i polega na nieporozumieniu. Idealizm jego jest prosto wynikiem jego miłości, która, jak wszystka miłość ludzka, ozlaca swój przedmiot i chociaż się niekiedy łudzi, ma w sobie przecież coś z jasnowidzenia. U niego jest ona zawsze wysoce nieosobowa. Daltonizm w kierunku gorącego, krwisto czerwonego krańca życiowego widma, nie upośledza w żaden sposób jego zmysłu dla zimniejszego piękna ciemnego błękitu i zieleni barw przyrody. Na pojęcie tego piękna zawsze jest czuły. Podziwia ją w sposób iście fenomenalny, a w sztuce daje jej wyraz nie ustępujący samemu podziwowi.

Malowidło japońskie jest raczej poematem, niż obrazem. Przedstawia ono nie samą scenę ze wszystkimi jej szczegółami, lecz uczucie wywołane tą sceną. Daje tylko to, co dla tego właśnie uczucia jest istotne a pomija świadomie wszelkie inne szczegóły; jest ułamkiem podpatrzonej przez ludzką duszę, duszy przyrody, odzwierciedleniem nastroju, przelotnego może w rzeczywistości, lecz utrwalonego przez wyobraźnię. Człowiek Dalekiego Wschodu odczuwa głęboko potęgę prostoty. Warunek ten jest zasadniczym kanonem jego malarstwa. Aby rozumieć jego obrazy, trzeba na nie patrzeć z tego punktu widzenia. I nie jak na bezduszne fotografie pejzażu, jeno jak na poetyckie przedstawienie jego nastrojowej treści. Tak jak u nas, przydługi poemat stanowi „*contradictio in adiecto*”, taksamo u nich obraz doskonale wykończony wydaje sam na siebie wyrok. Gdy się już zaszło dość daleko, by rozumieć smak Dalekiego Wschodu, odwracać się poczynamy od dzieł

sztuki, które zowiemy doskonale skończonymi, z niemiłym uczuciem przesytu, zupełnie jakbyśmy się za dużo czegoś najedli. Obrazy ich zwykło się w porównaniu z naszymi, nazywać szkicami. Czy to umyślne nasze lekceważenie nie jest w gruncie rzeczy właśnie nieświadomą pochwałą? Czy szkic nie jest dla kogoś, co go umie rozumieć, daleko bardziej znaczącym od minjaturowo wypracowanej rzeczy, która zaczyna się i kończy bezowocnie sama w sobie? Czyż istota wyobraźni nie wyklucza możliwości portretowania jej wizji? Nie buja że ona niby błędne światło po przestworzu, usuwając się z pod wszelkiej dokładnej definicji? Dusza sztuki tkwi w tem, co ta sztuka zdolna jest zasugerować, a nic nie działa w przybliżeniu nawet, tak sugestywnie, jak rzeczy niedomówione. Wiele wyrażać, ukazywać zaś możliwie najmniej, oto sposób istotniejszy w swym działaniu od najbardziej wymądrzonego przedstawiania treści ze wszystkimi jej drobiazgami. Sztuka objawiania częściowego wymowniejszą jest od samej nawet ars celare artem. Któż nie przeczuwa za kryjącą zasłoną oblicza piękniejszego, niż kiedykolwiek zasłona jakaś kryła? Prawidło to odnosi się też do wszystkich innych rodzajów sztuki. Któżby się oparł jego wpływowi? Czy jeź bajeczne marzenia nie zostałyby pogwałcone i sprofanowane na widok ilustracji do poematu, który wrył mu się kiedyś głęboko w duszę, portretów ludzi, obrazów okolic nigdy nie widzianych, lecz będących oddawna wyłączną własnością jego serca? Przeciwno metodzie szkicowej przytoczyćby można argument, że publiczność aby się podobać, takim sugestywnym wskazaniom musiałaby mieć tyleż prawie zmysłu artystycznego, co sam malarz. Natomiast do uznania czegoś, co już zostało wypowiedziane, wystarczy przez pół jeno tego uzdolnienia, które potrzebem było wypowiadającemu. Oczywiście, że widz musi posiadać pewną wrażliwość, aby dzieło rozumieć. Zachodzi tylko kwestja stopnia tej wrażliwości. Im żywszy zmysł artystyczny osoby, do której sztuka się zwraca, tem więcej winno mu się pozostawiać swobody. Owóż publiczność japońska prze-

dziwnie bogato uposażona jest w ten zmysł. Dla nas, przyzwyczajonych do robienia ogromnych różnic intelektualnych między jednym człowiekiem a drugim, zdumiewającym jest fakt artystycznej wrażliwości tłumu. Szkice są zatem dla tego kraju jakby stworzone. Ponadto jest w szkicach bezpretensjonalność i prostota mająca wielką siłę atrakcyjną. Chcieć oddać doskonałość w tak niepozornym odłamku wszechświata jakim jest obraz, przedstawia olbrzymie trudności. Możliwości nie udania przeważają niepomiernie, a zarozumiałstwo porywającego się na takie rzeczy artysty czyni fiasko jeszcze bardziej niewybaczalnym. Mądrzeby to może było ze strony sztuki pójść w tym względzie za przykładem wiedzy. Tutaj, uczony autor, wydając wyczerpujące dzieło, któremu poświęcił był większą część życia i sił, nadaje mu zwykle miano studjum lub „essay“ nad odpowiednim przedmiotem.

Niesłychana technika człeka Wschodu pomnaża jeszcze działanie, płynące z prostoty koncepcji. Niewiele robi pociągnięcie jego pędzel, lecz każde z nich z osobna jest wymowne. Stosowane są z mistrzostwem, którego niesposób nie nazwać cudownym i którego doskonałość da się wyjaśnić jedynie przez akumulację dziedziczności. Przy metodzie tej bowiem wykluczone jest wszelkie poprawianie, przeinaczanie, wymazywanie. Co artysta raz zrobi, zrobione jest raz na zawsze. A im dłużej patrzeć na dzieło, tem bardziej pogłębia się wrażenie. Każda pomysłna kreska wyraża dziwnie wiele, a sugeruje jeszcze więcej. Nawet rzeczy pominięte stają się tu pełnymi znaczenia. Jasnym się staje przed takim obrazem, iż przedmiot jakiś nabrać może wyrazistości właśnie przez to, że go niema. Zdaje ci się, że widzisz coś, co przy dokładnem zbadaniu okazuje się tylko tworem twojej bezwiednie uzupełniającej imaginacji. Artysta Dalekiego Wschodu zdaje sobie doskonale sprawę z siły tej sugestji, rozumie, że wyobraźnia zawsze lepiej uzupełni obraz, niż najwytworniejszy pędzel.

Okazuje się też, że nawet zaniedbywanie pewnych ogólnych reguł, które uważaliśmy za niedopuszczalne, a mianowicie brak światłocienia oraz perspektywy, niema tak bardzo znowu ważnego znaczenia. Obrazy ich przekonywują nas, jak nieistotną — pod względem artystycznym — była żalosna strata Piotra Schlemilla i jak zapomocą ich metody prowadzenia linii doskonale wywoływać można złudzenie nieograniczonej przestrzeni.

Malowidła Dalekiego Wschodu to nie opisy, lecz raczej epigramy. Podają jakąś część przyrody z gładkością iaroche-foucauldowskiej maksy, są niby aforyzmy, zachwycające przenikliwością i pomysłową dosadnością wyrażeń. Aforyzmy rzadko kiedy zawierają bezwzględną prawdę, lecz ów ewentualny brak ścisłości wypełniony w nich jest dowcipem. Życie to rzecz tak skomplikowana, że chcieć mówić o jakiejś jego prawdzie, wsadzając ją w ramy wszystkich znanych ograniczeń, to równoczesne jej umniejszanie. Zapewne, że wyjątki mogą regułę potwierdzać, z pewnością jednak nie przyczyniają się do jej zaakcentowania. Niechże sobie ścisłość będzie czemś istotnem dla wiedzy, nie będzie niem w żadnym razie dla sztuki. Nie brak i u nas przykładów na to. Czyż nie potępilibyśmy sztuki teatralnej, coby nam chciała narzucić drobiazgowy obraz przeszłości wszystkich występujących w niej osób? I czyż nie łatwiej jeszcze znieść przeładowanie zbyt wielką mnogością po sobie następujących szczegółów, niżli nawałem ich podanym naraz? Chińczycy, dla których kilka odpowiednio rzuconych kresek jest obrazem, obfitują w dramaty trwające po sześć tygodni.

Jakby dla ożywienia suchego szkieletu swych ogólnych wywodów, nasuwa mi się wspomnienie pewnego obrazu pędzla Okya, w którym zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Przedstawia on wschód słońca na japońskim wybrzeżu. Długa fala przyplwyu wybiega z morza mgły, w chwili gdy opary rwać się właśnie poczynają, okazując krwistą tarczę słońca, a za wazkiem pasmem lekko wzdętych fal trzy żorawie żeglują ku północy. To wszystko. Nie widać brzegów nijakich, nijakich łą-

dów. Tylko graniczną linię nieznaną dali, rozkolebany ocean spowity jeszcze zimną mgłą, z której wynurzają się fale, słońce i żorawie.

Tyle o poważniejszej stronie sztuki japońskiej, rzut oka na mniej poważną, doprowadzi nas do tych samych wniosków. Ręka w rękę z tą intenzywną wrażliwością poetycką idzie żywy zmysł dla humoru; tych dwóch towarzyszy częstokroć spotyka się nieodłącznie z sobą po dziedzinach fantazji bujających. Jak powiadają bowiem: serce, które pierwsze ku kwiatom się skłoni, pierwszym też jest do żartów.

Człowiek Dalekiego Wschodu powiedzeniu temu dostarcza jaskrawego przykładu. Kędy tylko nastrecza się okazja do żartu, wszędy wkłada go w swoją sztukę. Od najdawniejszych mistrzów aż po Hokusai'a, roi się tam od zabawnych pomysłów. Różnorodnego rodzaju jest ten humor: to czai się dowcipnie w ukryciu, niczem uśmiech błędzący po poważnej zazwyczaj twarzy, a tak dyskretnie, że widz zdziwiony zapytuje sam siebie, czy też to naprawdę umyślny dowcip artysty, czy tylko wynalazek własnego naszego sprytu. To znów objawia się w szerokim uśmiechu — w groteskowych łączeniach ze sobą najosobliwszych przeciwieństw. Karykatury Hokusai'a i szkice Hendschia mogłyby być bliźniętami. Jeżeli wogóle zachodzi pomiędzy nimi różnica, leży ona nie tyle w istocie samych dzieł, ile w większej ich popularności i ulubieniu. Tam obraca się humor swobodnie na poziomie tłumu. Temperament japoński jest zawsze skłonny do śmiechu, który przy pierwszej sposobności wybucha z zaraźliwą naiwnością. Mowa pełna jest dowcipnych słów, których też nie omieszkuje się używać i sama poezja polega często na pewnych uświęconych grach wyrazów. Wszelako usposobienie ludu nie szuka sobie w tych popularnych igraszkach bynajmniej zadowolenia miłości własnej, albowiem każdy gotów jest śmiać się zarówno na swój własny koszt, jak na koszt swego bliźniego; uprzejmość, którą bliźni ochoczo odplaca.

Zasada syntezy sprzeczności, znana pod nazwą humoru, ogranicza się oczywiście w kierunku swym jedynie do człowieka. Albowiem czyto zajmuje się czynami ludzkimi, czyto występuje jako dowcipne powiedzenie lub żart, działanie jego polega zawsze na niewspółmierności kontrastów. Istotą tego co wywołuje śmiech jest niespodzianość. W naturze zaś niema takich niewspółmierności. Człowiek sam tylko używa monopolu robienia się śmiesznym. Żartowanie zaś jest tak zabawne, że przesadzamy jeszcze jego powody ponad wszelką miarę. Z przyrody możemy sobie tylko wtedy dworować, jeśli ją uosobimy i przypiszemy jej błędy, do których nie jest zdolna; tak na przykład, w bezsilnej zjadliwości wystawiamy na pośmiewisko pogodę. Satyry na temat błazeńskiego usposobienia naszego klimatu, który po możliwie najkuławszej wiosnie rozpętuje jeszcze, na dodatek, niesłychaną burzę, byłoby na Dalekim Wschodzie niezgodne zarówno ze smakiem, jak z rzeczywistością. Dla Japończyka, który nigdy nic nie personifikuje, tego rodzaju niewinna ironja niema żadnego sensu. Ponadto nie byłaby też, ni przypiał ni przyfatał, tam bowiem miesiące wiosenne dotrzymują wszelkich swych zobowiązań.

Malowidła na Dalekim Wschodzie, biorące sobie za temat człowieka dzielą się na dwie grupy, humorystyczną i historyczną. Ta ostatnia nie bardzo się szczegółowo zajmuje człowiekiem, jako takim, przeszłość bowiem ma dla teraźniejszości niewiele z pierwiastka osobowego. Co się tyczy pierwszej, to uwaga, którą mu poświęca jest sama przez się znacznem pochlebstwem. Nasza natura sprzeciwia się wyszydzeniem czegoś, co uważamy za część nas samych. Wszelako człeka Dalekiego Wschodu nieosobowość ustrzegła od zbytku miłości własnej. Wcale też nie jest od tego, by z samego siebie robić karykatury. Przypuszczam, że niewielu Europejczyków miałoby ochotę wykonać swój wizerunek w rodzaju autoportretu garncarza Kinsei, który nabyłem kiedyś od wesołego handlarza obrazami. Wielki garncarz, który widocznie był też i niepoślednim malarzem, skom-

winował tu w jednej jętynej postaci trzy własne wizerunki. Na pierwszy rzut oka wydaje się ten obraz zwykłym portretem en face jowialnego obywatela o twarzy jak miesiąc w pełni; przy dokładniejszej jednak obserwacji odkrywa się po obu stronach twarzy, jeszcze dwa inne indywidua, w profilach mrugających ku niej podufale. Linje rysujące te trzy portrety przeprowadzone są tak pomysłowo, że każda podwójną odgrywa rolę. Gdy się to raz już zauważyło, niemożna więcej spojrzeć na obraz, aby już nie widzieć wszystkich trzech twarzy równocześnie. Niewątpliwie rezultat bardziej jest efektowny, jako kompozycja, niż pochlebny dla fizjonomji autora.

Również rzeźba Dalekiego Wschodu wykazuje przez podrzedne swe pośród innych sztuk stanowisko, jak poślednie znaczenie przywiązują nasi duchowi antypodzi do osoby człowieka. Wskutek koniecznego swego ograniczenia, rzeźba niema możności przedstawiania natury w szerszym zakresie, albowiem, pominiawszy wszelkie inne powody, temat jej musi się dać ująć, jako coś spoistego. Oddzielne przedmioty w ruchu, jak n. p. klucz lecących ptaków, który dostarcza tematu w malarstwie, przekracza zakres plastyki. Że przytem materiał jest zawsze jednolity, niema w zasadzie mowy o tych, tak istotnych w malarstwie pejzażowem pierwiastkach, o kolorycie a choćby tylko cieniowaniu. Niema też zwyczaju w Chinach ani Japonji malowania skończonych rzeźb, jak to czynili Grecy. Krajobraz jest już przez swoje rozmiary wykluczony od figurowania w rzeźbie. Pomniejszona podziałka reprodukcji wywołuje wrażenie niewłaściwości, o którem zapomnieć się nie da, ani go wybaczyć. Praktycznie zatem nadaje się rzeźba jedynie do posągów, posągów ludzi lub zwierząt. Dlatego to odgrywa ona tak podrzedną rolę w sztuce Dalekiego Wschodu, dla której pejzaż znaczy najwięcej. Miejsce przyrody zajmuje w niej Budda. Istnieją bowiem dwa rodzaje rzeźb, a pomiędzy nimi jedna jest tylko różnica dzieląca podniosłość od zabawności: olbrzymie posągi i malutkie figurki. Braknie tylko pośredniej miary człeka. Do

pierwszego rodzaju należą wspaniałe, brązowe wyobrażenia Buddy, jak n. p. pięćdziesiąt stóp wysokości liczący Kamakura-Buddha, którego oblicze, uosobione wyobrażenie nirwany, tchnie szlachetnością, wielkością i łagodnością. Drugą grupę stanowią owe dziwaczne figurki znane i rozpowszechnione pod nazwą „netzuki“, przeważnie komicznej treści, groteskowe postacie ludzi i małą, grzeszników i świętych, bogów i djabłów. Pełne wyrazu i naturalnej żywości są rżnięte w kości słoniowej i drzewie wizerunki zwierzęce.

Pozostałe gałęzie sztuki wykazują w ornamentach swych tesame motywy. Zarówno w majolicie, jak w wyrobach z laki, wyrażnia się stanowisko, jakie zajmuje w odczuwaniu Japończyka powaga i jakie komizm. Człowiek Dalekiego Wschodu dworuje sobie z człowieka, a wielbi przyrodę. I zda się niemal jakoby przyroda słuchała memej jego modlitwy i uśmiecha się życzliwie, jakby blask miłości opromieniał jej oblicze, wdzięczne oblicze oblubienicy. Nigdzie bowiem na świecie widok przyrody nie jest tak cudny jak w Japonji: klimat długotrwałej temperatury średniej, krótkich okresach maksimum i minimum, miesiące wiosenne i jesienne z kilkoma zaledwie pomiędzy nie wchodzącymi tygodniami zimy, kraina kwiatów, kędy lotos i wiśnia, śliwa i wistaria zgodnie wzrastają przy sobie; kraina kędy bambus z jaworem padają sobie w objęcia, kędy smerek spotyka się z palmą, kędy strefa podzwrotnikowa i umiarkowana zapominają o odrębnościach swoich, w długim, serdecznym uścisku.

## RELIGJA

W odniesieniu do religji narody zdają się mieć podobną jak i poszczególne indywidua, niechęć do wykonywania tego, co głoszą. Czyto, że twórcy bóżyszcz nadto wyraźnie dostrzegają w dziełach swych własne dłuto, aby się długo niemi łudzić, czyto, że święta niwa pobożności, zarówno jak i ta ziemską,

niezdolna jest po pewnym czasie do przyjmowania jednego i tego samego ziarna, fakt, że w rzeczach religii większość ludów wyrasta ponad swoje własne koncepcje. Poszczególne człeka trzyma tam może pewne przywiązanie przy wierze matczynej, narody jednak, dobrze jeszcze, jeżeli święte przesady praszczurów mają sobie choćby za takie. Po upojnym szale tworzenia przychodzi nieunikniony, gorzko-słodki posmak krytyki, a człek niebyłby tem postępowem zwierzęciem, gdyby się długo durzył we własnych dziełach.

Zagadnienie, jaka nas przyszłość czeka, nadto jest zawiłane, nadto spowite tajemniczością, by nie kusić człeka uparcie do wymalowywania jej w coraz to nowych barwach. Nie dziwota, że wystawianie sobie tamtej krainy, ku której ludzkość od wieków zdąża, działa na wyobraźnię równie silnie, jak i projekty ziemskich podróży. Większość ludzi wypracowała plany takich dróg po zaświatach, a być może, że tak jak przy układaniu podróży po globie ziemskim, pociągającym czynnikiem jest możność zmieniania tego planu na inny. Ponadto urok obcego leży właśnie i często w obcości. Oddalenie otacza zapartywania innych czarodziejskim nimbem, tembardziej jeśli zapartywania te są wizjami religijnymi. Każdy entuzjasta posiada niewątpliwie większe widoki, aby być uważanym za boga u takiego narodu, który go niezna dokładnie, jako człowieka. Tak samo ma się rzecz z jego naukami. To co importowane, nabiera z łatwością daleko większego znaczenia, niż to, co krajowe, tak właśnie, jak dal nieznana łatwiej oczarowuje, niż otoczenie. A jak urzeczywistnienia fantastycznych pomysłów nie stają się zazwyczaj własnością swych twórców, tak samo zupełnie i mieszkań niebieskich nie dziedziczą zwykle spadkobiercy z prostej linii. Bijącym w oczy przykładem na to są obie, najpotężniejsze dziś religie świata, buddyzm i chrześcijaństwo. Żadna z nich nie jest obecnie wierzeniem ludu swego twórcy. Co się zrodziło aryjskiem zostało przez wychowanie turańskim, a to co w koncepcji swej było semickie jest skutkiem adopcji

aryjskiem. Wszystkie możliwe przypuszczenia o zaświatach są bardziej pociągające, niż te ograniczone, które właśnie nam zacieśniają widok. Niemasz pewnie piękniejszej rozrywki ponad rzucanie kamyków w ciemną drzemiącą sadzawkę i przypatrywanie się wyczarowanym falom, co w coraz większych i większych kręgach zdążają ku brzegowi. Wszyscy pewnie oddawaliśmy się tej przyjemności, a któż nie puszczał na wodę tak zwanych „kaczek“, płaskich kamyków skaczących po powierzchni i wywołujących drżące skręty. Ta subtelna siła, która na ułamek czasu dotyka cząstki jednej wprawiając ją w drganie, aby natychmiast przejść do następnej, ma w sobie coś dziwnie pociągającego, jakiś tajemniczy w niematerjalności swojej ruch. Podobną musi być radość tych co rzuciwszy myśl swą w serca ludzkie, widzą wyczarowaną falę uczucia, którą czas w mnożących się kręgach rozsyła w świat. Duch ludzki bowiem podobny jest ruchliwej wodzie, szybko odbiera wrażenia, szybko je też przenosi. Pomiędzy zaś wszystkimi falami uczuć, odnosi się to i do religijnych. Wybiegając z punktu swego powstania rozchodzą się, trącając na swej drodze inne, poruszają takich, co dotychczas z pierwszymi apostołami mieli wspólne tylko człowieczeństwo. Potem te pierwsze, rozbudzone na sadzawce kręgi, owi pierwsi nawróceni wracają do względnego spokoju, a fala idzie dalej, niosąc drżenie pomiędzy hordy w dalekich stronach osiadłych barbarzyńców. Obie te wielkie religie takąsamą rozprzestrzeniały się falą, w kierunkach jeno przeciwnych — chrześcijaństwo dążyło ku zachodowi, buddyzm na wschód. Prozelitom w Małej Azji, Grecji, Italji, odpowiadają prozelici w Indjach wschodnich, Burmie, Tybecie. Uczniowie przewyższali niekiedy mistrzów i liczbą i gorliwością. Jerozolima i Benares ustępują wkońcu miejsca Rzymowi i Lhassie, jako świętym ośrodkom wiary. Lecz ruch trwa wciąż. Papież i Lamowie pozostają tam kędy przodkowie ich założyli biskupstwa, ale fala wiary nie-wstrzymanie przewala się na nich. Zdała od miejsc, w których zrodziły się owe wiary najduje się dziś największą część ich

wyznawców. Taką samą ostoją, jaką zdaje się jednej wyznaczać półkula zachodnia, otrzymała druga na Dalekim Wschodzie. Jak katolicyzm rzymski szuka dziś wzmocnienia dla się w Ameryce, tak buddyzm najzarliwszych wyznawców swych znajduje obecnie w Chinach i Japonji.

Aczkolwiek można powiedzieć, że Japończycy wszyscy są buddystami, nie należy bynajmniej sądzić, aby byli tylko buddystami. W owym czasie, kiedy to przyjęli wielką religję Indji, byli już w posiadaniu swego własnego systemu przesądów, który to system utrzymał się po dziś dzień. Dzięki wpływowi miejscowych archeologów nastąpiło zgalwanizowanie jego pierwotnej siły a to przez wyniesienie do godności religji państwowej. Powierzchnia świętego, odbijającego przyrodą zwierciadła wypolerowana została na nowo. Ów zbiór wierzeń tworzył od czasów niepamiętnych religję narodową. Jej ziemską głową był Mikado, w prostej linii wywodzący się od pierwszych bogów. Przywrócenie świeckiej władzy Mikada\* było pierwszym krokiem do restytucji tego kultu w całej jego potędze; jestto osobliwy przykład odrodzenia religijnego, którego nie należy przypisywać żarliwości wiary, a jeno żarliwości archeologicznej. Kult ten jest dziedzictwem mitologicznem całego półwyspu całej wschodniej Azji od Sjamu aż po Kamczatkę. W Japonji nosi on miano shintoizmu. Wyraz „shinto“ znaczy dosłownie „droga bogów“, a jego znak pismenny stanowi wykładnik ducha tej wiary. Pisma jej bowiem są raczej kronikami żywotów bogów, niż przewodnikami po tej drodze, która samych ludzi wiedzie ku nieśmiertelności. Odpowiednio do tego pielgrzymki są najważniejszym jej rytuałem. W głębi Japonji nie można się nigdzie ruszyć bez napotkania całych zastępów pielgrzymów o ślicznych białych owijkach na nogach i grzybiastych kapeluszach, niemożna nawiedzić żadnej gospody, któraby nie była obwieszona

---

\*) Restauracja władzy cesarskiej po upadku shogonatu Tokugawów 1868 (dop. tłum.).

niezliczonym mnóstwem chorągiewek kompanij pątnicznych (do których wszyscy należą). Być tam pątnikiem znaczy tyle, co u nas być turystą, tylko że tam do sportowej przyjemności pochłaniania kilometrów dołącza się jeszcze poczucie pełnego zasługi postępowania. Celem pobożnych jest często szczyt jakiejś słynnej góry, albowiem szczyty górskie stanowią w religii shinto miejsca osobliwego nabożeństwa i świętości. Daje to może wyraz instynktowej chęci człowieka do wznoszenia się, tak jakby postęпки ciała symbolizowały w jakiś sposób dążenia duszy. Chram na takim wierzchu pobudowany, jest bardzo skromny: z grubsza ociosana chata, najczęściej z jedyneimi, typowymi godłami kultu, zwierciadłem jako symbolem bóstwa oraz wiszącymi „gohaj“, czyli w zygzak powycinanymi skrawkami papieru, będącemi ofiarą wiernych. Co do samej religii to jest ona jedynie ubóstwieniem tych elementów przyrody, które napędzają strachu pierwotnemu człowiekowi lub budzą jego podziw: więc słońca, księżyca, grzmotu, piorunu, wiatru, słowem wszystkiego co widzi, słyszy i czuje a jeno wytłumaczyć sobie nie umie. Przyobleka on te okropności w kształty podobne ludzkim, ponieważ nie jest w stanie wyobrazić sobie nic innego, coby mogło powodować rzeczy niespodziane. Ale straszliwe wywołane przezeń postacie, niemają nic z nim samym wspólnego. Zbyt wielki wzbudzają strach, aby się można było na dążenie za nimi. Droga ich, to „wysoka droga bogów“, ale nie jakóbowa drabina dla lęklivego czelaka.

Dzięki temu pozostawianiu poza ludzką sferą, znosi się shintoizm tak dobrze z buddyzmem, a oba razem złączone z konfucjonizmem stanowią ową szczęśliwą familję wierzeń, która ukazuje nam u religijnych uczuć Dalekiego Wschodu osobliwą zdolność do przystosowywania się. Nietylko, że shintoizm na tak zgodnej stopie żyje sobie z buddyzmem, ale obie nauki znajdują też równocześnie u poszczególnych jednostek bezwzględna wiarę. Miljony Japończyków są zarazem dobrymi buddyistami i dobrymi shintoistami. Że taka kombinacja jest możliwa,

przypisać należy przedewszystkiem różnicy, jaka zachodzi pomiędzy sferami wpływów obu religij: oto działanie jednej odnosi się do zewnętrznej strony duszy ludzkiej, drugiej zaś do jej wnętrza. Shintoizm mówi człowiekowi bardzo jeno niewiele o nim samym oraz o tamtym świecie, buddyzm nic prawie innego, jak o nim i o tem czem stanie się kiedyś. Jeśli będziemy chcieli dociekać, jaką rolę w religii Dalekiego Wschodu gra osobistość, możemy śmiało wykluczyć shintoizm: wpływ jego bowiem w tym kierunku równa się zeru. Jedyne jego działaniem i to pośredniem jest potęgowanie wrodzonej skłonności narodu do uwielbiania przyrody.

W Chinach i Korei, a do pewnego stopnia także i w Japonji, zasadniczym kodeksem etycznym jest konfucjanizm. I nad nim nie będziemy się zatrzymywali, wiadoma bowiem rzecz, że konfucjanizm miał wyłączny i świadomy cel w zaszczerpieniu systemu moralnego, a dalekim był od wypowiedzenia jakiegokolwiek zdania o istocie czy przeznaczeniu duszy ludzkiej.

Trzecia wielka religja Chin, taoizm, zbliża się do shintoizmu o tyle, że tak jak on, jest jeno zbiorem przesądów a nie systematem filozoficznym. Dostarcza tajemnych środków przeciw cierpieniom duchowym, nic wszakże nie mówiąc o konstytucji duszy poddanej leczeniu. Pigulki, których skuteczność jest zapewniona, pacjenci lykać muszą z zamkniętymi oczyma. Dzięki obu wielkim słabościom ludzkim, trwodzi i łatwowiejności, cieszy się ona bardzo rozległą klientelą. Nie posiadając wszelako dyplomu filozoficznego, nie wchodzi również w zakres dzisiejszego naszego badania.

Adoracja demonów w Korei jest swojską odmianą tego samego wierzenia. Odpada tu tylko hierarchja, każdy bowiem człowiek jest tu swoim własnym duchowym doradcą. Koreańczyk sfery pośledniej rodzi się z dziedziczną wiarą w złe duchy, które usiłuje sobie od czasu do czasu zjednywać. Szlachetnie urodzony hołduje wyłącznie duchom swych przodków.

Wykluczając tak jedno po drugim, dochodzimy wkońcu do rozważań nad buddyzmem, wielką filozoficzną religią Dalekiego Wschodu.

W podworcach świątyń japońskich, wśród uroczystego mroku poważnych sosen, widuje się często w jednej wielkiej bryle wykuty, kamienny basen, wypełniony po brzegi wodą. Niema tam nic prócz tych drzew, tego basenu, oraz kilku kamiennych latarni (zwanych tak dla swego kształtu, nie dla zastosowania, tam bowiem gdzie zazwyczaj tkwi knot jest miejsce na kamienne wota). Zaciszny, daleki od wszelkiego zgiełku, nawiedzany przez ludzi z pełną czci bojaźnią, wydaje się ten przedsiónek bogów istotną siedzibą milczenia i spokoju. Mogłaby to być nieledwie sama nirwana, brama, wiodąca człowieka do jakiejś nieśmiertelności podobnej nieśmiertelnemu bóstwu. W środku stoi omszony monolit, trzymający w objęciu małą, uwięzioną sadzawkę. Tak cicha jest ta ustroń i woda tak przezysta, że jedno zdaje się wzajemnem odbiciem drugiego. Głęboko, głęboko w dole dostrzega się skrawek błękitu, jaśniejący tak samo jak i ten w górze, po którym przeciągają sennie obłoki. Bliżej odeń widnieją drzewa o zwieszonych w dół, ciemnych czubach, jakby pragnące pochwycić odbłask swój jeszcze tam, najgłębiej, w tym innym jakimś świetle — a jeszcze bliżej, najbliżej widzi się siebie samego. Dla człowieka Dalekiego Wschodu ta mała sadzawka jest symbolem duszy ludzkiej. Jak dusza niepochwytą jest ta woda, tak czule odbijająca światło, że sama pozostaje niewidzialną, tak przezysta, że zda się złudzeniem. Aczkolwiek wszelki kształt doskonale odzwierciadla, nie wiemy nic o niej samej krom tego, że jest. Nie dostrzegamy jej żadnym ze zmysłów. Ni wzrok, ni słuch, ni nic innego nie mówi nam o jej istnieniu; odczuwamy ją jedynie wrażliwością mięśni, ową cielesną, ślepą analogją tego, co jest uświadomieniem dla duszy. Tak to symbolizuje duszę ta cicha, mała sadzawka, to coś straconego dla rozmyślań, zagastego samo w sobie, będą-

cego jedynie alter ego świata zewnętrznego, wizją przyszłego oczyszczenia duszy.

Nie działanie bowiem ale kontemplacja jest życiowym ideałem Dalekiego Wschodu. Ów stan zeszywnienia podobny temu, do którego nasz system słoneczny zbliża się zwoina na swą zagładę, ów stan wydaje mu się, aczkolwiek bez żadnej naukowej dedukcji, celem wszystkiego bytu. Siedzi więc tak i duma, wszystko tonie dlań w mglistych abstrakcjach, póki nie zniknie i własne jego samopoczucie, a on sam prześlizgnąwszy się bezwładnie przez mroczną furtę Niewiadomego, nie pograży się w wielkie, nieznające różnic nijakich morze nirwany.

Już na pierwszy rzut oka podobny jest buddyzm do chrześcijaństwa, bardziej, niż to zazwyczaj z góry przyjmują tacy, co nie patrzą dalej swego nosa. Jako systemat filozoficzny brzmiałby wprawdzie wielce obco jako religia wszakże uderza niezwykle znajomymi rysami. Istotnie też jedna z religij tych słusznie uchodzić by mogła za odbicie drugiej. Podobieństwo ich zaszkodziło też niepomiernie pierwszym katolickim misjonarzom, jeśli więc szukać wytłumaczenia dla tak rażących analogij. Z mimowolnego zdumienia zrodził się u nich rozmyslny sofizmat. Zewnętrzne cechy były w szczegółach tak ściśle podobne, że pobożni ojcowie niemogli zrazu pozbyć się podejrzenia, że ceremonjał buddystów zwędzony został poprostu z obyczajów prawdziwej wiary. Gdy się jednak przekonali, że niemoże tu być mowy o pośrednictwie ludzkim, wpadli na pomysł, by zwalić tę sprawę na jakiegoś deus ex machina i ubrali w nią diabła. Tem rozwikłaniem trudności zbudowali się sami wiekce i poczęli je niezwłocznie z ogromną dumą obwieszzać krajowcom. „Posiadacie wprawdzie nauczały, pozorne cechy prawdziwej wiary, lecz de facto jesteście nieszczęsnymi ofiarami bezbożnej omamy. Szatan to skradł insygnja bożkie i zjawia się przed wami pod maską bóstwa. Bóg wasz jest w istocie naszym djabłem“. Oto poznanie się na odwrotności naszych antypodów, godne zaiste sprytu jezuickiego.

Nie należy się też może zbytnio dziwić, że tylko znikoma garstka słuchaczy okazała gotowość do nawrócenia. Metoda sugerowania nie była bynajmniej tak dyplomatyczna, jakby się spodziewać należało po tak przebiegłej korporacji. Niemogło to bowiem wielkiej robić różnicy, jak się tam ostatecznie najwyższe bóstwo nazywało, póki dzieła jego były tesame, boć motywy jego działania usuwały się z pod ludzkiej obserwacji. Pozatem, myśl o tem cudzem piekle nie napawała znów tak wielkim strachem, mieli ci przecież Chińczycy i tak dość swych własnych djabłów i zdążyli się z nimi oswoić. Istniała wszakże inna, głębsza przyczyna, dla której chrześcijaństwo tak marne znalazło przyjęcie na Dalekim Wschodzie. Powrócimy jeszcze do tego tematu.

Podobieństwo obu religij nie ogranicza się bynajmniej do zewnętrznych wyłączone cech. Jeśli już one budzą na pierwszy rzut oka dziwne uczucie, znane przeważnie wszystkim, uczucie że się to wszystko już gdzieś kiedyś widziało, to dokładniejsze badanie ukaże nam o wiele głębiej sięgającą zgodność.

Przechodząc zatem od powierzchni do jądra rzeczy zaznać trzeba, że kodeks etyczny obu religij stoi mniej więcej na tynsamym poziomie. Mówię kodeks etyczny, póki bowiem chodzi o praktykę, a nie o to co głoszą kazania, moralność napewno nie w bliższym stoi stosunku do religij, niż do sztuki lub polityki. Przyjrzyjmyż się faktom, jeśli są jakie wątpliwości co do tego. Czy najbardziej religijne narody są zarazem najetyczniejszemi? Nie potrzeba daleko sięgać aby się przekonać, że tak nie jest. Weźmy sobie za przykład owego braku związku, zamiłowanie do prawdy.

Można tu zapytać: „Czy rasy osobliwie religijne były też odpowiednio miłujące prawdę? A jeśli nie, to czy nie działał w rozwoju ludzkości inny jakiś czynnik, przyczyniający się do wzmagania prawdomowności?” Odpowiedź na pierwsze pytanie jest krótka: nie. Tak szczęśliwie i zgodnie kroczących cnót nie sposób dopatrzeć się ani w dzisiejszych czasach, ani nigdzie

w przeszłości. Zostawiając w spokoju wady umartej przeszłości, obaczymy dzisiejszy świat. Widzimy oto, że duch religijny w Azji jest równie silny jak w Europie, a obecnie może nawet i silniejszy. Przeciętny mahometanin, bramanin lub buddysta jest taksamo pobożny, jak przeciętny katolik lub presbyterjanin. Chociaż nie skłania się zbytnio do propagandy, ani trochę jednak mniej nie jest dbały o zbawienie i dobro własnej duszy. A przecież na całym Wschodzie prawdomówność jest rzeczą nieznaną, jakoże kłamstwa z grzeczności są tam de rigneur, a kłamstwa dla przyzwoitości de raison, podczas gdy u nas' na szczęście kłamliwość na ogół nie cieszy się kredytem. Ale nie trzeba i tak daleko szukać przykładów. Tego samego dowieść można i w mniej antypodycznych stosunkach. Czy najmniej religijne narody europejskie zasługiwały kiedy na mniejszą wiarę, niż narody bigotów? Odnaczałaż się może fanatyczna Hiszpanja wyjątkową prawdomównością? Czyż szlachetny Loyola nie zapraszał szczerych przekonani na łożo męczarni? A dostojni obywatele przezeń prześladowani, ceniliż sobie oni może prawdę tak wysoko? Albo, zacieśniając przykłady jeszcze bardziej i ograniczając się do własnych naszych doświadczeń, czy najreligijniejsze indywidua są dla nas może również najbardziej wiarygodnymi? Z pewnością nie.

Przejdźmy do punktu drugiego. Czy uwidocznili się na Zachodzie wpływ jakiś, któryby nas w tej mierze odróżnił od Dalekiego Wschodu? Tak. Dwie różne przyczyny złożyły się tu na tensam rezultat. Jedna z nich to rozwój nauk przyrodniczych, druga, rozrost handlu. Ponieważ celem wiedzy jest odkrywanie prawdy, mówienie zatem prawdy jest koniecznym warunkiem jej istnienia. Mężę nauki muszą więc zawodowo już być wiarygodnymi.

Póki wiedza ograniczała się do izby uczonych, wpływ jej na ludzkość był na ogół pośredni i mierny. Ale odkąd ruszyła na publiczne drogi i zmuszoną została sama zarabiać na życie, ujawnił się prawdziwy jej charakter. Kiedy z jej teoryj zrodziły

się odkrycia i wynalazki, dokonywające przewrotów życia powszedniego i zmieniające dotychczasowe postaci rzeczy, społeczeństwo mimowoli przejęło się jej duchem. Ludzie pojmować zaczęli nieocenione znaczenie ścisłości. Sączył się ten duch od zawodowych uczonych wychodzący, w dół, przenikając wszystkie warstwy, tak, że dziś przeciętny człowiek rodzi się już ze zmysłem akuratności w stopniu, o jakim się przodkom jego ani śniło. Można przyjąć dzisiaj za regułę: im inteligentniejsza jednostka, tem bardziej prawdomowna, tem większa bowiem wrodzona jej ścisłość myślenia przebijając też musi zarówno w słowach jak i w działaniach. U nas kłamstwo uważane jest za przejaw raczej niedostatku, niż nadmiaru rozumu.

Druga przyczyna, rozrost handlu, zaszczerpiła człowiekowi respekt dla prawdomowności, metodą pokazywania mu w perspektywie worka z pieniędzmi. Albowiem ze wzmaganiem się transakcyj handlowych, zarówno w czasie jak w przestrzeni, mówienie prawdy stało się koniecznością natury finansowej. Bez niego byłby nastąpił natychmiastowy zastój w handlu. Cały nasz system merkantylny, ten nowoczesny mechanizm, który nieznan był Dalekiemu Wschodowi, pókiśmy go doń nie ponieśli, opiera się na bezwzględnej ufności w słowo sąsiada. Wszystkie nasze środki prawno-ochronne rozleciały się w proch, niby zmurzałe pieczęcie, gdyby się zerwało przypadkiem wielkie ogniwo wzajemnego zaufania. Cywilizacja Zachodu musi być prawdomowną lub upaść.

A teraz wróćmy do ducha obu religij

Dusza każdej religij odpowiada w pewnym względzie brahmanistycznemu przedstawieniu indywidualnej duszy człowieka, wedle którego składa się ona nakształt cebuli, z całego szeregu współśrodkowo na sobie ułożonych łupin. Człowiek, powiada bramanizm, to nie jedno jedyne ciało, lecz wiele cielesnych warstw, otaczających niejako jedna drugą. Najzewnątrzniejsza z nich jest dopiero tem ciałem materjalnem, z którego bezpośrednio zdajemy sobie sprawę. Stanowi ono powłokę in-

nego ciała, bardziej uduchowionego, nie całkiem wszakże jeszcze wolnego od powinowactwa z ziemią, to zaś kryje w sobie zrów inne, jeszcze subtelniejsze i tak dalej, aż wkońcu ostatnie, najwewnętrzniejsze, jest tem czemś niematerialnem, co według nich stanowi duszę. Ta ostateczna pozostałość uzmysławia scholastyczne pojęcie praszubstancji, jestto bowiem coś pozbawionego najzupełniej wszelkich własności.

My sami niewiemy może nic ani o takim skomplikowanym systemie pokrowców dokoła najgłębszej taini naszego serca, ani o czemś tak nieosreślonym w jej wnętrzu, ale najpowierzchniejszy rzut oka na którąkolwiek religję przekona nas o prawdziwości tego przedstawienia w odniesieniu do duszy każdej z nich. Zewnątrznie uwyraźnia się to w budowlach wzniesionych ku jej kultowi. Nie tylko u Żydów trzymano za zasłonę najświętszy przybytek, ażeby przyćmić boski jego blask przed pełnemi bojaźni oczyma gawiedzi. A także u nas na Zachodzie, balaski przed chrześcijańskim ołtarzem nie są jedynym szczątkiem owego odgraniczenia z dawnych czasów. Na Dalekim Wschodzie, kędy ta izolacja stanowi nieodzowny atrybut świętego miejsca, jeszcze bardziej jest ono niedostępne. Podworzec za podworcem, budynek za budynkiem strzeże sanktuarjum od profanującej poufłości przechodniów. Te fizycznej natury obsłonki różnią się pomiędzy sobą zarówno ilościowo, jak jakościowo, odpowiednio do różnic temperamentów i ras. Natomiast duchowe obsłonki, te istnieją u religij obu półkul w jedynakim stopniu, istnieć zaś muszą dopóki ludzie podobni będą tej ziemskiej skorupie służącej im za mieszkanie, skorupie, składającej się z mnóstwa warstw i pokładów, tem gęściejszych im głębiej położonych. Tosamo co dla stojącego na wyżynie jest jasne i przejrzyste, tym co w dole pozostali wydaje się ciemnem i niezrozumiałem. Co dla jednych stanowi ważny argument, nie wywiera na innych żadnego wpływu. Religie indywidualne muszą też naturalnie posiadać stopniowania, odpowiadające potrzebom i pragnieniom indywidualnych dusz. We wierzeniach, któ-

remi zadawalnia się człowiek płytki, odkrywa człowiek głęboki żalosną jeno próżnię. Nic tu niema do rzeczy, jak się wiara jakaś poczyną; skazana jest zawsze na zróżnicowanie. Jedynie wyższe umysły zadowolnić się mogą abstrakcyjnymi przedstawieniami fantazji. Wszystkim innym potrzebna jest konkretna rzeczywistość, aby na niej oparły swą wiarę. I u nich też ideały przeobrażają się niechybnie w bożyszczą. Wszystkie religie uległy temu upadkowi, na który niema rady. Rzymski katolik modlący się do drewnianego wizerunku Chrystusa, nie jest ani trochę mniej bałwochwalcą od buddysty, składającego cześć bronzowemu posągowi Amida Butsu. To co prosty lud potrafi rozpoznać, to tylko powłoka duszy, samej bowiem duszy nie złożeń jest pojąć. Będąc ślepym w dziedzinie wyobraźni, nie umie też rozróżnić ducha.

Te grubsze powłoki duchowe obu wielkich religij odbiegają wprawdzie od siebie w szczegółach, ale ogólne ich struktury nakrywają się doskonale. Jedna i druga chlubi się kompletną kolekcją świętych, której katalogi są długością swoją męczące. Obie jednak gorliwie przebierają paciorki swych różańców, pomocnych w odliczaniu jednako nieskończonych paciery. U obu bowiem, wedle oceny ludu, ilość tych paciery ważniejsza jest od jakości. Wyznawcy jednej i drugiej myślą o niebie, jako o dostępnem wyłącznie dla siebie, podczas gdy ci, co pochlebnią sobie, że napewno ujdą piekieł, wymalowują je dla drugich w barwach przynoszących jednaki zaszczyt religijnej fantazji obu. Tak w Azji, jak w Europie z jednakim, pełnym miłości zapałem, składa człek pobożny drobne swe wota na łonie matki Kościoła. Zarówno też w Azji, jak w Europie ofiarne grosze wielu wspierają jej potęgę.

Za tem wszystkim stoi religja mniejszości, religja tych, którym zmysłowe ucieleśnienia niemogą wystarczyć do zaspokojenia potrzeb nadzmysłowych, dla których Bóg jest czemś więcej niż tworem antropomorficznym, którzy pojmują wiarę nie jako spętanie jeno ciała, ale jako ekspansję duszy.

Podobnie, jak ze słońca, które było zda się przedmiotem najpierwotniejszego ubóstwienia dla ludzkości, promieniają z prawdy dwie różne, właściwe jej siły: ciepło i światło. I jak obie te słoneczne właściwości niezbędne są do życia wszelkiemu stworzeniu, taksamo i tamte, promieniające z prawdy, żywotny mają wpływ na rozwój tego, co składa się na naszą Jaźń. Mówimy nieraz o charakterze, jak o czemś zupełnie odrębnem od umysłu. W rzeczywistości przecież jednak są one tak z sobą związane, że rozpoznanie właściwej drogi jest równocześnie najpotężniejszym bodźcem do skierowania się na nią. W gruncie rzeczy oba są jednym i temsamem. Jestże więc jasność umysłu rzeczą pierwszorzędną wagi, nie mniejsze znaczenie posiada dobroć serca. Pierwsza jest może ważniejszą w stosunku do siebie samego, druga zaś w odnoszeniu się naszym do innych. Tym ciemnym i przenikliwym ciałom, jakimi jesteśmy, dano jest daleko skuteczniej wypromieniowywać miłość, niż odzwierciedlać poglądy. Zbyteczna zaznaczać, że chrześcijaństwo jest religią miłości, to wszakże buddyzm jest nią we wcale nie mniejszym stopniu, nie cieszy się może tylko tak powszechnym rozgłosem. Połowa nauk buddyjskich idzie w kierunku zaszczepiania miłosierdzia. Nie człowiekowi wyłącznie okazywać wimien człowiek serce, ale także wszelkiemu zwierzęciu. Naród zaś postępuje wedle tego, co głoszą pisma. Skutki zauważyć się dają taksamo prawie wyraźnie i na stanie zwierząt bezpośrednio i na charakterze ludzkim. Buddyzm i chrześcijaństwo, w głębi serc przynajmniej, są sobie bardzo blisko pokrewne.

Tam jednak gdzie kończy się ziemski byt, rozchodzą się ich ścieżki. Dotąd jednakie są obie religie, od tego zaś punktu różnią się między sobą całkowicie, do tego stopnia, że dotychczasowa zgodność czyni teraz każdą z nich negatywem drugiej, coś niby sylwetką posiadającą wprawdzie kontur, lecz wewnątrz niego wielką pustkę. Formy obu wierzeń pokrewne są sobie o ile chodzi o stosunek do bliźnich, lecz tam gdzie odnoszą się do własnego Ja, są tak odległe, jak Zachód od Wschodu. Tu-

taj, przy tem pojęciu ja, stajemy nagle na skraju zawrotnej przepaści i patrzymy w otchłań niezmierną, która oddziela buddyzm od chrześcijaństwa. Nie sposób dostrzec dna tej otchłani. Rozłącza ona, rozdziela bardziej niż śmierć, jest nieuchronnem, niechcymem zatraceniem. By ją przekroczyć, musiałbyś wpierv pogrzebać w jej głębiach wszystko, co ci jest znane jako ty sam.

Chrześcijaństwo jest religią osobową, buddyzm nieosobową. W tej zasadniczej różnicy tkwi biegunowe ich przeciwieństwo. Chrześcijaństwo każe nam iść ku doskonałości aby się po wiek wieków tym udoskonalonym sobą radować; buddyzm chce byśmy się doskonalili, aby na zawsze zbyć pęt świadomości siebie.

Chrześcijaństwo, aczkolwiek głosi, że człowiek rodzi się w złem, jest wszakże ewangelją optymizmu. Twierdząc, że się jest grzesznym, zapewnia równocześnie, że to zło nie stanowi nieodłącznego składnika ludzkiej natury, że jest ono właściwie obce prawdziwej naszej istocie, ba, że nawet i ciało samo w mniej lub więcej duchowej postaci żyć będzie: zaczepny punkt chrześcijaństwa to „Ego“. Nakazy, które wydaje tyczą się doczesnego postępowania, oświeconego widokiem przyszłej szczęśliwości. Przyjmuje milcząco, iż pożądanem jest trwanie indywidualnego bytu i przyobiecuje napewno osobistą nieśmiertelność — ku trwodze złych, ku podniosłej radości wszystkich sprawiedliwych w przeczuciu przyszłego, niezamąconego błogostanu. Nauki jego przesiąknięte są na wskroś poczuciem wartości życia, przemawia z nich owo wiekuiste pragnienie, owa tęsknota duszy bijącej skrzydłami o kraty ziemskiego więzienia, owo pożądanie ekspansji poza granice skąpego okresu siedemdziesięciu lat.

Buddyzm natomiast jest rozdzierającym krzykiem pesymizmu. Żywot ten, powiada on, to jedno pasmo cierpień. Mnożyć dni, to tylko mnożyć zło. Życzenia, które nas przepędzają są w istocie przyczyną wszystkich naszych boleści. Mniemamy, że one, to my sami. Mylimy się wszakże, są one jeno władzą, a my to ofiary fatamorgany. Owa osobistość, owo samopoczucie

cie jest okrutną matnią i omanieniem. Dopiero wówczas skoro poza tem wszystkim rozpoznasz prawdziwą duszę, wolną od wszelkich własności, a więc i od cierpienia, jako nieoddzielną częśćką wielkiej, bezosobowej duszy wszechświata, dopiero wówczas, i tylko wówczas, najdziesz szczęście w błogosławionym spokoju nirwany.

Jest to pewnego rodzaju poetycka sprawiedliwość, iż przy urodzinach tej wiary obecnem było i cierpienie i bezosobowość. Wielu ludzi znękanych brzemieniem własnych nieszczęść, uciekało się do pociech religijnych. Gotama zwrócił się ku nim przejęty cierpieniem cudzem, dostrzegłszy je przypadkiem, na pełnej szczęścia drodze swego żywota. Wstrząśnięty do głębi widokiem kalectwa ludzkiego, starości i śmierci, smutnych rzeczy, które dotąd zdala odeń trzymano, wyrzekł się świata, aby rozmyślać nad sposobem umknięcia przed cierpieniem. Szczęście jednak, tak jak on je pojmował, nie leżało w pragnieniu, żeby być czemś, czem się nie jest, a jeno w pragnieniu by *nie być wcale*. Celem ludzkości było u niego uwolnienie od cierpienia, a nie czynna radość życia. To negatywne zapatrywanie na istotę szczęścia zgadzało się najzupełniej z duchem jego świata. Głoszona już bowiem była nauka pesymizmu, opierała się na niej cała bramańska filozofja i każdy bezwzględnie w nią wierzył. Wschód patrzył na życie jako na zło i wyznawał, że pożądanyszem niż byt, jest zagaśnięcie indywidualnego ducha. Pragnienie końca dla samowiedzy, nadzieja ostatecznego rozplynięcia się w nic, był to dla Gotamy dogmat taki sam, jak dla bramanów. Głosił on wszakże, że droga, którą wskazywali bramani dla osiągnięcia tego pożądanego stanu bezosobowości była błędna. Droga ich, prawit, nie doprowadzi wędrowca do celu, fałszywie się bowiem poczyna i nigdzie nie kończy. Właściwa droga leży we wnętrzu ludzkim. Człowiek winien jeno poznać prawdę, a gdy ją pozna, ujrzy jasno swój cel i wiodący doń szlak. Niemasz nijakiego świeckiego lekarstwa na ludzkie cierpienie. Obłędem jest stosowane przez bramanów homeopatyczne

leczenie grzechu. Zarzynanie ludzi i wołów niemoże duszy dawać życia. Rażąca oczy niedorzecznością jest biczowanie ciała za jego grzechy. Jedynie bowiem z pragnień i żądz rodzi się zło. Stłum w sobie życzenie, a uczynki zamrą same z niemocy. Człowiek sam jest wyłączną przyczyną własnej nędzy. Zbądź zatem, mówi Buddha, namiętności i dążeń twego Ja, co prawdziwą duszę niewolą. Tyczą się one tylko tych rzeczy, których ulotność dobrze nam jest znana — jakżeby więc mogły być nieśmiertelne? Widzimy je poddane mi naszej woli, nijak one zatem nie są naszą duszą, naszym prawdziwym Ja.

Uczył Buddha: Kiedy człowiek uświadomi sobie, że jego Ja jest czemś różnem od jego ciała, dojdzie również przez skupianie i kontemplację do poznania, że ambicje jego i jego żądze i nadzieje tak samo obce są właściwej jego duszy. Ani serce, ani głowa nie stanowią istoty człowieka, mamy bowiem świadomość czegoś, co jest poza niemi. Poza pragnieniem, poza wolą nawet stoi dusza, dusza, będąca dla wszystkich ludzi jednością z duszą wszechświata. Dostąpi li człowiek tej prawdy, wstępuje w nirwanę. Nirwana bowiem to nie rozplynięcie się indywidualnej duszy w duszy wszech rzeczy, ta pierwsza stanowi raczej odwieczny składnik drugiej. Niemniej też nie jest nirwana zupełnem zatraceniem. Jest poprościu doskonałem poznaniem ich odwiecznej jedności, wstecz poprzez nieskończoną przeszłość, i naprzód przez przyszłość nieskończoną.

Taką jest wiara, którą przyjęli Japończycy i którą dotychczas wyznają. Świt odrodzenia pośmiertnego to dla nich błoga, bezosobowa nieśmiertelność, w której znajdują koniec wszelkie złudzenia samowiedzy, — wieczysty sen bez marzeń, szczęście spokoju, którego nigdy nie zamąci przebudzenie.

U takiego ludu osobowe chrześcijaństwo niewiele mogło wskórać. Przyjmują tam chętnie materialną naszą cywilizację, odrzucają wszelako nasze dogmaty. Prawić im o przedłużeniu życia, to prawić o przedłużeniu cierpień. Chrześcijaństwu udaje się conajwyżej zrobić z nich niedowiarków w to, co leży poza

życiem. Ale i tacy, co za życia uprawiają bezwyznaniowość, padają skoro śmierć się zbliży w objęcia tej wiary co mówi: „Jakakolwiek przypadłaby nam miara doczesnej szczęśliwości, lepiej byłoby wcale nie być”.

Z początku dziwnie nas to uderza, że narody, które tak długo pozierały ku wschodzącemu słońcu jako ku swemu natchnieniu, one właśnie zaskrzepliły w jakimś letargu życiowym, podczas gdy w tych, co od wieków patrzą na gasnące blaski zachodu, ucieleśnia się duch postępu świata. Może światło właśnie przez swoje wznoszenie się odbiera odwagę do ścigania go, a chyląc się i niknąc budzi nieodpartą pokusę, by dążyć za niem.

Nie jest li religja bezosobowości wytworem tych narodów, to przecież wybrały ją sobie same. Przyjęły ją też z kwiecytymem, którego się już na wieki przedtem nauczyły od Indji. A choć dzisiaj równie są skore do uczenia się od nas, to przecież chrześcijaństwo w żaden sposób niemoże sobie ich zjednać. Nie w tem leży przyczyna, że w przeciwieństwie do buddyjskich misjonarzy, którzy przybyli ongiś na zaproszenie, misjonarze nasi zjawili się nieproszeni. Nie winien temu również jakiś brak charakteru osobistego u naszych apostołów, raczej poprostu za-wiele go jest w ich nauce.

Daleki Wschód jest dziś o wiele bardziej jeszcze bezosobowy, niż ci, od których religja ta wyrosła. Indje wróciły z powrotem do kultu Bramy, który to kult, aczkolwiek sam już dość bezosobowy, nie idzie przecież w paragon z ewangelią Gotamy. Obserwuje bowiem jedynie bierną, a nie czynną bezosobowość.

Buddyzm stoi do bramanizmu w takim mniej więcej stosunku, jak protestantyzm do rzymskiego kościoła. Biskupi i bramani pracują zarówno gorliwie nad zbawieniem swych owieczek poddających się ślepo fachowemu ich kierownictwu; buddysta oraz protestant wierzy, że zbawienie duszy osiągnąć można tylko przez własne czynne starania. Skutek jest ten, że w kwestji indy-

individualności oba zreformowane wyznania daleko znacznie odbiegają od siebie niż te, przeciw którym protestują. Bo z biegiem czasu i rozwoju osobowość stała się bardziej jeszcze osobista, a bezosobowość bardziej nieosobowa, niż były pierwotnie. Protestant, który przez czas jakiś powolnie dawał sobą kierować, zajął się oto żywo sam swoim rozwojem, buddysta po długim okresie apatii, począł nagle usilnie do nauki głoszącej ogólną iluzję dołączając starania, wykorzeniające własną odrębność. Oto szczególne zadanie dla ducha, całą swoją władzę skupiać w kierunku wyrzucenia siebie samego poza obręb bytu myślowego. Nie zadowolając się urodzoną bezosobowością, dąży człowiek Dalekiego Wschodu niestrudzenie do uczynienia się jeszcze nieosobowszym.

Tak więc w usiłowaniach naszych, aby zrozumieć tych ludzi, spotkaliśmy się oko w oko z bezosobowością we wszystkich trzech przejawach duszy: w mowie, myśleniu i pragnieniach. Oglądaliśmy ich najpierw ze stanowiska socjalnego. Widzieliśmy tu jak dziwnie znikomą uwagę poświęcają osobnikowi od urodzenia jego aż do śmierci, jak osobnik ów cały swój żywot pędzi w niewoli obyczajów patryarchalnych o wyglądzie tak dziecinnym, że dla dojrzałego narodu niemożliwym jest wprost wmyśleć się w to położenie. Widzieliśmy ów sumaryczny system adopcji, któryby sam już wystarczył do wykorzenia jakichś szczątkowych względów dla indywidualium, wyniesionych może jeszcze cało ze stosunków w innych dziedzinach życia społecznego. Widzieliśmy w codziennem życiu minimalną troskę o polepszenie własnego bytu, a za to maksimum uprzejmości i względów dla innych. Widzieliśmy słowem, że osobnik Dalekiego Wschodu obchodzi się z sobą samym, o ile możności tak, jakby był kimś drugim, z kimś drugim zaś tak, jakby to był on sam.

Nie poprzestając na zatrzymaniu się niby obcy u proga, zajrzeliśmy do wnętrza, usiłując pochwycić duszę ich cywilizacji w jej najgłębszych przejawach. Zrobiliśmy, że tak powiem krok w głąb ich mieszkania. I oto tenże sam rys zauważony

na polu socjologicznym, zaznacza się i potwierdza na polu psychologii. Przypatrzyliśmy się nieosobowości mowy, tego najdonioślejszego pośrednika pomiędzy jedną a drugą duszą; nieosobowości rozmowy tej duszy z samą sobą; milczącej sympatii człowieka do przyrody, tej sympatii, która należałaby się bliźniemu; widzieliśmy wreszcie jak przy budowaniu gmachów przyszłości, najgorętszym pragnieniem tego człowieka jest stać się nierozróżnioną cząstką letnich obłoków i jak one rozwiać się niewidzialnie w gwiazdzistej ciszy niezmiernych przestworów.

O czymże nam mówi ta dziwna bezosobowość? Dlaczego narody te tak całkowicie różnią się od nas w tym najważniejszym względzie, w patrzeniu na samych siebie? Odpowiedź na to doprowadzi nas do kilku zajmujących konkluzyj.

## WYOBRAŹNIA

Odyby ziemia w obiegu swoim zwrócona była na podobieństwo księżyca zawsze jedną stroną do wewnątrz, nie dziwiła by nas wówczas ogromna różnica pomiędzy światem myślowym jednej półkuli, poglądującej stale ku słońcu, i drugiej nurzającej się w gwiazdzistej nocy, różnica która w istocie zachodzi pomiędzy nami a naszymi antypodami. Nasza bowiem koncepcja wszechświata jest żywotna i pochodzenia słonecznego, podczas gdy ich nirwana znajduje swój wyraz w niemej, zimnej niezgłębioności północnego nieba. A to, że różnicy tej nie da się wytłómaczyć lokalnem zabarwieniem, czyni ją jeszcze ciekawszą z punktu widzenia ludzkiego. Niema mowy o wyłącznym wpływie otoczenia na odmienność ducha zachodniego od ducha Dalekiego Wschodu. Widzimy z niej jak ważną rolę odgrywa zasada indywidualności w wielkim dramacie, toczącym się codziennie w naszych oczach, który zwiemy ewolucją. Wynika z niej wniosek, który postaram się udowodnić, że indywidualność ducha stoi w tymsamym stosunku do rozwoju, jak różniczkowanie gatunków do ewolucji życia organicznego: że mianowicie w wiel-

kim ruchu umysłowym świata każdy naród zakresła sobie sam stanowisko przez stopień swego zindywidualizowania. Wszelkie życie, organiczne czy nieorganiczne, polega, jak wiadomo na przechodzeniu ze stanu prostej jednorodności do stanu złożonej różnorodności. Ten sam proces rozgrywa się zarówno u jakiejś mgławicy, jak u jakiegoś ramienionoga, aczkolwiek u tego drugiego w o wiele więcej skomplikowany sposób. Bezpośrednią siłę wywołującą te zmiany, zasadę życia stanowi w wypadku bytu organicznego nieuchwytnie coś, zwane przez nas spontanicznem przeobrażeniem. Czem jest pęd tajemniczy, tego dzisiejszy stan naszego poznania nieumie określić. Ostateczna przyczyna graży się jeszcze w tajniach Wielkiego Niewiadomego. Tak jednak określać możemy, które organa są żywotne, aczkolwiek nieznana nam jest sama iskra życia, taksamo możemy mówić kędy leży siła naszych wielkich kosmicznych praw, aczkolwiek nie wiemy, czem są w istocie. Czy to duch jest subtelniejszą formą materji, czy, co na jedno wychodzi, materja stanowi pośledniejszy rodzaj ducha, czy też, co brzmi mniej prawdopodobnie, duch jest czemś zupełnie odrębnem od substancji, to pewne, że obojgiem rządzi to samo prawo dziedziczności. U obojga ciągnie się od tężniejszości w pomrok dawno minionych czasów nieprzerwany łańcuch następstw, za którym dowoli, fantazję naszą posyłać możemy. Czem więc dla materialnego organizmu jest spontaniczne przeobrażenie tem dla duchowego jest wyobraźnia. Jak spontaniczne przeobrażanie pobudza nieustannie zwierzę, lub roślinę do rozwijania się we wszelkich możliwych kierunkach, podczas gdy naturalne warunki równie nieustannie stanowią tu pewnego rodzaju bezwiedną siłę szczepiającą, podobnie siła wyobraźni pracuje nad rozplómiowaniem i popędzaniem ducha ludzkiego, podczas gdy uczucie powszechności zwane zazwyczaj „sensem“, — przez co rozumie się po prostu punkt osiągnięty w danej chwili przez przeciętność, — przyczynia się nieustannie do utrzymywania go na obecnym jego poziomie. Otoczenie stanowi czynnik rozwoju tak w pierwszym, jak i w drugim przypadku.

W pierwszym czysto fizyczny, w drugim natomiast fizyczny i psychiczny zarazem, jako że oba wzajemnie na siebie wpływają. W obu jednak przypadkach jest ono tylko zewnętrznym bodźcem, nie zaś samą iskrą bożą.

Jak w organizmie duch ten zatamowany w jednym kierunku, szuka sobie innego wyjścia dla ekspansji i wywołuje w ten sposób stopniowe wyodrębniania się odmian jednorodnej pierwotnie grupy ciał, odmian, mnożących się z czasem coraz liczniej, podobnie w ewolucji umysłowej, taka sama siła, z tych samych powodów sprowadza niechybnie coraz wybitniejsze zindywidualizowanie.

Jakież mamy dowody na słuszność tej analogii? Przypatrzmy się faktom, tak jak się nam one subiektywnie przedstawiają. Instykt samozachowawczy, ów anioł opiekuńczy, który zjawia się bezwzględnie, gdy tylko zajdzie potrzeba, zawdzięcza swoje wezwanie innemu, niemniej potężnemu instyktowi, który nazwać możemy instynktem indywidualności. Z tym samym bowiem zawziętym uporem, z którym trzymamy się wszyscy razem życia, trzymamy się również pojęcia naszej tożsamości. To że sobie tyle trudu zadajemy, aby ująć zagładzie, nie wypływa bynajmniej z filozoficznego życzenia zachowania małej części ogółu ludzkości. Jest to raczej bezwiedne jakieś przekonanie, iż śmierć grozi poważnie dalszemu trwaniu naszej jaźni i to mimo wszystkich teoryj przyszłego życia, któreśmy tak bystro wymędrkowali. W istocie więc psychiczna zgroza jest głównym składnikiem naszego fizycznego lęku. Czepiamy się abstrakcyjnej idei jeszcze bardziej, niż jej konkretnego wcielenia. Poświęcilibyśmy raczej nasze całe ziemskie bytowanie, niż to, co nam jest znane, jako nasze ja. Możemy sobie wyobrazić, że śmierć byłaby nam w pewnych określonych okolicznościach pożądaną, ale niemożemy sobie absolutnie pomyśleć zamienienia się z kimś innym na indywiduum, nie mówiąc już całkiem o zupełnem pozbyciu się go. Stopniowo, z nadchodzącą starością zaczyna się ciało swoje uważać w gruncie rzeczy za coś odłączalnego od

nas samych. Jest ono niezbędną powłoką dla duszy, powłoką którą nam dały, rzecz można, klimatyczne warunki naszego doczesnego istnienia, i bez której nie moglibyśmy tutaj żyć. Zbycie tej powłoki, o ile nam dotąd wiadomo, nie wyklucza wcale możliwości życia gdzieindziej. Jakiś inny planeta byłby może odpowiednim mieszkaniem tego wędrującego, obnażonego ducha. Lecz wziąć rozbrat z poczuciem siebie samego, to pożegnać na wieki swą duszę. Człowieka z Zachodu przeraża już sama myśl o czemś takim.

To trzymanie się oburącz własnej tożsamości, czemkolwiek by ono nie było pierwotnie, stało się dziś instynktem. Jest czemś odziedziczonym po przodkach i czemś co w mniej lub więcej zmienionej postaci przekażemy naszym potomkom. Historia nie jest w stanie pouczyć nas jak daleko w przeszłość sięga poczucie identyczności, źródła jego bowiem gubią się w alegoriach. Biblia, jedna z najstarszych pisanych kronik świata, zaczyna się mitologicznym ustępem o wiele znaczącej treści. Żydzi, upatrując początek swego drzewa szczepowego w sielankowym ogrodzie Edenu, wspominają o innym, obok drzewa rosnącym drzewie, drzewie Poznania. Jakiego rodzaju było to poznanie, widać jasno z nagłego zjawienia się samopoczucia po skosztowaniu owoców owego drzewa, wolno nam zatem liczne wybujalności naszej dzisiejszej, chorobliwej jaźni przypisać wprost nieposkromionej ciekawości Ewy. Nie wdając się w nierycerskie refleksje, możemy z tego wyciągnąć pewne moralne wnioski. Przedewszystkiem jestto bardzo zbawienna przestroga przed podziwianiem się w lustrze, a następnie, uderzający przykład mytu, który nie jest mytem słonecznym. Odnosi on się bowiem wyraźnie do człowieka, jest próbą wytłumaczenia owej wysoce osobliwej właściwości naszej konstytucji, wszystko przenikającego uczucia osobowego. Możliwe przypuszczać, że człowiek pierwotny nie był zbytnio dumny ze swojej osobistości, skoro pierwsze przekleństwo związało z samopoznaniem. Nie życie od-czuwał on boleśnie, ale nieuniknioną troskę o chleb codzienny,

boć zagadnienie, czy życie warte jest zachodu, było wówczas równie jałowe jak dziś, a równie nie do pomyślenia jak przeszeń czterowymiarowa.

Jesteśmy zatem świadomi indywidualności, jako siły mającej siedlisko w naszym wnętrzu. Lecz wiadomości nasze nie kończą się na tem: zdajemy sobie bowiem równie dobrze sprawę z obecności jej i u innych.

Niektórym ludziom właściwy jest fluid jakiś, którego wpływowi nie może ująć nikt wchodzący z nimi w styczność. Jest to siła tak nie do określenia, że uchylamy się przed jej definicją, nazywając ją poprostu osobistością człowieka. Działa ona nie przez wzbudzone refleksje, lecz całkiem bezpośrednio. Odczuwamy ją. Niekiedy zachwyca nas, niekiedy odraża. Ale niemniej jak przed temperaturą powietrza ująć przed nią nie możemy. Wystarczy, aby właściciel jej wszedł do pokoju, aby nam się obecność jego natychmiast narzuciła. Jest tak jakbyśmy nagle wciągnięci zostali w obwód jakiejś magnetycznej siły.

Z drugiej strony, są też ludzie, którzy żadnego wpływu na nas nie wywierają. Ich zbliżanie się czy odchodzenie, jest nam zupełnie obojętne. Są psychicznie tak niepozorni jakby stanowili jakiś domowy sprzęt. Moglibyśmy z nimi i pięćdziesiąt lat razem przeżyć, nie będąc w stanie, o ile chodzi o ich wpływ na nas, powiedzieć czy wogóle są, czy ich nie ma. Przypominają taki bezbarwny, nijaki strój, który przywdziewają pewne sekty wyznaniowe, aby okazywać swą obojętność dla całego świata. Mogą to być zresztą ludzie bardzo mili, niemają wszakże zdolności do wywierania najmniejszego wrażenia, w przeciwieństwie do tamtych pierwszych. Mówimy, że to przeciwieństwo polega na osobistości, względnie braku osobistości. W czemże więc tkwi ta tak zwana osobistość? Przecież nie w samej ujmującej powierzchowności, boć i tacy, którym brak tej zalety, mają w sobie ową dziwną siłę; nie w samym też miłym charakterze, nieraz bowiem ganimy czyjś charakter, którego wpływowi niepodobna nam się oprzeć; nie w samej wreszcie inteligencji, często o wiele

mądrzejszym ludziom nie udaje się tak nas oczarować, jak tamtym udaje się to bezwiednie. W czymże zatem? Oto w samym życiu. Nie w tem minimum jego, niezbędnem do utrzymania maszyny w ruchu, lecz w zasadzie żywotności, w owej sile, która wywołuje zmiany psychiczne, która sprawia, że dane indywiduum różni się od wszystkich innych indywiduów, że jest istotą wystarczającą właściwie samej sobie, słowem w tem co objawia się jako indywidualność. Nie jest to bynajmniej hipoteza, indywidualność bowiem jest faktem obiektywnym, dającym się badać ze stanowiska wiedzy przyrodniczej. A ponieważ obecnie więcej wiemy o faktach naturalnych, niż o problemach psychologicznych, szybciej też na tej drodze znajdziemy rozwiązanie.

Indywidualność, osobistość oraz samowiedza, to tylko na trzy różne strony obracana jedna i ta sama rzecz, trzy różne widoki duszy, odpowiadające wewnętrznemu, altruistycznemu oraz egoistycznemu punktowi widzenia. Przez indywidualność bowiem nie rozumie się wcale cząstki ogólnej duszy wszechświata odosobnionej w ciele. Jeśli chodzi o ducha, toć by to nie było wogóle żadną indywidualnością, ale czemś wręcz przeciwnem. Przez indywidualność rozumiemy ową wiązaną pojęć, myśli i marzeń, które składają się na naszą odrębność sprawiającą, że każdy czuje się swojsko w głębi siebie. Pod względem rozwoju ducha podlega człowiek prawu coraz silniejszego zróżniczkowania ze swym bliźnim. Trudno sobie wyobrazić rozwój tak jednostajny, by nie spowodował zróżniczkowania. Sprzeczne by to było ze wszystkim, co wiemy o prawach natury, nie mówiąc już o sprzeczności z codziennym doświadczeniem. Każde bowiem następne pokolenie dostarcza w tym względzie dowodów. Dzieci nigdy nie są takiesame, jak ich rodzice lub rodzeństwo, a często znacznie się od nich różnią. Mówimy w takich wypadkach o recedynie typu. Jestto wschłodzenie zasiewu, którego początki kielkowania łączą się w jakiś sposób z pierwotnym początkiem rzezy. Kielęk wypuszcza niekiedy korzenie, niekiedy nie, zależnie

od podłoża, na jakim się znaleźli. I to, że pewne kielki się przyjmują i rozwijają a pewne nie, jest powodem, że jeden człowiek różni się wielce od drugiego. Takie nieuchronne zróżnicowanie sprawia ponadto, że człowiekowi narzuca się jego świadomość. Koniecznym atrybutem duchowej aktywności jest świadomość. Nietylko że ona jest jedyną drogą jaką mamy gwoli rozpoznania ducha, ale także gdyby nie było tej drogi, nie byłoby też ducha dającego się rozpoznać. Niemiec świadomości siebie, znaczy duchowo wogóle nie istnieć. Ta złożona jedność, ten mały kosmos, to ja ma za warunek swego istnienia uświadomienie — podczas gdy osobistość jest tem, czem narzuca się ono świadomości drugich. Możemy wszakże z naszym zagadnieniem pójść jeszcze dalej, a źródło tej osobliwej siły znajdziemy w wyobraźni. Wyobraźnia bowiem, czyli zdolność obrazotwórcza może być w pewnym znaczeniu uważana za twórczynię świata wewnętrznego. Materiału dostarczają jej poszczególne zmysły, samą jednak budowę powietrznych gmachów, czyto z przesłanek faktycznych czy urojonych, zawdzięczamy tylko jej samej. Pomiedzy przesłankami temi niema przepaści, przez którą nie dałoby się rzucić mostu. Wspomnijmyż sobie senne marzenia, które na ogół stanać by mogły obok najbardziej fantastycznych tworów naszego umysłu. Komuż nie zdarzało się w snach spadać z zawrotnych wysokości, nie ponosząc przytem żadnego szwanku? Gdybyś był spróbował tego samego na jawie, byłbyś sobie przecież niechybnie skreślił kark. Powiadamy więc, że ewolucje takie są niemożliwe. Czyż tak? Zapewne, lecz jedynie wobec zależności naszego ciężaru w stosunku do ciężaru ziemi. Gdyby świat, który przypadkowo zamieszkujemy nie miał swej obecnej postaci, lecz postać małego asteroidu, upadek podobny nie pociągałby za sobą smutnych następstw. Człowiek mógł by sobie bezkarnie przesadzać przepaście w ucieczce przed strasznemi potworami — o ile sobie przypominam one to były zazwyczaj przyczyną nieszczęśliwego wypadku — choć niestety i potwory także skakać by sobie tak mogły.

Do tego samego rezultatu bylibyśmy doszli jeszcze szybciej, zmniejszywszy poprostu rozmiary człowieka i jego świata. Wówczas i szybciej by się człowiek staczał i zarazem bez zbyteń wstrząsu osiągnął by dno. Wszystko to zatem jest jedynie kwestją stosunków wielkości. Zcieśnijmy rozmiary obrazu a niemożliwe stanie się zaraz możliwym. Nie wszystkie fantazje dadzą się wprawdzie sprowadzić tak łatwo do rzeczywistości jak ta z którejśmy wyszli, ale wszystkie możnaby ostatecznie w podobnie ogólny sposób wytłumaczyć. W każdym razie nie należy obecnie utrzymywać z wszelką pewnością, że jest coś czego się nie da tak objaśniać. Z każdym dniem bowiem zwiększają się dziedziny rzeczywistości. Nawet na tym naszym małym świecie robimy codziennie odkrycia faktów, któreśmy wprzódy mieli jeno za plody fantazji, jak na przykład gadki o latających rybach. Nasze pole widzenia rozszerza się coraz bardziej. Podróże Gulliwera mogą się jeszcze okazać o wiele prawdziwszemi niż przypuszczamy. Gdyby nam danem było bujać po międzyplanetarnym oceanie eteru, znaleźlibyśmy może na Cererze kraj Liliputów, a na Jowiszu jakieś cudowne państwo Brobdignacu. Boć ludzie naszej struktury musieliby na wielkim planecie być odpowiednio wielkimi, a na małym odpowiednio małymi. Na innych gwiazdach i słońcach mogą istnieć jeszcze dziwniejsze rzeczy. Na tych błyszczących światach uważanych przez dziecko za dziury w niebie przez które przegląda z góry światło, znaleźlibyśmy prawdopodobnie warunki bytu podobne tym, które już znamy i wcale nie podobne. I kiedy nocami w fantastycznych domysłach pozieramy ku nim, zda się, jakby mrugały ku nam porozumiewawczo.

Mogą tam istnieć warunki, w których najdziksze nasze fantazje stałyby się tylko zwykłą rzeczywistością. Gdyby ucieleśnienie fantastycznych wizyj osiągnęło taką doskonałość, żeby już nic nie pozostawiło do życzenia, nie miałyby też już wyobraźnia żadnego bodźca do dalszej pracy. Wyobraźnia stanowi wyłączne źródło nowości, prazdrój psychicznego postępu. Roz-

sądek utrzymuje tylko ruch ten w równowadze. Albowiem rozsądek jest jedynie probierzem doświadczenia, własnego, oddziedziczonego lub zdobytego przez innych. Zestawia to co sobie wyobrażamy z tem, co nam jest wiadome i wypośrodkowuje wnioski, posługując się mową tutejszości i terażniejszości, mową, którą zwiemy realną. Realność ta nie jest wszakże niczem innym, jak przystosowaniem do warunków lokalnych. Nie oznacza wcale granic możliwości.

Na którąkolwiek gałąź myśli ludzkiej spojrzemy, zewsząd okazuje się, że popędową siłą świata psychicznego była wyobraźnia. W potocznej mowie zwykliśmy czynić różnicę pomiędzy poszukiwaniem prawdy a poszukiwaniem piękna, nazywając jedno wiedzą a drugie sztuką. Przyznając bez wahania wyobraźnię sztuce, nie jesteśmy wcale skłonni do uznania łączności jej z wiedzą. A przecież, wbrew przyjętym zapatrywaniom, raczej właśnie wiedza, niż sztuka wymaga od adeptów swych wyobraźni. Wprawdzie i w sztuce w znacznej mierze czynną jest ta zaleta, ale wysoka klasa sztuki da się doskonale pogodzić z małą dozą wyobraźni. Weźmy za przykład malarstwo. Karjera malarza zaczynała się pierwotnie od podrzędnych obowiązków kopisty i to zrazu wielce skromnego kopisty, środki ich bowiem były naówczas tak ubogie, że musiano się zadowalać najprymitywniejszymi symbolami. „Oto człowiek“ mówiono w kilku kreskach, mających bardzo jeno dalekie powinowactwo z rzeczywistością. Stopniowo dzięki próżności ludzkiej oraz wzrastającemu smakowi, obrazy stawały się lepsze. Zaczęto próbować kombinacyj, czegoś w rodzaju mozaiki, która nie wymagała zbytniego wysilenia fantazji. To, że sztuka potrafi bez pomocy wyobraźni osiągnąć wysoki stopień doskonałości i wiele przysporzyć chwały swym adeptom, wiadome jest po tej stronie globu tak dobrze, że zbytecznem byłoby udawać się gdzieindziej po przykłady.

A teraz weźmy dział naukowy uważany przez laików na ogół za wyjątkowo suchy, wiedzę matematyki. Zmuszony jestem

tutaj, narażając się na zarzut kompromitowania jej nieomylnych wyników, określić matematykę jako najbardziej fantastyczny produkt myśli ludzkiej. Jest ona poprostu olbrzymią fantazją, opartą na kilku tak zwanych pewnikach, będących ni mniej ni więcej, tylko rezultatami doświadczenia. Fantastyczności jej nie umniejsza fakt, że jej odkrycia okazują się później zawsze zgodne z prawdą, boć świadomości tego nie miało się przedtem wcale. Jej obowiązujące konkluzje nie wiążą też umysłu niczyjego, prócz tych, co posiadają jasnowidzący wzrok matematyków. Raz wszakże odkryte, wymagają o wiele mniej wyobraźni do rozumienia. Gdy światło pada od przodu, nie trudno widzieć, co się znajduje za nami.

Nie inaczej ma się rzecz z resztą utworów ludzkiej myśli. Wszystkie one zostały utkane przez wyobraźnię. Od najkonkretniejszych wynalazków do najbardziej oderwanych koncepcyj, we wszystkim da się zaobserwować działanie tej samej sily. Niema bowiem przepaści pomiędzy tem, co się nazywa praktyką a tem co teorią; wszelka obstrukcja znajdzie koniec końców praktyczne zastosowanie i odwrotnie, najskrajniej utylitarne rzeczy mają na dnie obstrukcyjną zasadę. Nadto jesteśmy skłonni do uważania obecnej epoki za wyjątkowo prozaiczną, zupełnie jak człowiek w średnim wieku, wzdychający za czarownicami fantazjami lat chłopięcych. Atoli — porównanie to jest czemś więcej niż suchą analogią — jeśli człowiek naprawdę posiada bujną wyobraźnię, nie będzie jej miał mniej w czterdziestym piątym roku życia niż w dwudziestym, przybiera ona z wiekiem nieco bardziej krytyczne formy. Ostatnia połowa dziewiętnastego stulecia jest może najfantastyczniejszym okresem jaki ma historia świata i przechodzi wszelkie bajeczne rojenia. Dziś nie zadowalamy się wymyślaniem sposobów przenoszenia myśli i głosu, zabieramy się oto do wyświeclania wzajemnego stosunku duchów, a nawet ważymy się zapuszczać w samo królestwo ducha.

Historja notuje w szczegółach tenże sam przebieg. Dzieje ludzkości bowiem, aczkolwiek niedokładnie nam znane, potwier-

dzają fakt, że jedynie wyobraźnia a nie zdolność spostrzegawcza lub pokrewne jej zdolności percepcyjne, była motoryczną siłą ewolucji duchowej.

Wyobraźnia dzikiego jest bardzo słabo rozwinięta. Uważamy ją niekiedy za bujniejszą, niż jest w istocie a to z powodu fantastycznych podań ludowych. Że ocena taka jest zbyt pochlebną widać z tego, że podczas kiedy nam nie trudno wyobrazić sobie jego działalność a nawet wyobrazić sobie to, co on sobie prawdopodobnie wyobraża, dziki naodwrot nie potrafiłby tego. Przytem wszystkim jego zdolności spostrzegawcze mogą być niezwykle w jakimś kierunku wyobrażone. Czernonoskóry idzie za śladem ludzkim przez las, kierując się oznakami niedostrzegalnymi dla bladej twarzy, oraz stawia według nich bardzo bystre wnioski. A przecież z tego samego czleka, przy zagadnieniach trochę tylko zbaczających z jego wydeptanej ścieżki, wyłazi zupełnie dziecko. Wszystko dlatego, że przodkowie jego nie mieli daru przedstawienia sobie czegokolwiek, co by wychodziło poza zakres namacalnych i rzeczywiście dostrzegalnych rzeczy. Istotą wyobraźni jest to, że umie ona dla oczu swego właściciela przeistoczyć zupełnie otoczenie. Bez tej zdolności byłby człowiek pozostał jeśli nie wprost mięczakiem, to w każdym razie zwierzęciem. Roślinie nie dano opuszczać miejsca, zwierzę ograniczone jest ściśle w zmienianiu warunków bytu. Człowiek jeden posiada swego rodzaju swobodę, którą nic zresztą poszczycić się nie może.

Co dotyczy osobników, dotyczy także i ras. Najhojniej wyobraźnią obdarzone rasy okazały się w historii rozwoju świata czynnikami najdonioślejszemi.

Po tych obserwacjach własnej naszej półkuli, wracamy z powrotem do tamtej. Ten psychologiczny fakt właśnie, iż rozwój duchowy pociąga za sobą coraz silniejszą indywidualizację, oraz to, że w procesie rozwojowym cywilizacji Zachodu w przeciwieństwie do Dalekiego Wschodu motoryczną siłą okazuje się

wyobraźnia, tłumaczy ona pozorne anomalie, z których zagadkowym jest bezsprzecznie samo istnienie ich cywilizacji.

Widzieliśmy jak zdecydowanie nieosobowym jest Daleki Wschód. Jestże indywidualność naturalną miarą wysokości cywilizacji jakiegoś narodu, to, co zatem idzie, nieosobowość świadczyć musi naodwrot o względnej pośledniości rasy. Poszukajmyż u narodu tego wyraźnych cech, wskazujących na zaćofany stan rozwoju. Przedewszystkiem więc, skoro wyobraźnia jest czynnikiem, potęgującym indywidualność, musiałaby ona się tam znajdować w jakimś bardzo skąpym jeno wymiarze. Ludzie Dalekiego Wschodu mieliby tedy szczególnie ograniczoną fantazję. Jest też tak rzeczywiście. Ich brak polotu jest faktem powszechnie stwierdzonym. Zauważa go każdy, kto się z nimi styka, zarówno kupiec jak uczone i to przy najpowierzchniejszym już obcowaniu. Deprymującą wprost jest i prozaiczna trzeźwość w patrzeniu na rzeczy, jeśli się zważy niebywale artystyczne usposobienia tego narodu. Uderza zaś tembardziej, im mniej się na nią było przygotowanym. Boć prozaiczność odpowiedzi od kogoś, po czym wyglądzie i otoczeniu można się było lepszych słów spodziewać, musi jeszcze zwiększać przykre wrażenie.

Samą ich mowę, aczkolwiek wydaje się ona na pierwszy rzut oka malowniczą, cechuje tak sama prozaiczność. Pierwsze zwodnicze wrażenie wywołane jest jedynie przez retoryczne niespodzianki, Odświeżająco brzmi dla naszych uszu taki zwrot n. p. jak „w górze — w dole“ oznaczający górską przełęcz, jestto jednak raczej opisowe, niż pełne fantazji wyrażenie. Nasza własna mowa roi się od daleko bardziej suggestywnych, w potocznem użyciu będących słów, a tylko długie przyzwyczajenie przytępiło dla nas ich subtelność. Posługujemy się co chwila wyrażeniami, które gdybyśmy tylko chcieli zastanowić się chwilę nad tem, jakie to właśnie pojęcia w nich się łączą, uderzyłyby nas niezwykłą poetycznością. Jak słusznie ktoś powiedział były one pierwotnie szczęśliwemi pomysłami natchnionego geniusza,

pomysłami, które przeszły do potomności bez towarzyszącego im nazwiska, spopularyzowały się i ostały na zawsze jako symbole.

Całe życie mieszkańca Dalekiego Wschodu odpowiada jego językowi. Brak fantastycznych idei jest wybitnym rysem wszystkich. żółtych ras, jeśli wogóle tak beznadziejną jednostajność nazwać można czemś wybitnem. Ubóstwo wyobraźni objawia się pośrednio w powszednim życiu, bardziej bezpośrednio w poszczególnych gałęziach myślenia. Oryginalność bynajmniej nie jest mocną ich stroną. Mówi o tem zupełna obcość ich w stosunku do wiedzy, a także, aczkolwiek brzmi to może paradoksalnie, ich sztuka, mimo wszystkich jej zalet i zasług. Zdanie, że sztuka w nierozłącznej musi iść parze z wyobraźnią, wcale nie znajduje tutaj potwierdzenia. Artystyczną jej znakomitość przypisać należy zupełnie czemu innemu. Jedynie swemu smakowi zawdzięczają Chińczycy i Japończycy to, że doszli do wyników, którym świat cały nie przestanie się dziwować. Smak zaś oraz wrażliwość spostrzegawcza nie mają absolutnie nic wspólnego z wyobraźnią. Nie ulega wątpliwości, że niektóre zmysły oraz odpowiadające im odbiorcze części mózgowicy, są na Dalekim Wschodzie cudownie wprost zaostrome. Ale wrażliwość ta nie wymaga wcale mniej z ziemią związanych zalet intelektualnych. Wyraźną cechą japońskiego ducha jest czułość na piękno przyrody, coś jakby wzajemne pokrywanie się duszy z otaczającym ją światem. Ale czułość ta, z całą swą głębią, jest czemś zupełnie innem od oryginalności. Jedna jest zazwyczaj służką drugiej, ale ta druga bynajmniej nie zawsze zjawia się w jej towarzystwie.

Tyle co do przyczyn; przechodzę z kolei do skutków, które dadzą się zauważyć jeśli diagnoza moja była prawdziwa.

Jeżeli siła rozwojowa jakiejś rasy jest w porównaniu do ras innych słabsza, trojaki to ma, właściwy sobie rezultat. Po pierwsze odnośna rasa w każdej chwili bardziej będzie zacořana; po drugie, tempo jej postępu będzie powolniejsze; po trzecie,

wreszcie, wszystkie indywidualne jej cząstki będą sobie bardziej bliskie. Podobnie ma się rzecz z siklawą rozpoczynającą bieg swój zwartą masą wody przewalanej w przepaść, dzielącą się w miarę przyspieszenia na krople i kropelki coraz drobniejsze i coraz szerzej rozprysnięte, aby w końcu rozpylić się na pianę. Wszystkich tych trzech skutków dopatrzeć się można w biegu cywilizacji Dalekiego Wschodu. Zbędnym nieomal jest dowodzić pierwszego z nich, nam, którzy aż nadto skłaniamy się do uwierzenia weń bez dowodów. Jest on oczywistym. Cywilizacja ich, bezstronnie osądzona, nie jest posunięta tak daleko jak nasza. Przewyższa nas wprawdzie kilku bardzo pożądanymi zaletami, lecz zato cały jej ustrój odznacza się prymitywnością. Stanowi do pewnego stopnia skończoną całość, jeno że stopień ten właśnie nie jest zbyt wysoki. Niema tu mowy o surowości i niewykształceniu, raczej, o niedokształceniu. Gładkość powierzchni przemawia tu za tem, że natura mniej poświęciła uwagi budowie samej substancji. Można o niej rzec, iż jest dojrzałą formą niższego duchowego gatunku.

Drugi z kolei skutek jest prawie równie widoczny. Wiadomo całemu światu jak ślimaczym krokiem włókił się na Dalekim Wschodzie postęp, o ile to, co się tam przez ostatnich kilka stuleci działo można wogóle zwać postępem. Konserwatyzm Chińczyków stał się przysłowiowym. W Państwie Środka puls oddawna już bić przestał. Nadają sobie oni miano środka cywilizacji, ale wygląda raczej na to, że duchowy ich motor utknał na martwej osi i stracił na zawsze swój rozpęd. Życie które wszędzie indziej przedstawia stan chwiejnej równowagi, jest tam stanem absolutnej nieomal stałości. Wstręt Chińczyka do postępu jest bowiem czemś więcej niż siłą bezwładności. Przeszedł on w żarliwy kult ustalonego porządku rzeczy. Zaledwie go coś z niego wytrąci, powraca corychlej do pierwotnego położenia i to tak w duchowym, jak i w czysto fizycznym znaczeniu; taki, którego los zmusi całe życie spędzić w Kaliornji, rooi starania, żeby po śmierci zwłoki jego zabalsamowano i prze-

wiezione do ojczyzny o pięć tysięcy mil morskich odległej, zostały tamże należycie pogrzebane. U Japończyków przedstawia się to nieco inaczej. Ich skłonność do bezruchu jest natury czysto biernej. Jestto rodzaj neutralnej równowagi, ustalonej w sobie, lecz niesłuchanie czulej na wpływy zewnętrzne. Pozostawieni sami sobie Japończycy są zdecydowanymi konserwatystami, niechno się jednak nadarzy sposobność, nie omieszkają kopiować żwawo wzorów bardziej posuniętej cywilizacji. Ta skłonność nie neguje bynajmniej naszej teorii, przeciwnie takie same pozorne sprzeczności spotykamy u charakterów, z którymi co dnia się spotykamy. Naśladownictwo jest naturalnym surrogatem oryginalności. Im słabsza osobistość człowieka, tem podatniejszy grunt dla obcych myśli, według tej samej zasady, wedle której łatwiej wypełnić próżnię, niż miejsce już zajęte przez inne ciało, lub wedle której na białym papierze barwa silniej się znaczy, niż na kolorowym.

Na trzeci rezultat, wybitną jednorodność ludu, nie zwraca się może tak powszechnie uwagi, przy bliższej jednak obserwacji jest on niemniej wyraźny i niemniej poważnego dostarcza dowodu. Ludzkość bowiem jest tam przedziwnie jednakiego autoramentu. Amplituda rozwoju duchowego pomiędzy poszczególnymi jednostkami jest w Japonji o wiele mniejsza niż u nas. Ten brak rozbieżności występuje nietylko w dziedzinie myślenia, ale również we wszystkich charakterystycznych objawach odróżniających człowieka od zwierzęcia. W sile sądu, wrażliwości artystycznej, zdolności spostrzegawczej, słowem wszędzie jest to samo. Gdyby to było tylko powierzchownem wrażeniem, nie uprawniałoby do wyciągania tak daleko idącego wniosku, zawsze bowiem w pierwszym stadium znajomości pomiędzy dwoma różnemi ludami występuje złudzenie, iż poszczególne osobniki danej rasy są absolutnie jednakowe. Odnosi się ono także i do zewnętrznego wyglądu. Początkowo wydaje nam się niepodobieństwem odróżnić dwóch Japończyków od siebie; to samo odczuwają i oni w stosunku do nas. Podobieństwo duchowe

nie jest wszakże kwestją pierwszego wrażenia; rozchodzi się tu o fakt historyczny. Ludzie którzy w Japonii najwyższą cieszą się chwalebą, o wiele bliżsi są szerszemu ogółowi, niż to było kiedykolwiek ze sławnym jakimś mężem na Zachodzie. Tak też było od najdawniejszych czasów. Nie znajdziesz tam Shakespearów ani Newtonów, człowieczeństwo japońskie nie jest gruntem, z któregoby takie duchy wyrastały. Ten brak ludzi genialnych wyrównany jest jednak do pewnego stopnia przez takiż sam brak ich przeciwnostw. Zarówno szczytów duchowych przewag jak i ścieżek zwierzęcych poniżej nie tknęła tam ludzka stopa. Równość pomiędzy ludźmi o wiele jest większa, tak wielka, że kraj ten mógłby być czemś w rodzaju zbawienia dla zawiedzionych socjalistów.

Chociaż religijni misjonarze nie osiągnęli na Dalekim Wschodzie szczególnych wyników, to przecież ta, nieco mniej idealnie nastrojona grupa pełnych zapału przedstawicieli jedynie i wyłącznie zbawiającej wiary, dobrzeby zrobiła poszukawszy tam szczęścia. Znaleźliby ogromnie dziewiczy, najzupelniej zniwelowany teren. Zapewne, że jego eksploatację utrudniałby im ludzki opór, ale zato natura nie stawiałaby jej tyle zasadniczych przeszkód, ile ich, wiedząc co czyni, stawia u nas.

Duch indywidualum jest tam niejako odosobnioną cząstką ducha rasy. U jednego i drugiego zachodzi to samo ugrupowanie właściwości. Cechy charakterystyczne są tam czemś w rodzaju wspólnej własności, z której każdemu człowiekowi dostaje się przy urodzeniu pewna niezróżniczkowana część. Wszystkie dusze są sobie tak blizkie, że zważywszy obowiązujący stan, patriarchalny nastrój, to ogromne familijne podobieństwo wydaje się obcemu przybyszowi niesłychanie na swoim miejscu. Jak mało odróżnia się jedna mózgowica od drugiej, widać z tego, że podczas gdy zwykły kulis japoński spędza wojny czas na grze w szachy skomplikowanej w dwójnasób bardziej niż nasza, najoświeceniwszy filozof wciąż jeszcze tkwi na błogosławionym, nieświadomości pełnym stopniu oślego mostu.

Widzimy więc, że Daleki Wschód potwierdza w zupełności wszystkie trzy punkta naszej teorii. Pozostaje poruszyć jeszcze jedną rzecz. Powiedziałem że roli czynnika rozwojowego nie gra otoczenie, lecz, że w duszy samej spoczywa zarodek własnej jej ewolucji. Fakt ten nie mówi wszakże wcale, aby otoczenie nie wpływało na przyspieszanie procesu rozwojowego. Zmiana miejsca zbawienną jest nie tylko dla cierpiących. Jak pobudzającą okazać się może dla narodu niech poświadczy margaretką, która jako aster rozwieliła się na naszych grzędach. Tosamo sprawdza się i w historii narodów. Owóż wschodnio azjatyckie ludy w porównaniu do naszych przodków podróżowały bardzo niewiele. Rasa zaś odnosi z podróży dwie korzyści: po pierwsze przyswajają sobie mnóstwo pożytecznych nabytków z rozmaitych miejsc i z różnych ludzi, po drugie pozostawiona jest w walce o byt własnym siłom, skutkiem czego wychodzi z tej walki o wiele osobowsza. Zmienne warunki, do których musi się przystosowywać, wrogie siły, z którymi przychodzi jej się zmagać, wszystko to wpływa na rodzenie się nowych pomysłów i kształci w ten sposób duszę. Dla przekonania się jak potężne są te wpływy, wystarcza porównać dwie wielkie odnogi rodziny Arjów: jedna, która od tak dawna prześiaduje na miejscu i druga co udala się na wędrowkę. Pozbawiony bodźca z zewnątrz, pogrążył się duch indo-aryjski sam w sobie i przetrwał w metafizycznych dumaniach wyobraźni, która z braci jego zrobiła dziś przodowników postępu świata. Zabijająca monotonja otoczenia nie omieszkała wywołać niechcanych następstw. Pozostałych w domu ogarniać jąła ogromna nieuchronna apatia. Niby trujący narkotyk sączyło się gluche odretwienie Wschodu w ich dusze, kraina, którą niegdyś w zwyciężkiej wojnie wydarli innym, zapadła w sen ciężki od marzeń. Ich bracia co poszli na Zachód, zabrali z sobą pierwotne prawa. U ras altajskich, o których mowa, przyczyna i skutek wspomagały się wzajem. To, że zaniechały wędrowek, należy przypisać przedewszystkiem brakowi zmysłu przedsiębiorczości.

wynikającemu z ubóstwa wyobraźni, zaś sporczywe ich siedzenie na miejscu winne jest temu, że traciły tę wyobraźnię coraz to bardziej. Ale w wędrówkach swych nie miały też szczęścia. Wędrówki te znalazły przedwczesny koniec na wyładach onej bezkresnej geograficznej nirwany Atlantyku, Wielkiego Spokojnego Morza, jak go zwać same. Lżby były chętnie poszły dalej, świadczą o tem szlaki ich marzeń zbląkanę jeszcze dalej na Wschód. Samych ludzi zatrzymał Ocean, a szum wód jego stał się kołysanką narodu drzemiącego od wieków.

Zdaje mi się, że ten rzut oka na cywilizację Dalekiego Wschodu wykazał jedno: iż dusza w wędrówce swej poprzez świat dąży nieprzerwanie ku coraz większej indywidualizacji. Im bliżej wszakże poznajemy Wszechświat, tem wyraźniej odkrywamy w nim jedność, przenikającą wszystko. Dusza jego *musi być jednością*, a nie wielością. Owa boska siła, która stworzyła wsze rzeczy sama nie jest wieloraka. W jaki sposób pogodzić mamy wzrastającą wciąż rozbieżność z ostateczną równością, to zagadnienie usuwa się dotąd z pod uogólniających naszych teoryj. To co wiemy zda się być przeciwieństwem tego, co by nam należało przypuszczać. Ale chociaż nam dziś jeszcze nie dano znać tajemnicy rozpuszczania się osobistości we wszechświecie, objawienie to kiedyś przyjść musi. I wówczas pokaże się, że to co pozornie było nie do pogodzenia, nie kryje w sobie wogóle żadnych sprzeczności. Jedno bowiem jest pewne: jakkolwiek wspaniała jest koncepcja buddyzmu, jakkolwiek pełna majestatu idea niezmiernego spokoju, do którego on nas nieść pragnie, doczesna droga przezeń wskazywana nie jest drogą, po której żywy świat by mógł stąpać. Jestli byt ziemski złem, wówczas buddyzm nauczy nas gardzić nim. Jeśli wszakże ów pęd niepojęty, który zmusza duszę naszą do czynu jest czemś istotnem, to wieika ewangelja Gotamy jest pustem słowem. Boć porzucanie samego siebie — nie samolubstwa, lecz samopoczucia — jest przecież czemś przeciw czemu natura się wzdryga. Ludzie Dalekiego Wschodu dostarczają najlepszego

dowodu przeciw sobie samym. Że nieosobowość nie może być  
 celem ziemskiego życia, tego są sami bezwiednymi świadkami  
 nie oni bowiem przeżyją nas. Cywilizacja ich jako narodu o uroku  
 artystycznym, podobna jest temu wdzięcznemu kwieciciu drzew,  
 których przeznaczeniem jest nigdy nie dźwigać owoców. Jak-  
 kolwiek wyobrazić sobie będziemy przyszłe życie, toć bezpo-  
 średniem następstwem bezosobowości może być tylko zagłada.  
 Jeśli narody te iść będą wytrwale odwiecznym swym szlakiem,  
 ziemską karjera ich jest skończona. Takim samym pewnikiem  
 jak to, że ranek przeobrazą się w wieczór, jest to że rasy Da-  
 lekiego Wschodu o ile się nie zmienią, zmiecione zostaną przez  
 los z powierzchni ziemi przed postępowymi narodami Zachodu.  
 Znikną, pozostawiając planetę naszego w wyłącznem posiadaniu  
 mieszkańców tej półkuli, za którą słońce się skrywa. Jeśli nie  
 przyjmą się u nich nowo zaszczone idee, będą Japończycy  
 zarówno jak Chiny i Korea, wykluczeni niechybnie od życia na  
 tym świecie. Nirwana ich poczyna się już urzeczywistniać. Otu-  
 liła już Daleki Wschód swym trupim całunem, śmiertelną ko-  
 szulą tych, których dzień był jeno świtaniem, zgodnie z pro-  
 czem brzmieniem nazwy, jaką nadali sami swojej ojczyźnie:

Kraina Wschodzącego Słońca i Kraina-Porannego Spokoju.





33573/  
2